

JERZY PHNET.

KAMELEON.

POWIEŚĆ W 2 TOMACH.

TOM II.

GRÓDEK.

NAKŁADEM I DRUKIEM J. CZAIŃSKIEGO.

1902.



1000174334

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

Baudouin kończył sprzątanie w pawilonie zamieszkanym przez Marcelego, kiedy usłyszał, iż woła go odźwierny z fabryki.

Wyjrzał oknem.

Odźwierny uniósł czapkę z uszanowaniem i rzekł:

— Panie Baudouin, jest tam u bramy jakiś obywatel, który chce z panem mówić...

— Dobrze, idę zaraz.

Była godzina trzecia po południu, Marceli tylko co poszedł do lasu. Baudouin był sam w domu. Dokończył ustawiać meble, zamknął okno, zdjął fartuch i zszedł na podwórze.

Przy wejściu do fabryki zobaczył chodzącego po ulicy mężczyznę rudego, z brodą nieogoloną, ubranego w bluzę i obutego w grube trzewiki.

Odźwierny wskazał tę osobistość z miną pogardliwą, i rzekł:

— To ten jegomość!

W tej samej chwili mężczyzna rudy obrócił się, a zobaczywszy Baudouina, szedł do niego z twarzą uśmiechniętą i wyciągniętą ręką.

Baudouin patrzył ze zdziwieniem na nieznanego,

szukał w pamięci, nie mógł żadnego nazwiska przystosować do tej twarzy i mówił do siebie:

— Co to za djabeł? Myli się widocznie!

Lecz mężczyzna rudy przyszedłszy blisko odezwał się:

— Dzień dobry, panie Baudouin.

I Baudouin poznał Laforeta.

Wziął go pod rękę, poprowadził wzdłuż muru ogrodowego, w kierunku głównej drogi, potem pewny, że nikt nie usłyszy, rzekł:

— Jesteś, nakoniec. Ślicznie się ustroiłeś! Zanim się odezwałeś, nie mogłem cię poznać.

— Nie chodźmy tak po drodze, nie trzeba ażeby nas widziano razem. Czy jest gdzie karczma, w której możnaby rozmawiać spokojnie?

— Chodźmy pod Złote Słońce. Właściciel mnie zna, da nam osobny pokój, i nikt nam nie przeszkodzi. To dawny żołnierz, można na niego liczyć.

— Dobrze. Chodźmy.

Przy stoliku i butelce piwa, zaczęli rozmawiać.

— Wielki czas żebyś przyjechał, rzekł Baudouin. Jest tu dużo nowego. Samotność pana Marcelego została przerwana ukazaniem się dwojga cudzoziemców, niby brata i siostry, paplających po włosku, i którzy od pierwszych dni pobytu znaleźli sposób zaznajomienia się z moim panem.

— Co to jest za kobieta?

— Ah! jeżeli się nie mylę, to jest okaz bardzo mądry, z rodzaju tych, która była nasłana na biednego generała i która nim tak bardzo zawładnęła...

— A mężczyzna?

— Nieznany. Pierwsze pojawienie... Nazywa się tu hrabią. Przybędą prawdopodobnie. Ładny chłopiec... zdaleka go tylko widziałem.

— A siostra?

— Wspaniała kobieta! Blondynka, w warkoczach jak młoda dziewczyna... W grubej żałobie z miną Mignon tęskniącej za ojczyzną... Po co ona tu przyjechała?

— Wyjaśnimy to, jeżeli jest możebne!

— Ja, rozumiesz, nie mogę nic zrobić. Znają mnie... Przy pierwszym kroku, przy pierwszej manifestacji, to tak jak gdybym powiedział tym ludziom: baczność, bo ja patrzę. Zamkną się w sobie i bądź zdrów! Odważyłem się już zrobić rekonesans domu gdzie mieszkają i dokoła domu. Lecz nie mogę tego powtarzać z obawy żeby mnie pan Marcelli nie spotkał; a gdyby zapytał co tam robię, co ja mogę odpowiedzieć? Ostrzedz co się koło niego knuje, to znaczy przerwać całą intrygę, która się przygotowuje i która da nam może sposobność pochwycenia złoczyńców poszukiwanych. A nie ostrzedz go, to tyle, co wystawić na straszne niebezpieczeństwa! Obracam wszystkie te myśli w głowie od kilku dni, a im więcej się zastanawiam, tem więcej się waham. To też pilno mi było żebyś przyjechał. Najpierw poradzisz mi a potem obmyślimy sposoby obrony pana Marcelego, jeżeli będzie mu co groziło.

— Przystąpmy do rzeczy po porządku... Gdzie stoi dom, w którym ci ludzie mieszkają?

— Łatwo go poznać. Stoi na połowie drogi z Ars do lasu Bossicant. Nazywają go Willa Cavée. Niepodobna jest omylić się, stoi samotny na wzgórzu...

— Jutro zainstaluję się u drzwi tego domu...

— W jaki sposób?

— To moja rzecz. Zobaczysz jak się bierze do śledzenia ludzi, żeby się tego niedomyślali.

— Lecz tam na kilometr dokoła nikt nie mieszka.

— Nic nie szkodzi. Jak przepędza czas dama o której mowa?

— Bardzo samotnie. Wychodzi tylko na spacer do lasu. Do ostatnich dni sama, lub z bratem, obecnie z moim panem.

— Więc to już tak na gorąco?

— Pali się nawet!

— Dobrze!

— A co myślisz trzeba robić co się tyczy pana Marcelego?

— Nic.

— Nie uprzedzać go?

— Pod żadnym pozorem. Cóż mu grozi? Ja będę strzedz go po za domem, ty, nie zaspisz w domu. Nie ma rzeczywiście żadnego interesu aby go straszyć. Jeżeli, jak prawdopodobne, jest to bowiem zwykła taktyka, nasłano na niego ładną kobietę, żeby starała się go ugłaskać, to całe jego ryzyko, iż się zapali do kobiety niewiele warte. Czy pierwszy raz mu się to przytrafi? Ani ty, ani ja w to nie wierzymy. Nie umrze od tego, jak pobałamuci się z wesołą damą, którą mi odmalowałeś. A my, przez ten czas pozaciągamy sieci, ażeby przyłapać flibustierów. To nie ta sama kobieta, która przyjeżdżała do Vanves, jesteś tego pewny?

— Niema tego głosu, ani akcentu. Lecz czy można

być czego pewnym z ludźmi tak mądrymi? Co do mężczyzny, ręczę, że nie ten sam, tamtego widziałem trochę. Wyższy był o głowę od włocha. I wymowę miał szczególną... Oh! tego co zabił mojego generała, tego poznam odrazu! Jeżeli kiedy wpadnie w moje ręce...

Zaciskał pięści, z oczu iskry się sypały.

Laforet uspokoił go jednym poruszeniem.

— Tylko bez gniewu. Przedewszystkiem, w sprawie, jaka nas zajmuje, trzeba umieć oprzeć się pierwszemu popędowi. Przypuśćmy, że niespodzianie spotkasz się z tym człowiekiem, co zrobisz?

— Skoczę mu do gardła, i nie ujdzie mi, przysięgam na Boga!

— Głupstwo! trzeba udawać, że się go nie poznaje. Iść za nim, dowiedzieć się gdzie mieszka, czuwać, żeby przyłapać go z jego współnikami zbrodni. Proszę cię, kochany Baudouin, ułóżmy wszystko naprzód. Gdyż jeżeli będziemy bawić się w policjantów sentymentalnych, nie dojdziemy do niczego.

Baudouin westchnął.

— Masz rację, lecz jak mi ciężko przyjdzie niemódl na miejscu wymierzyć sprawiedliwości temu łotrowi! Wreszcie, ty masz doświadczenie... będę posłuszny.

— Teraz poszukajmy sposobu korespondowania. Na przyszłość nie trzeba żeby nas widziano komunikujących się z sobą. Słuchaj, jak będę potrzebował z tobą się rozmówić, przyjdę do bramy w fabryce i ołówkiem czerwonym, na podmurowaniu pod kratą, z lewej strony napiszę dzień i godzinę. Wtedy postarasz się przyjść do tej oberży i znajdziesz mnie zawsze. Ty, jak bę-

dziesz potrzebował mnie widzieć, zrobisz tak samo z drugiej strony, z prawej od bramy. Co rano i co wieczór będę tamtędy przechodził, dla zobaczenia czy mnie przywołujesz, lub dania znać, żebyś do mnie przyszedł.

— Dobrze.

— Bądź zdrow teraz. Po wyjściu ztąd, nie znamy się. Zapłać, ja wpierw wyjdę. Powodzenia... i zimnej krwi.

— Kupię jej sobie, gdyż nie posiadam...

W tym samym czasie, w lesie na wzgórzu, Marceli spacerował z panią Vignola. Mały piesek biegał wśród wysokiej trawy, wzdłuż ścieżki tak wąskiej, że młody człowiek i piękna wdowa przyciskali się jedno do drugiego, aby uniknąć uderzenia gałęzi.

Ciepły opar płynął z ziemi rozgrzanej słońcem wiosennem. A owiani łagodnem powietrzem szli milcząc, z umysłem odrętwiałym lecz z zadowoleniem w sercu.

Skoro znaleźli się na skraju płaskowzgórza ocienionego wielkimi jesionami zatrzymali się.

Cała dolina Ars rozciągała się przed nimi. Małe miasteczko leżało u stóp, nad rzeką płynącą leniwie wśród wybrzeży łąk bujnych, na tle zieloności których krowy odrzynały się jak plamy żółte i białe.

Czerwone dachy zabudowań fabrycznych, wielki komin z warkoczem czarnego dymu, ogrodzenia, w których ciągnęły się suszarnie, kościół i domy ugrupowane nieregularnie, tworzyły obraz spokojny, wesoły i zachwycający.

Młoda kobieta wskazując końcem parasolki różne punkty panoramy, kazała Marcelemu nazywać okolice, zabudowania, wsie.

Było to jak gdyby objęciem w posiadanie całej okolicy pod przewodnictwem Marcelgo. Zrobił jej tę uwagę z uśmiechem:

— Pani tak się obznajmia, jak gdyby chciała zamieszkać w naszej prowincji.

— Taki już mam zwyczaj, rzekła. Lubię wiedzieć gdzie jestem... Dopiero kiedy wiem jak się co nazywa i jakie ma przeznaczenie, zaczynam się tem interesować. To też, pan pokazuje mi linię kolei żelaznej, która idzie przez dolinę. Jako kolej, nie interesuje mnie, nie przywiązuję do niej żadnej wartości. Pan dodaje: to jest droga, która z Troyes idzie do granicy przez Belfort... Zaraz mózg mój pracuje, daje mi dokładne pojęcie i przywiązuję się do tej rzeczy.

— Pani posiada niepospolitą inteligencję.

— I zupełnie nie kobiecą, przyznaj pan?

— Prawda, znajduję, że panią mało obchodzą błahostki. Ale czyż to nie jest zaletą?

— W każdym razie, zgódź się pan, że to nie jest wdziękiem.

— Oh! pani ma tyle innych!

— Nie prosiłam o komplement.

— Skoro już powiedziany, niech go pani przyjmie.

Spojrzała na niego z niewinnem zadowoleniem, potem pokręciła głową:

— Nie dotrzymuje pan warunków... Ułożyliśmy się, że będziesz mnie traktował jak kolegę, ja za to pozwolę towarzyszyć sobie na spacer i przychodzić do mnie swobodnie... Lecz pan francuz i niepodobna ci jest wyrzec się zupełnie galanterji.

— Czyż włoch potrafiłby tak długo być z panią i nie powiedzieć, że jesteś zachwycająca?

— Tak, gdybym mu zabroniła. Lecz za to więcejby o tem myślał.

— Co pani wie? rzekł Marcelli z ogniem... Czy pani sądzi, że jestem obojętny dla tego, że słuchając jej, byłem tylko chłodno grzeczny? Nie sądz pani o uczuciach moich, ze słów... Bardzo się z sobą różnią.

— Od tygodnia dopiero się znamy...

— Czy trzeba dłużej żeby pokochać panią na wieki?

— Na wieki? Co za zobowiązanie!... I tak prędko powzięte...

— A tak łatwe do dotrzymania, kiedy się pozna panią...

— I które może mieć następstwa, ponieważ muszę wyjechać niezadługo, i bardzo daleko.

— Kto panią zmusza do spełnienia zamiarów powziętych w pierwszych chwilach smutku i osamotnienia? Czyż to rozsądnie stanowić o całym życiu w jednej chwili, kiedy się jest w pani wieku i kiedy przeszłość chowa tyle jeszcze szczęścia dla niej? W dwudziestu czterech latach, wierzyć, że wszystko stracone, dla tego, że fatalność rozłączyła panią z mężem, który mógłby być jej ojcem? Wtedy kiedy pani myśli przestać żyć, to życie dopiero się dla pani zaczęło.

— Tak, wszystko co pan mówi, brat mówi często. Taki jest zwykły porządek rzeczy. Po przywiązaniu znikającym, nowe uczucie. Lecz czyż to konieczne. Serca nie można tak wymieść jak mieszkania na przyjęcie nowego lokatora. Po tym, który go zajmował po-

zostają wspomnienia, i nie tak łatwo się zacierają. I czy nie jest rodzajem profanacji dla duszy delikatnej, pokochać na nowo kiedy było się pewną, że wszystko skończone na zawsze!

— Odpowiem pani, jak ty mnie odpowiedziałaś przed chwilą: Na zawsze! Wielkie zobowiązanie, i tak niebacznie powzięte! Czy możesz pani być pewna, że je dotrzymasz? Pozwól życiu, niech idzie swoim torem, pokaże ono, że nic nie ma trwałego na tym świecie, nawet najszczerza boleść...

Milczała długo z oczami spuszczonemi, pozwalając towarzyszowi patrzeć na siebie dowoli.

A on podziwiał giętkość pełną wdzięku szczupłej postaci, eleganckie zaokrąglenie ramion obciśniętych w czarną skromną suknię, powab młodzieńczy i jakby zdziwiony wyraz ślicznej twarzyczki. Wyglądała na dwadzieścia lat zaledwie. Delikatny puszek pokrywał policzki, jak owoc dojrzały.

W końcu westchnęła i mówiła dalej:

— Tak gorąco pan mówi o swoim uczuciu... a ja gdybym uwierzyła ileż zmartwień gotowałabym sobie na przyszłość? Nie zależysz od siebie... tak jak ja, która mam tylko brata pobłażliwego i dogadzającego we wszystkim, masz rodzinę, która cię przyzwie, opuścisz Ars i nie wiem nawet gdzie odjedziesz?

— Powrócę do Paryża, tam ciągle mieszkam. A kto pani przeszkodzi żebyś także tam zamieszkała? Masz interesy we Włoszech. Brat je załatwi, a twojem całym zajęciem będzie uszczęśliwiać i być szczęśliwą.

— Boję się Paryża. Wielki jego ruch niepokoi mnie

jak szum morza. Zdaje mi się, że tam nie można znaleźć spokoju.

— O, jak pani się myli. Ruch paryski jest sztuczny. Powierzchnia tylko zmacona. Pokłady głębsze, tak samo jak w morzu, o którym wspomniałaś, spokojne i ciche... Są w tem wielkiem mieście zakątki pełne zieleni, światła i kwiatów, gdzie życie płynie słodko... Znalazłbym dla pani takie schronienie, i nauczyłabyś się tam spędzić dni w spokoju i bez gorączki. Zdała od hałasu, a blisko jednak ludzi, potrzebując jeden krok zrobić żeby uczestniczyć w rozrywkach umysłowych i zabawach mogących zadowolić gust najwykwintniejszy, znalazłabyś tego, co jest najdrogocenniejszem na świecie: samotności, upiększonej miłością delikatną i szczerą.

— Śliczny obraz i bardzo kuszący, a pan jest zręcznym reżyserem. Czy nie ma w tym obrazie trochę czarodziejstwa? Czy pan posiada laskę czarnoksiężnika, żeby tak rządzić przyszłością ludzi? Zamawiasz personal i dekoracje podług swojej fantazji, a gdyby cię posłuchano, czy mógłbyś urzeczywistnić program. Zdaje się, że nie bierzesz w rachubę otoczenia. Coby o tem powiedzieli twoi rodzice, twoi przyjaciele?...

— Oh! zgodziliby się, niech pani nie wątpi. Gdybyś wiedziała jak oni mnie kochają, jak wszystko co byłoby dowodem uspokojenia się i rozsądku z mojej strony, przyjęliby z radością! Mój ojciec ze swoją powierchownością trochę surową, jest najlepszym w świecie człowiekiem. Jeżeli oburza się na to co robię, to tylko z przywiązania i troski o moją przyszłość. Nigdy nie wymówił słowa egoistycznego, podczas naszych niepo-

rozumień. Spokój, zadowolenie swoje, wszystko dla mnie poświęca. Kocha mnie wyłącznie... A gdyby miał pewność, że szczęście moje mogłoby być zapewnione w warunkach uczciwych, poświęciłby swoje bez wahania. Co do mojej matki, to uosobienie obowiązku, cnoty i dobroci.

Przygryzła usta i odezwała się oschle jak gdyby ten zbyt pochwał ją nużył:

— Oto są uczucia godne podziwu! Czy pan nie jesteś dobrym synem, żeś mógł znaleźć się w niezgodzie, nawet chwilowej, z tak doskonałymi rodzicami?

Marceli się uśmiechnął.

— Nie jestem złym synem, ale nie zawsze byłem chłopcem rozsądnym.

— Czego panu do tego brakowało?

— Miłości poważnej.

Pogroziła Marcelemu ładnym paluszkiem.

— Obawiam się, że pan ofiarując mi siebie, dajesz na własność nie bardzo obiecującego młodzieńca.

— Nie sądz mnie pani źle, dla tego, że mówiłem szczerze. Nie byłoby to ani życzliwie, ani sprawiedliwie; gdyż powzięłabyś o mnie fałszywą opinię.

— No! Widzę, że stanowczo jest pan wzorem młodych ludzi! rzekła lekko.

— Teraz pani żartuje! Jaka ruchliwość umysłu, i jak panią przekonać?

— Eh! kochany panie, czyś myślał, że w mgnieniu oka i po kilku frazesach zdobędziesz mnie dla siebie? Ja jestem bardzo uparta. Czy przypuszczałeś, że wpływ wiosny w tej prześlicznej okolicy, bezczynność, samo-

tność, długie wieczory, to wszystko połączone z miłem twojem towarzystwem, usposobiły mnie odrazu aby cię przyjąć bez oporu? Trochę za prędko postępujesz, a moja melancholia nie nadaje się do rozrywek... Nie rób pan miny zmartwionej, mówię szczerze i bez surowości. Mogłabym udawać obrażoną, gdyż ofiarujesz mi serce odrazu, bez głębszego zastanowienia... Lecz w tym zakącie dzikim prawie, ludzie czują się bliżej natury, łatwo im powrócić do zwyczajów pierwotnych i niedbając o formy, wypowiadać co czują!... Uspokój się pan, przebaczam, lecz pod warunkiem, że się to nie powtórzy.

Marceli słuchał z osłupieniem młodej kobiety, mówiącej z żartobliwą żywością i zadawał sobie pytanie, czy to ta sama smutna i omdlewająca wdowa, która płakała przy fortepianie, śpiewając tkliwe melodje.

Twarz jej skrzyła się wesołością, a oczy patrzące figlarnie zadawały kłam słowom.

Przedstawiała niepokojące połączenie skromności i kokieterji; Marceli nie wiedział co myśleć.

Usta mówiły słowa surowe, a jednocześnie oczy wabiły. Obawiał się obrazić panią Vignola, upierając się mówić jej o miłości, a tajemny instynkt pchał go, żeby wziąć ją w ramiona i zamknąć te usta zanadto rozsądne pocałunkami.

Dzwon kościelny w Ars odezwał się na Anioł Pański i myśli ich w inną stronę zwrócił.

Młoda kobieta zerwała się mówiąc:

— Już szósta godzina! Jak czas idzie! Przez państwa nie będą wiedzieli w domu co się ze mną stało.

— Pani sama w domu!

— A moja służąca?...

— Ta cyganka osobliwa, którą pani nazywa Milo...

— Proszę o niej źle nie mówić... pan jej się podoba.

— Dziękuję za łaskę...

— Oh! nie każdy ją otrzyma. Uśmiecha się jak pan przychodzi... tak jak mój piesek, który panu ręce liże... Nie ze wszystkimi tak postępuje.

— Tak, podobam się służącej i psu... ale pani domu mną pogardza.

— Oh! pani domu... rozkazuje... a inni słuchają...

— A więc i ja będę słuchał.

Uśmiechnęła się rozkosznie, przywołała teriera, który zabłąkał się we wrzosach i wolno, przy boku Marcellego, zawróciła na drogę do willi

Kiedy dochodzili przed drzwi, ujrzeni człowieka zajętego układaniem przy drodze szychty kamieni, które wóz przywiózł tam rano. Duży młot i arfa druciana stały obok jego kaftana, pod osłoną ze słomy.

Zdjął grzecznie czapkę jak przechodzili, i, jak gdyby nimi się nie zajmował, robił dalej swoje.

Pani Vignola wydała się niezadowoloną z tej roboty tak blisko jej domu. Patrzyła uważnie na robotnika, a jak tylko brama ogrodu zamknęła się za nimi, zapytała:

— Co on zamierza tam robić?

— Tłuc kamienie, prawdopodobnie, rzekł Marceli. To jest kamieniarz, który będzie pracował wzdłuż drogi przez jakiś czas.

— Czy długo pozostanie przed moim domem?

— Kilka dni może.

— Nie dobrą ma fizjognomię. Czy to są ludzie pewni, nie trzeba się ich obawiać.

— Chyba hałasu, jak młotem uderzają w kamień. Lecz w domu pani nie będzie słyhać.

Pani Vignola nie zdawała się przekonaną. Chmura osiadła na jej pięknem czole.

— Jeżeli przeszkadza pani obecność tego biedaka, rzekł młody człowiek, zażądam od inżyniera drogowego, żeby go przeniósł gdzie indziej? Pójdzie ze swoją robotą o sto metrów wyżej, lub o sto metrów niżej. Pewny jestem że inżynier zrobi to dla mnie.

— O! nie chcę... Przyzwyczaję się do jego obecności. Po co mu przeszkadzać! Zresztą, on musi zarabiać na życie...

Podąła rękę Marcelemu, uśmiechając się. On zatrzymał tę rączkę w swojej i zapytał łagodnie:

— Nie gniewa się pani na mnie?

— Nie.

— Pozwoli pani przyjść jutro?

— Pragnę żeby pan przyszedł.

— Pozwoli pani mówić, że ją kocham?

— Jeżeli to panu sprawia taką przyjemność.

Zamilkli. Noc zapadła. Jednak mniej sami byli niż na polance w lesie Bossicant, i to może robiło ich śmielszymi.

Marceli przyciągnął za rękę, trzymaną mocno, młodą kobietę, bliżej siebie, bez oporu z jej strony. Lewą ręką otoczył szczupłą postać, pochylił się i złożył pocałunek na jej ustach...

W głowie mu się zakręciło, przywołał go dopiero do przytomności okrzyk bolesny; spojrzął, i zobaczył Anetę uciekającą do domu. Na progu stanęła, obróciła się, i skinęła ręką żeby nie szedł za nią.

Nie miła niespodzianka czekała go za powrotem do fabryki. Bramy zwykle otwarte, zastał pozamykane, a robotnicy stali grupami na ulicach.

Wszedł do odźwiernego z zapytaniem:

— Co tu się dzieje? Dla czego wszystko pozamykane? Co znaczą te narady na ulicach?

— Ah! panie Marceli, robotnicy dziś o trzeciej godzinie zaprzestali roboty. Pan dyrektor pytał się kilka razy o pana.

.....

Marceli rozmówił się z dyrektorem, który wziął na siebie przyprowadzenie fabryki do porządku, nie tał jednak, iż będą trudności, z powodu, że zagraniczni mENERZY wdali się w tę sprawę. Oznajmił także, że telefonował do panów Baradier i Graffa.

Młody człowiek wrócił do siebie.

Baudouin czekał na niego. Podając mu obiad, dobry sługa, któremu Marceli dozwalał niejakiej poufałości, kręcił się koło stołu zamiast iść do kuchni. Patrzył na swego pana i zdawał się chcieć wyczytać na jego twarzy tajemne wrażenia. Od kilku dni Marceli był milczący. Odtwarzał w myśli chwile spędzone przy pięknej włoszce, i choć nie mówił, lecz twarz rozjaśniało mu zadowolenie wewnętrzne.

Jednak pomimo zamyślenia, uderzyło go, że Baudouin nie odchodził.

Popatrzył na niego a potem zapytał:

— Co tobie jest, Baudouin? Wyglądasz jakiś wzburzony!...

— Czy pan nie wie co się dzieje w fabryce?

— Więc co! obawiasz się?

— Słowo daję, nie o siebie w każdym razie!

— A więc o kogo?

— O pana. Kiedy wyjeżdżałem z Paryża, pan Baradier przykazał mi, żebym strzegł pana. Gdyby się co stało, piękniebym wyglądał... Dla tego jestem wzburzony, jak pan powiada.

— Nie można nic innego robić, Baudouin, tylko czekać.

— Przepraszam pana, jest coś daleko lepszego: wsiąść na kolej.

— I zostawić fabrykę mojego ojca wystawioną na niebezpieczeństwa?

— Fabryka pana Baradier, tak, bezwątpienia, jest drogocenna, ale nie tyle, jak syn pana Baradier.

— Bądź spokojny, Baudouin, nic nie zrobią ani mnie, ani fabryce... Ludzie w Ars, to nie dzicy ludzie.

— Pańską obecność nie jest tu konieczna. Pan powinien jechać na tydzień do Paryża.

— Powiedzianoby, że uciekłem! A stary Cardez, który nie bardzo mnie lubi, powie, że potrafię tylko robić doświadczenia w laboratorium. Nie, nie, zostanie.

— Więc niech się pan zabezpieczy.

— W jaki sposób?

— Żeby mieć dobry rewolwer przy sobie.

— Na co mi się broń przyda, kochany Baudouin.

Jeżeli będę miał do czynienia z tłumem, nie będę się mógł bronić... jeżeli z jednym lub z dwoma ludźmi, to nie będę w niebezpieczeństwie.

— Przynajmniej, jeżeli pan ma rzeczy drogie, niech pan je schowa w bezpieczne miejsce.

Spojrzeni na siebie. Milczeli obydwaj. Marceli zrozumiał co chciał powiedzieć sługa generała. Spoważniał.

— Do prochów robisz aluzję, prawda Baudouin?

— Tak, panie, do prochów. Wiem, że pan posiada formuły. Wiem, że pan pracował w swoim laboratorium. Czy tam nie może być nic skradzionem, coby dało posiadanie sekretu temu, ktoby miał odwagę ważyć się na kradzież?

— Można zabrać prochy, Baudouin, można nawet skraść formuły. Nie znajdują pomimo to tajemnicy. Jest jedna mała rzecz, którą generał mi odkrył, a która jedna stanowi wartość wynalazku.

— A jednak dla tego tylko żeby ją osiąść, zabito mojego pana.

— Nie, Baudouin, zabito go dla tego, iż odmówił powiedzenia jakich proporcji używa. To wściekłość, że mu się nie udało, popchnęła rękę mordercy... Sądził, że będzie mógł zastąpić geniusz wynalazcy i sam znaleźć części składowe prochu. Chciał zgwałcić tajemnicę, po grubiańsku traktować naukę. Wtedy i on został dotknięty.

— A czy nie może on próbować zacząć na nowo?

— A czy on żyje? Lecz Baudouin, czy ty myślisz, że jest związek, nawet daleki, pomiędzy zamieszkami nawiedzającymi tę okolicę i sprawą tych prochów?

— Ja nie wiem, nie myślę o niczem, lecz nie do-
wierzam wszystkiemu co podejrzenie wygląda... W fa-
bryce są cudzoziemcy... Cudzoziemiec był w sprawie
prochów. Mój Boże, panie Marceli, ja może jestem głupi.
Lecz dużobym dał za to, żeby być w Paryżu, z panem,
ma się rozumieć.

— Bujną masz wyobraźnię, Baudouin.

— A więc, ponieważ widzę, że pan zdecydowany
jest nie brać w rachunek tego co ja mówię, żądam,
żeby pan dał mi klucz od laboratorium... Będę go
strzegł w dzień, w nocy, tam będę spał. W ten spo-
sób będę spokojniejszy.

— Dobrze, Baudouin, i owszem... Weźmiesz klucz,
leży w moim pokoju, na kominku... Jeżeli tego tylko
trzeba dla uspokojenia ciebie, to bardzo łatwo.

— To mnie zupełnie nie uspokoi, proszę pana, lecz
zrobi przyjemność.

Obiad się skończył, Marceli wyszedł do ogrodu i
chodził po wybrzeżu rzeki.

Wieczór był chłodny, przyjemny, ani jedna chmurka
nie zakrywała gwiazdzistego nieba. Od czasu do czasu
dochodziła wrzawa z miejskich szynków, gdzie robo-
tnicy świętowali, obchodząc bezrobocie.

Smutek ogarnął Marcelego, na myśl, że żony i
dzieci tychże, czekały w ubogich mieszkaniach powrotu
ojca na posiłek wieczorny, podczas kiedy robotnik, o-
blakany przewrotnością obcych menderów, ostatni grosz
wydawał na pijaństwo. Jak straszna nędza będzie na-
stępstwem tej przerwy w pracy!

Odwrócił myśli od nieszczęść, którym nie był w

stanie zaradzić, i skierował ją do willi Cavée.

Tam, w tym samym czasie co on, Aneta chodziła pewnie po ogrodzie. Widział ją samotną i rozmarzoną. O czem myślała jeżeli nie o nim, o nim, którego serce nią było przepelnione? Czyż dusze ich już się nie porozumiały? A ten pocałunek nie broniony, czy nie był dowodem, że i ona go kocha? Zadrżał na to wspomnienie i rzekł do siebie: A gdybym poszedł do niej? Nie spodziewa się mnie. Lecz co pomyśli, że tak pilno mi ją widzieć? Godzina niewłaściwa, jej osamotnienie, czy nie wyda się jej przyjsście moje obrażającym? Ona bezbronna, tem więcej powinienem ją szanować... Oh! ona mnie kocha, czuję to... Czyż mam przez pośpiech popsuć szczęście jakie mi przyszłość obiecuje?

Marceli w swoim szczerem przywiązaniu bał się obrazić delikatności tej, która wciągnęła go w straszne sidła, i trzymała już w nich opętanego bez ratunku...

Gdyby był mógł wejść teraz do willi Cavée i wsunąć się po cichu do salonu, byłby usłyszał Sopię i jej sługę dalmatkę, dzielące się swojemi wrażeniami, podczas kiedy siedząc na krześle jak na koniu, straszny Hans palił cygaro słuchając ich z miną ironiczną.

— Lecz, proszę pani, co zrobisz z tym biednym chłopcem, jak otrzymasz od niego to, czego chcesz?

— Bądź spokojny. Nie będzie mi ciężki. Łagodny jest i nad wyraz dobry. Opłaci mój wyjazd... Lecz jeszcze nie doprowadziłam go do punktu, do jakiego chcę ..

— To co my chemicy nazywamy, punkt rozpalenia do białości, rzekł Hans swoim ostrym głosem. Wiemy

co to znaczy, jak ty się w to wmieszasz, Sophia. To jest chwila, czyli punkt, w którym młody Zypiatyn wydał tajemnicę koncentracji wojsk na granicy Afganistanu; biedny Stenheim ukradł w ministerjum wojny plan obrony Herzogowiny, a nasz piękny Cezary Agostini...

— Nie mów o Cezarym, przerwała młoda kobieta, marszcząc czoło.

— Dla czego? To co on zrobił, jest najpiękniejszem ze wszystkiego. I gdyby teraz spróbował przekroczyć granicę włoską, sądzę, iż poszedłby gnić w którejś najodleglejszej fortecy Sardynii... Gdyż nie jest z tych, któremu nieośmielonooby się procesu wytoczyć... za dużo wie!... Niema wątpliwości, że ten jasnowłosy chłopak, którego przygotowujesz się teraz ostrzydz, jest łagodnym barankiem w porównaniu z tymi, których poprowadziłaś do zguby obojętnie, do tej pory... Lecz strzeż się, Sophia, ja cię znam dobrze... Nie jesteś w zwykłym usposobieniu, masz chwile milczenia, zamyślenia, co nie zwiastuje nic dobrego! Czyż byłabyś w trakcie zrobienia jakiego głupstwa?

Sophia zadrżała. Podniosła jasne spojrzenie na Hansa i rzekła surowo:

— Co chcesz powiedzieć?

— Ah! Ah! Zajęło cię jednak! Dziwi mnie to. Znadto jesteś inteligentna, żebyś się sama oszukiwała... I musisz zdawać sobie sprawę, że w twojej głowie dzieje się coś anormalnego. Wczoraj takim tonem oświadczyłaś: „chcę żeby włos z głowy młodego Baradier nie spadł“, iż dało mi to dużo do myślenia. Widziałem cię dziś wieczór kiedy powróciłaś, bardzo zde-

nerwowaną, co nie jest naturalnem u kobiety tak praktycznej, jaką ty jesteś... Zwykle, skoro odegrałaś swoją rolę, powracałaś do zwykłego stanu umysłu, zwykłego wyrazu twarzy, sposobu wyrażania się jasnego... Tym razem zupełnie co innego... Podlegasz wpływom zewnętrzny... Wreszcie, mówmy otwarcie: wydajesz się w trakcie zakochania w tym młodziku!

— Ja! krzyknęła Sophia prawie z gniewem.

— Tak, ty, Sophia, baronowa Grodsko, znana tu pod nazwiskiem pani Vignola. A, posłuchaj moja kochana, to byłoby głupstwem nad głupstwami!

— Hans, zawarjowałeś...

— I owszem, pragnę się mylić... Lecz ja mam węż djabelnie ostry! Słuchaj, Sophia, wszyscy mamy swoje słabostki... Nie dziwiłbym się, żeby ci się ten chłopiec podobał. A dziwiłbym się naprzykład ogromnie, gdyby przyszło ci do głowy związać go z sobą. Nic nie byłoby niebezpieczniejszem dla nas, dla niego i dla ciebie samej. Jeżeli to jest fantazja, i owszem, chwila sprzyjająca, willa odosobniona, i nie będę przed tobą ukrywał nawet, iż, jeśli odsuniesz Marcelego od fabryki, to posłuży moim projektom... Lecz żadnej miłości, prawda?... Fantazja, jak mówiłem, przemijająca... Akurat tyle, ile potrzeba do wykonania naszych zamiarów, utrzymania zwierzeń, dania tobie przyjemnej chwili, a potem, bądź zdrów!... Oto jak ja tę rzecz pojmuję.

— Oto jak ja ją także pojmuję, rzekła młoda kobieta chłodno.

— A więc wszystko dobrze. Skoro jesteś rozsądna, żadnej obawy, a wszystkiego można się spodziewać.

Słyszysz, Milona, jeśli by twoja pani okazała chęć bawienia się w sentymenty, ty przypomnisz jej zobowiązania...

— Ja jestem tylko na to, żeby jej słuchać, rzekła Milona z nienawistnem spojrzeniem, a nie na to, żeby rozkazywać. Co do pana, nie waż się wydawać mi rozkazów.

— A dla czegoż to, ty dzika dziewczyno?

— Ponieważ taka jak ja dziewczyna, może wyrzec się wolności aby iść za tym, kogo kocha, lecz nie jest stworzona aby służyć tym, których nienawidzi.

— To znaczy, że nie jesteśmy przyjaciółmi, moja mała, mówił Hans z grubym śmiechem. Jak ci się podoba, nie można nikogo zmusić do sympatji.

Milona zmierzyła go wzrokiem, wzruszyła ramionami, mówiąc coś w języku niezrozumiałym. Poczem wyszła.

— Co ona powiedziała w swoim djabelskim dialekcie?

— Powiedziała: Żebyś umarł spalony gorączką, żeby ci nikt kropli wody nie podał, synu wilezycy.

— Dziękuję za taką dobroć... Laska moja zrobi którego dnia znajomość z jej grzbietem...

— Ani się waż, Hans, oddałaby ci sztyletem.

— Zachwycające stosunki! Lecz ja nikogo się nie obawiam, wiesz o tem najlepiej. A jeżeli by ta dziewczyna chciała się buntować, podejmuję się nauczyć ją rozumu. Lecz mówmy o rzeczach poważniejszych. Masz wiadomości od Cezarego?

— Pisze, że wraca z Londynu gdzie interesy finansowe idą dobrze.

— Zręczny chłopak, na niego spuścić się można, jeżeli jeszcze dostanie córkę Lichtenbacha, powiem, że i szczęśliwy. No, a teraz, dobranoc.

— Idziesz spać?

— Nie. Wychodzę, muszę być w Ars.

— Tylko bądź ostrożny!

— To co mam tam robić, to zabawka dziecinna... Zapalił cygaro i wyszedł.

W ogrodzie było czarno. Szedł brzegiem trawnika, bez szelestu, a w nocy możnaby rzec, że to cień sunie. Bramę otworzył, bez skrzypnięcia, z precyzją klowna, zamknął, przyciśnięty do muru, aby go nie można było spostrzedz z drogi. Stał chwilę na miejscu osłonięty szychłą kamieni, potem wysunął głowę, obejrzał się dokoła, jak gdyby miał zdolność widzenia po ciemku. Po chwili poszedł drogą do Ars.

Kiedy uszedł ze sto metrów, rozsunęły się cicho gałęzie krzaków z drugiej strony drogi, i człowiek jakiś przeskoczył rów przy tej drodze. To był kamieniarz, który rozbijał od kilku dni kamienie na drodze przy Cavée. Zastosował swój chód do chodu Hansa i poszedł za nim ku miastu.

II.

Baudouin, po otrzymaniu od Marcelego pozwolenia pilnowania laboratorium, wyszedł na drogę. Noc już była.

Wziął fajkę, nałożył tytoniem, potem zatrzymawszy się przy parkanie, który służył do korespondencji z

Laforetem, potarł zapalną. Przy świetle jej znalazł na murze napisane czerwonym ołówkiem: dziś wieczorem o dziewiątej.

Baudouin zapalił fajkę, spojrzął na zegarek i mruknął do siebie:

— Dziś wieczorem, dziewiąta godzina. Rozumiem... mogę już iść do niego.

Zawrócił do oberży. Oberża nie była ciemna i cicha jak zwykle. Jasne światło padało z drzwi i okien, a z głębi sali dochodził gwar głosów pomieszanych.

Baudouin zbliżył się do jednego z okien, przy którym okiennice były przymknięte i słuchał. Jeden głos silniejszy górował nad wszystkimi, jak gdyby ktoś miał przemowę.

Obszedł dom dokoła, aż do bramy od podwórza i szukał, którędyby się dostać do kuchni, gdzie musiał być właściciel, jego przyjaciel.

Naraz poczuł czyjaś rękę na ramieniu, obrócił się i poznał Laforeta.

— Czatowałem na ciebie, rzekł agent. Oberża pełna ludzi... Myślałem, że właśnie wtedy przyjdiesz... Nie stójmy na podwórzu... mógłby nas kto dostrzedz.

— Gdzie pójdziemy?

— Do mojego pokoju.

Drewniane schody prowadziły na galerję idącą wzdłuż pierwszego piętra. Z pierwszego piętra znów schody szły na poddasze.

Laforet wynajął pokój pod dachem, najbiedniejszy z całej oberży, taki jak przystoi dla ubogiego kamieniarza.

Otworzył drzwi i dał znak Baudouinowi żeby usiadł na jego łóżku, potem uniósł górne okienko, które oświecało mansardę, i patrzył na dach dla przekonania czy nie ma tam kogo na straży. Spuścił potem okno i zaczął głosem cichym:

— Mów do mnie w same ucho. Po obu stronach mojego mieszkania są pokoje. Przepierzenia cienkie, słyszać wszystko co się mówi... Na prawo spi służąca, na lewo furman.

— Po co mnie wezwałeś? szpnął Baudouin.

— Bo w willi Cavée nasza piękna wdowa nie jest już sama. Jest mężczyzna w domu.

— Jaki mężczyzna? Brunet, ładny chłopiec, szczupły, mówi po włosku?

— Nie. Duży, tegi, blondyn, z brodą, który ma akcent cudzoziemski, raczej niemiecki.

Oczy Baudouina zaiskrzyły się w ciemności.

Ścisnął silnie rękę Laforeta i rzekł głosem drżącym:

-- Widziałeś go dobrze?

— Tak jak ciebie widzę.

— Ma obydwie ręce?

— Ma obydwie ręce.

Baudouin westchnął ciężko.

— Więc to nie on... Ah! przez chwilę miałem nadzieję...

— Że to mężczyzna z Vanves?... Poznasz go jak ci go pokażę?

— Nie jestem pewny, gdyż widziałem go tylko w ciemności, lecz gdybym go usłyszał, oh! bezwątpienia, pomiędzy tysiącem.

— Dobrze, spodziewam się, iż będę mógł zrobić ci tę przyjemność. On jest tutaj.

— W oberży?

— Na pierwszym piętrze, z trzema innymi. Gdyż on nie ma styczności z tłumem, porozumiewa się tylko z przywódcami. Szedłem za nim od willi aż tutaj. O! to mądry szpak. Co ja drogi zrobiłem! Trzy razy zmienił kierunek zanim wszedł do miasta, a potem do oberży. W tej chwili jest pod nami, koledzy jego także, naradzają się.

— A jakim sposobem zobaczę go i usłyszę? szepnął Baudouin.

— Zobaczysz. Lecz najpierw po co ten chłop przyszedł do willi Cavée i co on tam robi?

— Oh! to dla pana Marcelego, pewny jestem. Czuje dokoła nas groźby. Dla czego w fabryce niepokój, kiedy nigdy nie było najmniejszych zatargów pomiędzy wzorowymi właścicielami i robotnikami, którzy ich kochają? To wszystko dla jednej sprawy... Wiedziałem co robię, kiedy ciebie przyzwałem. Włoszka przybyła tu dla pana Marcelego, ten mężczyzna także, i wszystko, wszystko poruszone przez tych złodzieiów, którzy już mojego generała zabili.

— No dobrze, wyjaśnimy... o ile możności, to moja profesja. Prawdziwą przyjemność zrobiłbym ministrowi, gdyby mi się udało przyłapać tych ludzi... Gdyż, Baudouin, jeżeli się nie mylę, tutejsze sprawy są dal- szym ciągiem usiłowania kradzieży tajemnicy prochów w Vanves; mamy do czynienia z całą bandą, która nie pierwszy raz działa i która miała już z nami na

pieńku... Lecz mówmy o pilniejszym... Znasz ty gimnastykę?

— Dawny nauczyciel w szkole wojskowej, do usług.

— Przepraszam! Więc nie trzeba cię uczyć, kiedyś uczył drugih... Chodź za mną...

Skoczył na krzesło, podniósł okno i wyszedł na dach. Baudouin zrobił to samo. Noc była bezksiężycowa. Laforet wskazał koledze mały daszek cynkowy, dotykający pierwszego piętra.

— Widzisz to... Nasi panowie siedzą w pokoju, od którego okno oświecone znajduje się po nad tym daszkiem. Trzeba tam zejść niedostrzeżonymi i bez hałasu... Z daszku musi być widać wewnątrz, a słychać napewno...

Baudouin spojrzał na dół szukając sposobu zejścia.

— Jak się tam dostać? Sześć metrów, bez drabiny.

Laforet pokazał mu rynnę.

— Słowo daję... prawda!... No, dalej do roboty.

— Włóż trzewiki do kieszeni.

Rozzuli się obydwaj, potem agent objął nogami rynnę, uchwycił się rękami i zaczął się zsuwać.

Baudouin pochylony patrzył z niepokojem. Obawiał się czy rynna dość mocna. Po upływie paru minut Laforet stanął na dachu, potem położył się na brzuchu.

Baudouin wtedy wykonał taki sam manewr i za chwilę leżał obok Laforeta; odpoczęli i Laforet poczołgał się pod okno pokoju, gdzie odbywała się narada, ukląkł i patrzył.

Po przez muślinowe firanki ujrzał ciemne sylwetki siedzących przy stole mężczyzn.

Jeden z nich podniósł się i mówiąc chodził wzdłuż pokoju. W miarę jak zbliżał się lub oddalał od okna, głos jego mniej lub więcej wyraźnie dochodził do Laforeta.

Ten ostatni nie odwracając się, przyciągnął Baudouina, przyłożył usta do jego ucha i mówił:

— Źle widać, ale dobrze słysząc. Przysuń się.

Baudouin przysunął się, i wyteżył słuch, aby odkryć to czego szukał z taką ciekawością. To nie tego co chodził głos było słysząc. Ten co mówił, siedział przy stole i przerzucał papiery. Trudno było pochwycić co mówił. Niektóre jednak słowa dochodziły wyraźniej na zewnątrz: „Niema interesu robić gwałty... bez korzyści... Zwracać uwagę...” Łatwo jednak było zrozumieć, że nie zgadzał się z tym, który chodził. Naraz chodzący zatrzymał się i rzekł głosem stłumionym:

— Ja tak chcę!

Laforet szepnął:

— Czy to on? Poznajesz głos?

— Nie! rzekł Baudouin zmartwiony, nie poznaję.

Mężczyzna, siedzący złożył papiery, schował je do kieszeni i oświadczył:

— Więc nie pozostaje, jak tylko być posłusznym!

Ten, co chodził, podszedł do stołu, poklepał po ramieniu kapitulującego przeciwnika i rzekł wesoło:

— Tak to lubię! Za dużo kosztowało! Działajmy zatem! Nikt nie będzie tego żałował! i wybuchnął śmiechem.

Laforet poczuł rękę kolegi wpijającą się w ramię, a jednocześnie Baudouin mruknął z akcentem wściekłości:

— To on! Oh! to on! To jego śmiech!

Poruszył się, jak gdyby chciał się wyprostować.

Laforet zmusił go, żeby nie zmieniał pozycji.

— Słuchaj jeszcze! Przekonaj się, że się nie mylisz.

— To on! Nie mogę się mylić! Jego śmiech! Ah! ten sam, który słyszałem w pamiętny wieczór zbrodni, kiedy wysiadł z powozu.

— Więc skończyliśmy. Chodźmy ztąd, nie potrzeba dłużej się narażać.

Zsunął się z dachu, za nim Baudouin i cicho skoczyli na kupę słomy leżącą pod ścianą. Brama była zamknięta, lecz Laforet umiał przemawiać do zamków i w sekundę obydwu byli na ulicy.

— Co teraz zrobisz? rzekł Baudouin. Żandarmi o dwa kroki. Czyżbyś wahał się z pochwyceniem tego łotra?

— Dobryś! rzekł Laforet. A potem?

— Jakto, potem?

— Tak. Wystaw sobie, że mamy go już... Nie łatwiejszego bowiem jak ująć go teraz... Czekamy jak będzie wychodził, poprowadzimy do komisarza policyjnego. No a potem?

— Oskarżamy go o zbrodnię w Vanves, oddajemy sądom, dowodzą mu tej zbrodni i skazują.

— Doprawdy! Dowodzą? Ty w to wierzysz, ty? Takiemu jak ten, z którym mamy do czynienia? Mamy go złapać nieprzygotowanym? Nie miałby, niby dobrego alibi, aby dowieść, że tego wieczora znajdował się o dwieście mil od Vanves? A jakich świadków masz, żeby mu dowieść? Ty, sam jeden, a niema pięciu mi-

nut, jak nie byłeś pewny, że to on... A podczas kiedy trzymalibyśmy tego ptaszka pod kluczem, aby w końcu może zmuszonymi być wypuścić go, drudzyby się rozlecieli. Toby nazywało się być dobrymi agentami.

— Nie można jednak założyć rąk i pozwolić tej bestji odejść swobodnie.

— Ta bestja jest w trakcie przygotowania tu jakiejś sztuczki, jak to on umie, i nie wypada przeszkadzać mu w chwili wejścia na scenę.. A piękna pani z willi Cavée... i ten jej niby braciszek? A wszystkie te łotry, co pracują teraz nad zrujnowaniem fabryki Baradier i Graff? Nie interesujesz się nimi? Jednak dobrze i ich obserwować... i od jednego razu nauczyć ich, że wszystko odkryte? Czyżbyś tego nie chciał?

— Być beczynnym widzem tych wszystkich machinacji?

— Tak, widzem, tymczasowo. Beczynnym, nigdy! Ja nie dla rozbijania kamieni jedynie przyjechałem do Ars z Paryża. Ja jestem agentem i chcę być dobrym.

— A nie mogę przynajmniej uprzedzić pana Marceliego?

— Pod żadnym pozorem! Wyprawiliby odrazu scenę swojej pięknej pani, i wszystko stracone. Na miłość Boską, nie przypuszczajmy do naszych interesów ludzi zakochanych. Tylko głupstwa można się od takich spodziewać!

— A jeżeli pan Marceli wpadnie w jaką zasadzkę?

— Eh! nie obawiaj się o niego! Nieszczęśliwy człowiek, musi flirtować z ładną kobietą, która mu niczego nie odmówi, jeżeli tylko będzie chciał.

— Oh! to wcale mu nie przeszkadza, taki bałamut skończony!

— A więc, pozwól mu się bałamucić... Przez ten czas ja będę śledził dużego rozbójnika, który jest tam na górze i już go nie opuszczę aż do chwili, kiedy będę miał wszystko co mi potrzeba, żeby go oddać w łapy waszego sędziego, oczekującego z upragnieniem w Paryżu... Dobrze?

— A cóż, muszę się zgodzić!

— Idź do twoich interesów, mnie zostaw moje.

Uścisnęli się za ręce i rozstali, każdy poszedł w swoją stronę.

W oberży zamkniętej, z oświeconemi oknami, rozbrzmiewały śpiewy i krzyki. Fabryka w dali rysowała się na tle nieba gwiaździstego ciemną masą budynków.

Kiedy Baudouin przechodził obok łóża odźwiernego, ten zatrzymał go, mówiąc z wyrazem radości:

— Pan Graff przyjechał!

Wuj Graff zaniepokojony tem co Cardez telefował, nie namysławiając się, zostawił Baradierowi ukończenie bardzo ważnej operacji na giełdzie z akcjami towarzystwa materiałów wybuchowych i pierwszym pociągiem pojechał do fabryki.

Marceli, który spacerował z cygarem w ustach nad rzeką, zobaczył zanego człowieka, zbliżającego się wzdłuż klombów kwiatowych i rzucił mu się radośnie na szyję.

— Jakto, wuju, to ty?

— Tak, mój mały, chciałem sobie zdać sprawę z tego co się tu dzieje. Rozmawiałem z Cardezem. Teraz

wiem czego się trzymać... Mówmy o tobie... Czyś zdrow? Co robisz? Bez wymówek, ale nie często przysyłasz do domu wieści o sobie. Matka niezadowolona. Wczoraj jeszcze mówiła: „Nie zajmuje się nami!... Nie myśli o nas!... Nie kocha nas!...“

— Ja! zawołał Marceli. Co znowu?

— Jakże chcesz, mój mały, żeby biedna kobieta się łudziła? Nie pisujesz do niej wcale! Ah! te dzieci, wiem, że nie dla rodziców żyją, a dla siebie samych. Lecz wreszcie, mogłyby one w każdym razie zrobić coś z siebie od czasu do czasu dla tych, którzy ich wychowali, pielęgowali, kochali.

— Wuju drogi, martwisz mnie bardzo, rzekł Marceli ze wzruszeniem. Więc tak moje milczenie może być tłumaczone? Żeby być posłusznym ojcu, zamykam się w Ars na długie tygodnie. Sądzę, że daję mu tem dowód chęci poprawy po kilku głupstwach, trochę krzyżujących, jakie zrobiłem...

— Trzysta tysięcy franków długu, mój Marcelku, nie licząc tego co dałem ci bez wiedzy rodziców, a w jakim krótkim czasie, co?

— Ah! wuju, po co wracać do tego?

— Tak, tyś już zapomniał!

Marceli się uśmiechnął.

— Ty, wuju, jesteś pobłażliwy, ty rozumiesz młodość!

— Jednak sam nigdy nie byłem młody. Ah! mój chłopcze, miałem wszelkie dążenia. Byłbym uwielbiał przyjemności, zbytek, kobiety, lecz miałem minę smutnego mazgaja. Śmianoby się ze mnie! Nie urodziłem

się do roli pierwszego kochanka, a nie chciałem roli komicznej.

— I poświęciłeś się świetnej roli finansisty! Dobry mój wuju, ty to płacisz jak twój łotr synowiec narobi długów. Ah! ja cię bardzo, bardzo kocham, mój wuju!

Ujął go w ramiona i tulił do siebie.

Stary kawaler patrzył ze łzami w oczach na pięknego chłopca, który uśmiechał się do niego. Pokręcił głową, zakaszlał, żeby pokryć wzruszenie, potem rzekł:

— Tak, tak, jesteś do mnie przywiązany, wiem o tem... Otóż chcesz zrobić mi przyjemność? Napisz miły liścik do matki.

— Dobrze, dobrze wuju, jutro rano, i w dodatku, drugi do ojca.

— No, zacne z ciebie dziecko!... Ale, ale, powiedz no, tu jakoś źle idzie! Co się stało naszym robotnikom?

— Rzeczywiście, nie dobrze jest, lecz Cardez niezręcznie postępuje.

— Ja sam zajmę się tą sprawą, przeprowadzę układy... A ty, co robisz? Pracowałeś w laboratorium?

— Bardzo dużo. Znalazłem blado-zielony i żółto-żółty, dwa kolory, których tak szukałem... Zobaczysz próbki.

— A tamta sprawa?

Zniżył głos jak gdyby się obawiał:

— Prochy?

— Formuły wypróbowane, skutek zapewniony.

— Robiłeś doświadczenia?

— Tak, wuju, i straszne swoją prostotą. Poszedłem, niosąc cienki knot, nasycony prochem, zastosowanym do przemysłu, na wzgórze Bossicant. Otoczyłem dół

dębu knotem. Wywołałem iskrę, i prawie bez hałasu, bez dymu, ogromne drzewo podcięte przy ziemi jak olbrzymią kosą, położyło się na wrzosach.

— Nikt cię nie widział?

— Nikt. Nazajutrz strażnik powiedział: „Ah! panie Marceli, wielkie nieszczęście się stało. Stary dąb, na wzgórzu, tej nocy burza złamała. To ciekawe, jak te stare drzewa pękają! Wiatr to tęgi drwał“!... A prawdą jest, że nie nie może dać pojęcia o sile niszczącej tego prochu. Chciałem jeszcze go wypróbować, tym razem do strzaskania skały. Poszedłem do starych łomów kamienia przy drodze do Sainte-Savine. Podłożyłem petardę, taką samą jak pod dąb, w zagłębienie. Było dobrze trzysta metrów ziemi i kamieni do wysadzenia. Podłożyłem ogień i odszedłem. Nikt nie miał tamtędy przechodzić aż do rana, nie obawiałem się zatem wypadku. Huk był bardzo słaby. Byłem w oddaleniu kilometra i zaledwie go usłyszałem. Nazajutrz przyszedłem żeby przekonać się o skutku. Przerażający! Cały wierzch został uniesiony a w dole dziura na sześć metrów w formie moździerza wyżłobiona... Pewny jestem, że przy stosownym ładunku, można górę wysadzić w powietrze... Wiesz co, wuju, gdyby Hiszpanom przyszła fantazja zniszczyć Gibraltar, założę się, że z pomocą tego prochu zrobiliby to z pewnością. Piękny byłby widok, co? cała ta masa, fortyfikacje, skały, kamaty, armaty i wszystko wpadające w morze!

— Zredagowałeś formuły?

— Jeszcze nie.

— A więc, zredaguj i daj je mnie... Zabiorę do

Paryża i złożę w biurze patentów... Teraz właśnie przyszedł czas użytkowania z tych wynalazków.

— Będiesz je miał jutro rano, wuju, to sprawa jednej chwili.

— Widzisz, mój chłopcze, twój ojciec i ja od niejakiego czasu wprowadzamy w wykonanie projekt, który będzie miał wielkie następstwa. Baradier, który słyszy jak trawa rośnie, co dotyczy interesów, zdał sobie sprawę z intrygowania Lichtenbacha. Ten stary łotr kazał sprzedawać na gwałt akcje towarzystwa materiałów wybuchowych, i doprowadził te papiery prawie do zera. Zapytywaliśmy siebie dla czego spadek szedł tak gwałtownie, kiedy traf dał nam dowód, że to Lichtenbach intryguje dla zrujnowania towarzystwa, ażeby potem odbudować je na swoją korzyść... Operował z pomocą siedmiu czy ośmiu swoich agentów. Lecz jeden z nich popełnił niedyskrecję, która nam oczy otworzyła. Wtedy twój ojciec, który jest sprytny, nie wahał się, kazał kupować wszystko co Lichtenbach sprzedawał i odrazu przyszła zwyżka. W obecnej chwili jesteśmy posiadaczami dwustu tysięcy akcji rzeczzonego towarzystwa, kupionych po niskiej cenie, a które jutro jeżeli patent nowego prochu będzie złożony i nabyty przez towarzystwo, przeniosą dwieście procent. Jeżeli tak się stanie, majątek naszej rodziny powiększy się dziesięć razy. To co chciał Lichtenbach zrobić akcjonariuszom, my jemu zrobimy; straci to, co my zarobimy. I tym razem, jak sędzę, skończymy z nim raz na zawsze.

— Dobrze, wuju, będziesz miał jutro formuły, i zrobisz z niemi co zechcesz...

— Zrobię poprostu majątek dla panny de Tremont i dla nas w dodatku.

— Ah! czy nie dość jesteście bogaci?

— Tak, ja mam dosyć, lecz twój ojciec jest ambitny. Chce maximum we wszystkim. Utrzymuje, iż niema racji aby majątki francuskie nie były tak ogromne jak majątki amerykańskie.

— Ah! Vanderbilty i Astory zawrócili mu w głowie!

— Mój drogi, ty nie pojmujesz upojenia powodzeniem, które owłada umysłem najspokojniejszym. Wiesz jaki twój ojciec jest skromny dla siebie... Wydaje mniej pieniędzy niż ty... Lecz to nie jest już sprawa używania, to jest kwestja arytmetyczna...

— Eh! Wiem dobrze. Lecz to właśnie jest złem. Lepiej byłoby mniej być bogatym a wydawać więcej pieniędzy. Ja sądzę, że marnotrawca taki jak ja, więcej robi dla ludzkości z punktu widzenia społecznego, niż taki składający pieniądze na zapas, jak mój ojciec.

— Ależ, Marcelku, praca twojego ojca wzbogaca kraj, a oszczędność wzmacnia go. Bogacze swoimi środkami, w chwilach niebezpieczeństwa naród podtrzymują i dają mu siłę... Twój ojciec jest obywatelem, przynoszącym korzyść krajowi, tak samo jak wynalazca geniuszem, lub generał walecznością i rozumem. To ojciec twój da wynalazcy kapitał dla urzeczywistnienia jego wynalazków, on zapłaci proch, armaty, broń ulepszoną... Każdy ma swoją funkcję w życiu i w społeczeństwie. I zaręczam, że ojciec nie jest najgorszym...

— Wuju, ja mówię do ciebie uczuciem, ty odpowiadasz ekonomią polityczną. Niepodobna żebyśmy się porozumieli... Ja mam rację i ty także. Tylko nie o tej samej rzeczy mówimy.

— A w dodatku, mój mały, nie jesteśmy jednej generacji. Idee zmieniają się kilka razy w ciągu jednego wieku. Ojciec twój i ja widzieliśmy wojnę, najazd, przeszli ruinę, i pamiętamy co kosztował okup. To nas uczyniło oszczędnymi na resztę życia naszego. Ty, urodziłeś się kiedy pomyślność zawitała znowu, wychowany byłeś pod wpływem idei republikańskich. Mój ojciec wdroił mnie do szacunku dla kast i już się nie przerobię. Ty sądzisz się równym człowiekowi w wieku, doświadczonemu, udekorowanemu i sławnemu, i traktujesz go poufale. Jabym tego nie potrafił. Tak samo jak nie mogę pojąć, żeby dozorca fabryczny mógł mnie uważać za równego sobie i klepał mnie po ramieniu... Być może, że ty i twoi rówieśnicy macie rację... Jednak ja osobiście w to nie wierzę. W każdym razie zobaczymy, jakie będą wasze dzieci, jeżeli je mieć będziecie, gdyż rodzina, to także instytucja, która wychodzi teraz z mody.

— Jak ty to mówisz, wuju! Ah! masz sposób dyskutowania w najważniejszych kwestjach, spokojnie i bez uniesienia. Ojciec, onby już ze trzy razy nazwał mnie głupcem, a nie dał żadnego na to argumentu. Ty, zupełnie co innego, a kiedy cię słucham, nie jestem już tak pewny, czy mam rację. W dodatku, jesteś taki dobry, wuju, że nie czuję się zdolnym spierać się z tobą długo!

— Ah! ty niedobrego, ty mnie pieścisz, pochlebiasz, każesz robić co sam zechcesz i wiesz o tem dobrze... W gruncie tyś mądry chłopak i sędzę, że kierujesz nami...

— Oh! wuju, wuju!

— No, przyznaj, nie na darmo jesteś taki miły, rzekł stary kawaler ze śmiechem. Czy masz tam co ukrytego?

— Nie, słowo daję!... A co mówiłem, to z serca...

— Naprawdę, ty jesteś dobry chłopak. Masz złe chwile!... Lecz masz i dobre! Więc jak teraz, jesteś rozsądny?

Marceli podniósł oczy do nieba i rzekł ze spokojem niezmaconym:

— Daj mi sposób, wuju, żeby mogło być inaczej?

— Masz kłopot w znalezieniu sposobności. Słowo honoru, jestem przekonany, że gdyby cię zamknięto na bezludnej wyspie znalazłbyś i tam sposób zakazania się i narobienia długów.

— Tak, ale ktoby je płacił, gdyby wuja Graffa tam nie było?

— Zdaje mi się, że drwisz ze mnie?

— Nie, jestem bardzo poważny i bardzo rozsądny, nie wychodzę z laboratorium, chyba przejść się do lasu, a nawet dwudziestu pięciu franków nie wydałem odkąd jestem w Ars...

— Muszą kobiety być tu naprawdę brzydkie!...

— To fakt, że nie ładne!

Okrutna wrzawa podniosła się w stronie miasta i przerwała odrazu rozmowę.

Wuj Graff potrząsnął głową ze smutkiem:

— Słyszysz, rzekł, serce boli myśląc o tych zblą-

kanych ludziach... Chodź, późno już, wróćmy do domu i spróbujmy zasnąć.

Nazajutrz od samego rana wuj Graff był w ruchu. Poszedł do Cardeza, żeby się z nim naradzić.

Marceli zaś udał się do laboratorium. Obiecał zre-dagować formuły prochów i chciał to zrobić swobodnie. W laboratorium zastał Baudouina, który porządkował naczynia do doświadczeń chemicznych. Pochwalił ład panujący w kafarnaum.

— Wybornie, rzekł, pokój ten dawno już nie był tak czysty. A kurcz, musiał się dopiero dziwić, że go niepokoją... Lecz dobrze zrobisz, Baudouin, nie dotykając żadnych materiałów... Są tutaj bardzo niebezpieczne...

— Oh! panie, znam się z nimi! Dość się przytem narobiłem z moim biednym generałem. Trzymałem się wierni tego co mi raz na zawsze powiedział: „Strzeż się, nie zamieszaj nigdy nic z tego co jest w słojach i butelkach“. I to po tem co zaszło w Vanves, miałbym się odważyć dotknąć czegokolwiek?...

— Spałeś w pawilonie, Baudouin?

— Tak, panie Marceli. Zrobiłem sobie posłanie pod strychem i bardzo mi dobrze. Dokąd po okolicy będą się kręcić podejrzane figury, będę tam spał... na jedno oko.

— Ja myślę, kochany Baudouin, że ludziom, do których robisz aluzję, więcej chodzi o fabrykę niż o laboratorium...

— Nie wiadomo, panie Marceli. Straszna mieszanina w towarzystwie, które przybyło nam od kilku dni...

— Można by myśleć, żeś odkrył nadzwyczajne rzeczy.

Baudouin spuścił głowę. Obawiał się, że za wiele

powiedział i przypomniał sobie rozsądne rady Laforeta.

— Oh! ja nie jestem na to dość dowcipny, lecz proszę, strzeż się panie Marceli... Strzeż się i nie wierz nikomu... Nikomu!...

Wyszedtł, a Marcelego uderzyło naleganie wiernego sługi. Co znaczyło tajemnicze ostrzeżenie, jakie dał mu Baudouin? Czy wiedział więcej niż chciał powiedzieć? Do kogo robił aluzję mówiąc: nikomu... nikomu... Wiotka i czarująca sylwetka pani Vignola stanęła mu na oczach. Czy jej nie powinien ufać? I ujrzał ją w myśli śliczną i rozmarzoną, chodzącą z nieodstępnym smutkiem po lesie Bossicant. Czego mógł się od niej obawiać? Jedynie niebezpieczeństwo może być tylko, że będzie ją kochał bez wzajemności. Ah! to rzeczywiście straszne, a przeciw temu czuł się bezsilny. Kochać, i nie móc wywołać uczucia. Co się z nim stanie, jeśli takie nieszczęście go spotka?

Myślał o tem ze strasznym bolem serca, prawie od przytomności odchodząc, tak dalece już młoda kobieta zawładnęła sercem jego i głową.

Chodził po laboratorium strapiony, i zatrzymał się dopiero usłyszawszy, że się drzwi otwierają.

To był wuj Graff.

— Wiesz, że mamy dziś naradę z syndykatem robotniczym, o dziesiątej rano.

— Tak, nie zapomniałem.

— Ale co tobie? Nie jesteś w zwykłym humorze. Czy masz zmartwienie?

— Nie, wcale.

— A ja chciałem prosić cię o jedną rzecz.

— O co?

— Żebyś poszedł na spacer i nie był obecnym naradom.

— Dla czego? To musi być pomysł Cardeza. I on myślał, że usłucham?

— A gdybym ja żądał żebyś nie był obecny.

— Ale dla czego?

— Bo nie bardzo tu bezpiecznie... Zaręczam, Marceli, że mam słuszne powody... i gdybyś był rozsądny, wsiadłbyś na pociąg i powrócił do Paryża.

— Otóż, wuju kochany, nie jestem rozsądny, wiesz o tem oddawna. Dowiodłem tego w różnych okolicznościach, i dziś jeszcze dowiodę. Nie odstąpię cię na krok, będę przy tobie cicho, spokojnie, żeby nie przeszkadzać. Lecz będę... bo to jest moje prawo i obowiązek. A wreszcie, gdybym cię usłuchał, sambyś potem powiedział: „Marceli bardzo prędko mnie posłuchał, jak mu kazałem odjechać. Ten chłopiec zapala się tylko do przyjemności; jak niebezpieczeństwo, to go niema“.

Grafi słuchał siostrzeńca, patrząc na niego z pod oka. Twarz jego stroskana rozjaśniała się stopniowo przy cieple słów Marcelego. Niekontent był zapewne, że nie chce go słuchać, lecz pochwalał w duszy, iż pokazał się odważnym i przywiązanym. Oh! przywiązanym przedewszystkiem. W czułem sercu starego kawalera protestacje Marcelego dźwięczały rozkosznie. Czuł, że to dziecko kocha go, to dziecko, które on kocha jak własnego syna, i całe niezadowolenie jego toniało w uczuciu szczęścia.

Nie chciał jednak okazać co czuje, zmarszczył się, lecz oczy się śmiały, podczas gdy usta gderały:

— Dobrze, dobrze! Nie mogę cię zmuszać. Jak ci się podoba! Jeżeli przytrafi się nieszczęście z twojego powodu, nie moja wina...

— Wuju drogi, zginiemy razem! zawołał wesoło młody człowiek. Czy można wymarzyć śmierć świeńszą!

— Tegoby jeszcze brakowało!

Marceli pociągnął wuja do stołu, a wskazując mu słój szklanny niewielkiej objętości:

— Spójrz no wuju na ten słój. Otóż rzuciwszy w niego palącą się zapalkę, mógłbym wszystkich tych manifestantów w nicość obrócić.

— Więc to jest ten sławny proch?

— Ten sam.

— Pokaż mi go.

Marceli wziął słój, odkorkował i wysypał na rękę małe podługne wiórki szare. Silna woń kamfory rozeszła się po laboratorium.

— To proch wojenny. Obecnie to są wiórki, lecz mogę go zrobić w pastylkach. Wtedy podobny jest do guzików bez dziurek. W wiórkach wygodniejszy jest do ładowania dużych pocisków. W pastylkach stosowniejszy do kartaczy. Nie sprasowany pali się jak papier Armeński, bez dymu, z silnym zapachem santolu. Chcesz zobaczyć?

— Nie! rzekł wuj Graff z żywością. Nie bardzo lubię jak dotykasz tych substancji. Czy można wiedzieć! Może wybuchnąć najniespodziewaniej!

— Ależ nie... niepodobieństwo! A że ten proch pachnie kamforą, możnaby go w lato kłaść w ubranie od moli...

Śmiał się. Wuj Graff uspokojony nieco, zmusił go żeby postawił stół na stole.

— A proch do przemysłu?

— Nie ma gotowego. Lecz formuła spisana jest w tej szufladzie.

— Więc z tą formułą można wyzyskać wynalazek Tremonta?

— Można. Pod warunkiem żeby wiedzieć jak się ją czyta... Lecz to, to już moja tajemnica i nie wydam jej, aż w chwili eksploatacji. Rodzaj produktów do użycia, dozy, są wyliczone, ale nie więcej.

Otworzył szufladkę, i wziął arkusz papieru, na którym u góry było napisane: Formuła prochu nr. 1 potem kilka wierszy słów w skróceniu i z liczbami.

Podał wujowi, lecz ten nie chciał wziąć.

— Zostaw w szufladzie. Nie potrzebne mi to w tej chwili. Dasz mi wieczorem, już po naradzie. Napiszę wtedy do ojca i pošlę mu ten papier.

— Jak chcesz, wuju, rzekł Marceli.

Schował arkusz do szufladki i zamknął na kluczyk.

Wuj już wychodził.

— Idę do Cardeza, jeżeli będziesz potrzebował zenną się widzieć, znajdziesz mnie u niego.

Marceli zostawszy sam, zbliżył się do otwartego okna i patrzył na rybaka, który na rzece płynącej u stóp domu, siedział w łódce uwiązanej u brzegu i zapuszczał wędkę.

Szeroki kapelusz słomiany okrywał mu głowę i część twarzy, szara bluza wzdymała się na plecach.

Zdawało się, że nie widzi Marcelego. Nałożył fajkę, zapalił i zaczął zapuszczać wędkę. Za chwilę ryba się schwycała, wyciągnął ją szybko w górę, i cisnął w łódkę.

Marceli, zabawiony, usiadł na oknie. Minął przeszło kwadrans jak śledził szczęśliwy połów człowieka w bluzie, kiedy drzwi laboratorium otworzyły się i Baudouin wszedł.

— Panie Marceli, jest tam ktoś u odźwiernego, co chce się z panem widzieć.

— Kto taki?

Baudouin się skrzywił.

— Coś nakształt panny służącej.

Marceli zerwał się szybko. Pomyślał: Milona przyszła od pani Vignola. Czy się tam co stało?

I był już na podwórzu.

Baudouin patrzył za nim z niezadowoleniem.

— Jak on biegnie! Ah! to go dopiero trzyma ta łotrzyca! A ta służka, ze swoją cygańską twarzą. To wszystko podłe jest strasznie!

Marceli, jak się tego domyślał, zastał Milonę przy łożu odźwiernego.

Pociągnął ją na stronę i zapytał z niepokojem:

— Nie się nie stało pani Vignola?

Milo uśmiechnęła się spokojnie.

— Nie... kiedy ja tu jestem. Lecz moja pani niepokojna o pana. Słyszała krzyki, groźby i widziała ognie w nocy. Chce pana widzieć, żebyś jej powiedział co znaczy ta wrzawa, żebyś ją uspokoił...

— Czy mogę iść zaraz, Milono?

— Ona czeka na pana.

Uśmiechnął się z radości.

— Idź więc, Milono. Nie trzeba żeby nas widziano razem. Za parę minut przyjdę, powiedz to twojej pani.

Milo skłoniła głowę z rodzajem dumy, spojrzała czule prawie na młodego człowieka i rzekła:

— Niech się pan nie spóźnia; ona wtedy tylko zadowolona, jak pana ma przy sobie!

Marceli stłumił okrzyk radosny:

— Oh! Milono. Czy ona ci się zwierzyła?

— Nie! Gdyby się zwierzyła, nie zdradziłabym jej nigdy. Lecz widzę dobrze jaka jest sama, a jaka z panem...! Zupełnie inna... Przychodź pan! Płakała dziś rano.

Kiwnęła głową, położyła palec na ustach i oddaliła się.

Marceli patrzył za nią. Serce biło mu gwałtownie, przed oczyma płomienie migwały. Zapomniał wszystkiego. fabryki, bezrobocia, niebezpieczeństwa, wuja Graffa i pięknych swoich postanowień. Myślał tylko o zachwycającej blondynce, czekającej na niego w samotnej willi, i biegł do niej całymi siłami młodości i miłości.

III

W willi Cavée, w salonie przyćmionym, Marceli i pani Vignola, siedząc obok siebie, rozmawiali przy otwartem oknie. Była godzina dziesiąta, słońce podniosło się już wysoko na niebo bez chmurki, a gorące jego

promienie siały przez gałęzie drzew łagodne blaski na dwoje zakochanych.

Pani Vignola mówiła głosem poważnym:

— Ah! nawet w tem ustroniu, wśród lasów, zdala od miast, nie ma spokoju bezwzględneho.

— Nieszczęśliwie pani trafiła. Nigdy jeszcze ludzie w Ars nie okazali się burzliwymi. Zwykle są to istoty spokojne, pracowite. Jeżeli zadają czego, robią to grzecznie i z umiarkowaniem, pewni z góry, że otrzymają to, czego sobie życzą. Nie wiadomo co za szaleństwo przyszło im do głowy!

Pani Vignola uśmiechnęła się.

— Zapewno ktoś im złych rad udzielił... Lecz to wszystko nic nie znaczy! Najważniejsze, żebyś pan nie był narażony; kiedy wczoraj usłyszałam krzyki, pogroźki, drżałam...

— Więc pani interesuje się mną trochę?

— Czy może pan pytać?

Ujął z zapalem piękną rękę, której nie myśłano mu bronić.

— A więc posłuchaj, Aneto, ja nie pojmuję jak mogłem żyć wtedy, kiedy ciebie nie znałem. Zdaje mi się, że żyję dopiero od miesiąca...

Pogroziła mu białym paluszkciem:

— Cicho bądź! Wiem, że miałeś już dużo awantur miłosnych. Nie próbuj mnie zwodzić, jak wszystkie te, którym mówiłeś, że je kochasz...

— Oh! nie kochałem... Teraz dopiero to rozumiem!

— Marceli, zmiłuj się, bądź szczerzy! Dużo dotąd cierpiałam. Lecz dla tego, że serce moje było obojętne

i puste. Obawiam się cierpieć obecnie, ponieważ będę kochać.

— Nie, ufaj mi. Przy mnie zapomnisz wszystkich przeszłych smutków. Tyś taka młoda, a przyszłość może być piękną. Ja chcę, żebyś była moją. Skończy się twoja żaloba, będziesz mogła rozporządzać sobą, a jeżeli zechcesz upoważnić mnie do rozmówienia się z twoim bratem...

Młoda kobieta cofnęła się z przerażeniem.

— Z Cezarem? Chciałbyś mu powiedzieć? Oh, strzeż się. Nie znasz go jeszcze! W jednej chwili stałby się twoim wrogiem śmiertelnym!

— A to dla czego?

— Ah! Smutno o tem myśleć, a jeszcze smutniej mówić. Cezary nie posiada majątku, a ja, przez pana Vignola jestem bogata... Gdybym się rozłączyła z bratem, gdybym przestała być wolną, on zostałby bez środków. Czy mogę zostawić go w mierności? On taki nie-szczęśliwy, że nie może żyć odpowiednio do swego urodzenia! Gdyż my pochodzimy z rodziny książęcej... Briviesca panowali w Padwie. A jeden Agostini zarządzał Parmą. Lecz przyszła ruina i hrabia Cezary nie ma nic nad głazę kapitana kawalerji. Nędzne położenie dla człowieka z jego charakterem! To też, odkąd zostałam wdową, wziął zarząd nad moim majątkiem. Zdaje się, że to jest dla niego korzystne, a mnie sprawia przyjemność! Dobry jest bowiem i kocham go bardzo.

— Jeżeli tak, to daj mu to, co do ciebie należy. Czyż ja potrzebuję twojego majątku? Ja tylko ciebie chcę... Zostaw hrabiemu Cezaremu wszystko co posia-

dasz... Ja także będę bogaty, a gdybym chciał, jutro mógłbym ci oddać wszystko co byś dla mnie poświęciła.

Wydała się zdziwiona, piękne jej oczy ożywiły się, usta rozkosznie uśmiechały.

— Wytlómacz mi, w jaki sposób?

On, oczarowany, nie powziął żadnego podejrzenia. Widział tylko pytające go usta prześliczne i oczy słodkie, wabiące.

— Jestem w posiadaniu tajemnicy przemysłowej, która może zrobić przewrót w warunkach ekonomicznych pracy w kopalniach. Zysk zapewniony, nie do mnie należeć będzie w całości, lecz będę miał w nim udział. A ten udział, to miliony... Bezemnie nic nie mogą... Ja tylko jeden znam sposób fabrykacji. Pewne towarzystwo będzie eksploatować patenty tych wynalazków, a to jest bogactwo, czy słyszysz, Aneto, bogactwo wielkie, natychmiastowe...

— Oh! mów, mów, najdroższy...

— Tobie pierwszej tyle powiedziałem... Lecz czy mogę ukryć co przed tobą! Zażądała byś mojego honoru, oddałbym ci... Wreszcie czego mogę się obawiać od ciebie, takiej dobrej, skromnej, bezinteresownej?... Tak, jestem posiadaczem tajemnicy sławy i potęgi... Sława będzie dla wynalazcy a dla mnie szczęście, że mogłem się przyczynić aby była głośną... A do tych, którzy w praktykę wprowadzą jego dzieło, będzie należeć nieograniczona potęga finansowa.

Pani Vignola przerwała Marcelemu:

— Lecz gdyby ciebie nie stało, mój drogi, gdyby spotkało cię nieszczęście, gdyby w tym zamieszaniu

w Ars ciebie zabito... Co się stanie z tem dziełem? Niebaczny! Zapewne nie pomyślałeś o zabezpieczeniu tajemnicy tak samo jak drogiego twojego życia.

Tuliła się do niego, mówiąc to, a twarz jej wyrażała niepokój. Upajała Marcelę spojrzeniem, pieściła rękami wspartemi na ramieniu.

— Nie! rzekł, mylisz się... Dziś rano, przez ostrożność zreagowałem formułę tego cudownego wynalazku.

— Masz ją przy sobie? zapytała, jak gdyby przerażona.

— Nie, uspokój się, ukochana, zostawiłem w mojem laboratorium... Nie można jej zniszczyć teraz. Wuj mój, Graff, gdyby mnie spotkało nieszczęście, wie gdzie jest ta formuła, zabierze ją z szuflady mojego biurka. Lecz nie może mnie spotkać, ponieważ kocham ciebie. A powinno wszystko się udać, jeżeli ty mnie kochasz!...

Oparła mu głowę na piersiach z wyrazem miłości:

— Wątpisz jeszcze po tem co powiedziałam? Jak mogłabym ciebie nie kochać, ciebie, takiego szczerego, pełnego fantazji? Twoja młodość prawdziwa wzięta mnie... Tak różnisz się od tych, pomiędzy którymi żyłam dotąd. Pomyśl, że życie moje upływało najpierw przy starych, surowych rodzicach, w wielkim i ponurym domu w Medjolanie. Potem mąż mój, taki dobry, ale taki stary, nie mógł mi się podobać, zrównać z moją młodością swej zimnej starości. Zaznałam tylko smutku i nudów... A dziś dopiero budzę się do życia. Wydaje mi się, że byłam dotychczas tą księżniczką uspioną z bajki czarodziejskiej... Przyszedłeś do mnie i oto oczy moje otwierają się na piękność dnia, uszy

słyszają słodkie słowa i z uczuciem niewypowiedzianego zachwyty poznają szczęście.

Najlepsza aktorka nie byłaby z większą sztuką cieniowała łudzających słów, jak to robiła ta młoda kobieta, wsparta głową o piersi Marcelego. Odwracała twarz jak gdyby dla ukrycia rumieńca.

— Kocham cię! powtarzał młody człowiek w upojeniu.

Naraz po przez las zielony, do ciszy domu osobnionego doszedł hałas, krzyki i odgłos dzwonów.

Marceli usłyszał, lecz Aneta pierwsza się zerwała mówiąc:

— Co to jest?

— Krzyki jakieś od strony Ars i wołanie, odpowiedział młody człowiek i pobiegł do okna. Ależ to dzwon na trwogę! Czyżby ogień? Boże mój! Co się dzieje! O wszystkim zapomniałem!

Aneta spojrzała na niego z wyrzutem.

Otworzyła potem drzwi i zawołała:

— Milo!...

Weszła służąca. Nie czekała zapytania i mówiła:

— Pani, coś złego dzieje się w Ars... Słyszać krzyki, dzwony i wielki dym wznosi się po nad drzewami... Z dachu musi być wszystko widać...

— Idę! zawołał Marceli.

— Ja także tam się znajdę. Idź z panem, rzekła do Milony.

Lecz zamiast pójść za nimi, młoda kobieta zbliżyła się do biurka, wzięła arkusik papieru i napisała szybko

kilka wierszy. Słysząc już było kroki na schodach. Marceli bladł i pomieszany wracał.

— Fabryka w ogniu. Oh! Aneto, o wszystkim przy tobie zapomniałem. Bądź zdrowa, odchodzę.

— Marceli, pamiętaj, że cię kocham...

— Najdroższa, muszę iść... Coby o mnie pomyślano? Zobaczmy się wieczorem. Pozwól mi odejść.

— Dobrze, lecz Milona pójdzie także i przyniesie mi o tobie wiadomość. Przysięgnij, że będziesz ostrożny.

Ostatni pocałunek i biegł już przez ogród.

Aneta zwróciła się do służącej i podając bilecik który napisała:

— Biegnij do Ars. Na rzece, w łodzi, zastaniesz Hansa przebranego za wieśniaka. Oddaj mu ten papier i wracaj natychmiast. Idź, Milo. Tym razem dopniemy swego!

— A ten młody człowiek... pani?... Co z nim zrobisz?

Zachmurzyła się i pochyliła piękną twarzyczkę.

— Nie wiem jeszcze, Milo... Zdaje mi się, że ja go kocham.

Służąca rzekła z bladym uśmiechem.

— Biedny chłopiec! Taki ładny!

I znikła cicha jak duch.

Marceli biegł drogą. Na zakręcie zobaczył całe Ars i fabrykę. Ze składów buchały ku niebu wielkie kolumny czarnego dymu, a płomienie poczynaly przeglądać z dachu.

— Ah! nędznicy! krzyknął młody człowiek. Podpalili! A wuj Graff? Boże mój! Żeby jemu co się nie stało!...

Biegł coraz prędzej... Młody był i silny, pędziły go obawa i gniew.

Tłum ciekawy stał w ulicy, powstrzymywany przez żandarmów. Marceli przebiegł ten tłum jak kula, popehnął brygadjera i zdyszany, obłany potem, wpadł na podwórze.

Robotnicy utworzyli łańcuch i zasilali sikawki miejskie. Sikawka fabryczna ciągnęła wodę z rezerwoaru maszyny parowej. Zobaczywszy syna właściciela, robotnicy zaczęli wołać:

— Ah! panie Marceli, jesteś nakoniec!

— Kto ogień podłożył? krzyknął młody człowiek.

Nastąpiła cisza. Zbliżył się do nich ze strasznym wyrazem twarzy. Było ich dwustu, on jeden.

— To wy, lotry! To wy spaliliście zakład, który was żywił!

Zaprotestowali gromadnie:

— Nie, panie Marceli, to nie my! Niktby tego nie chciał! Można reklamować, ale nie jest się zbójcami! Tu są ludzie obcy!... To nie my!

Uspokoił się odrazu.

— Gdzie mój wuj, Graff?

Dozorca wystąpił i rzekł:

— Ah! panie Marceli, nie mogliśmy go powstrzymać żeby tam nie szedł.

— Gdzie?

— Do budynku administracyjnego, z panem Cardem i z pańskim służącym. Chcieli zabrać książki i kasę.

— Ależ administracja w ogniu? krzyknął młody człowiek z rozpaczą. A jeżeli nie zatrzymaliście go siłą,

dla czego przynajmniej nie poszłiscie z nim razem.

W tej chwili runęły sufity w palącym się budynku. Miljony iskier wzbiło się w górę, i czarny dym z kurzem zasłonił niebo. Zapadł się dach na głównym składzie.

— Jak teraz pójść do nich? rzekł dozorca. Uwienieni są pomiędzy przedziałnią i składem... A wszystko w płomieniach!

— Przez dach na fabryce...

Robotnik pokręcił głową.

— Kto się odważy?

— Ja!

— Ależ to śmierć!

— Więc zgine razem z nimi!

— Nie pozwolimy panu iść tam! Coby ojciec pana powiedział?

— A coby powiedział gdybym nie poszedł?

Marceli porwał topór i rzucił się do fabryki. Gorąco i dym uchwyciły go za gardło. Nie zatrzymał się jednak. Wpadł na schody prowadzące do drzwi kasy. Lecz musiał się zatrzymać przed ścianą płomieni. Wdrapał się wyżej, wyszedł na dach, pobiegł wzdłuż rynny, okienkiem spuścił się na poddasze pełne dymu i, ledwie oddychając dotarł do miejsca po nad biurami.

Ogień nie dosięgnął jeszcze tej części. Marceli stanął. Jeżeli Cardez i wuj Graff byli w kasie, to z lewej i z prawej strony pożar ich opasywał. Mogli więc wyjść tylko przez dół lub przez wierzch. Bez wahania tedy zaczął rąbać toporem sufit. Słyszał jak wołano go z dachu. Krzyknął nie przestając rąbać:

— Jestem! na poddaszu!

Był to nadzorca i kilku odważniejszych, którzy szli do niego z drągami i lewarami.

Zabrali się do roboty. Marceli, z toporem, zdawało się, że ma siłę dziesięciu ludzi, rąbał belki jak trzciny. Zrobił się otwór w suficie.

Marceli położył się na brzuchu i krzyczał z całych sił:

— Wuju, Cardez, Baudouin, jesteście tam?

Głos przytłumiony doszedł do niego:

— Ah! to ty, moje dziecko. Tak, jesteśmy... Spiesz się... Dym nas dusi... A nie możemy okien otworzyć z powodu płomieni!

— Trzymajcie się!

Rozszerzył otwór lewarem, w tej chwili buchnął z niego dym czarny, jak z komina, a kiedy się przeczekał, ujrzał wuja, dyrektora i Baudouina, którzy nie puściwszy z rąk książek rachunkowych i portfeli z kasą, stali oczekując śmierci.

Lecz ratunek przybywał... Spuszczono sznur przez otwór.

— Baudouin, umocuj dobrze wuja pod pachy... Czy już?

— Tak.

— Ciągnąć razem.

Sznur ciągnięty rękami silnemi szedł w górę i, czarny od sadzy, odurzony, drżący, szczęśliwy, wuj Graff został porwany przez Marcelego. Ściskali się nie mówiąc, lecz łzy płynęły im z oczu. Cardez i Baudouin tą samą drogą dostali się na górę.

— Ah! rzekł Marceli, kiedy tu jesteście, czy jest jeszcze co zabrać z biura? Zejdę tam jeśli trzeba!

— Nie! krzyknął wuj Graff odzyskując mowę. Mamy kasę i książki... To dosyć! Fabryka ubezpieczona. A wreszcie, co mnie teraz obchodzi!

— Więc uchodźmy! krzyknął Marceli, coraz duszniej pod dachem.

Dym buchał coraz czarniejszy, ogień trzeszczał. Marceli pomagając wujowi, poszedł tą samą drogą przy rynnach.

Ujrzano ich z podwórza powracających zdrowych i nietkniętych.

Wielki okrzyk radości i powitania rozległ się, górując nad ogniem. Lecz miejsce było nie dobre, doszli do fabryki, gdzie straż ogniowa ustawiała się, aby bronić budynków, jeszcze nietkniętych. Wuj Graff osunął się na kupę wełny, zbladł i o mało nie zemdłał. Sił mu zabrakło.

— Wody! krzyknął Marceli.

W jednej chwili podano mu karafkę. Tłum patrzył z szacunkiem na odwagę i poświęcenie młodego człowieka. Ci sami ludzie, którzy wczoraj wydawali okrzyki nieprzyjazne, dziś gotowi byli wołać: „Niech żyje pan Marceli!“ Bo młody człowiek zrobił to, na co żaden z nich się nie odważył i, w swoim sumieniu czuli, że jest odważniejszy, lepszy od nich i podziwiali go szczerze.

— Cardez, zabierz książki i pieniądze do siebie, rzekł Marceli. A my, wuju, pójdziemy do mnie, potrzebujesz odpocząć.

— Nie! Już mi lepiej... oddycham... Ah! mój Marcelku, na czas przyszedłeś... Kwadrans później, a zastałbyś trzy trupy!

— Dosyć byłem nieszczęśliwy, że mnie tu nie było, że nie mogłem iść z tobą!

— Gdybyś był z nami, wszystko byłoby stracone! Zginęlibyśmy! Nieobecność twoja stała się opatrznościową! Dzięki twojemu pośrednictwu, zostaliśmy ocaleni... Bez ciebie, byłby z nami koniec!

— Lecz co się stało?

— Nie pojmuję, doprawdy! Byliśmy u Cardeza zamknięci od godziny z delegatami. Układaliśmy się i muszę powiedzieć, że porozumienie było bliskie, gdy naraz przerwały nam krzyki: „Ogień! pali się!” Robotnicy zebrani w podwórzu oczekując na swoich delegowanych, krzyczeli, zobaczywszy dym wydobywający się ze składów. Zaprawdę, źle byli usposobieni. Kiedy biegliśmy przez podwórze, ani jedna głowa się nie odryła. U nas, na naszym własnym gruncie, zachowywali się jak nieprzyjaciele. W jednej chwili pożar wszystko zmienił. Zobaczywszy palącą się fabrykę, wściekali się z oburzenia. Jednem słowem, to nie są źli ludzie. Rozbiegli się na wszystkie strony, krzycząc: „Do sikawek!” Pobrali węże, utworzyli łańcuch i pracowali gorąco. A kiedy ujrzeli mnie i Cardeza, wołali: „Panie Grff, to nie my! Przysięgamy na żony i dzieci, to nie my!” Co więcej, jednego z obcych, który pracuje tu od tygodnia, luksemburczyka, nazwiskiem Verstraet pochwycawszy kręcącego się pomiędzy budynkami, o

mało nie zamordowali, oskarżając go o podpalenie. Musiano im go z rąk wyrzucić.

Marceli ponury, słuchał opowiadania Graffa. Pożar ten przywodził mu na pamięć dziwnę obawę Baudouina o bezpieczeństwo laboratorium. Słyszał jeszcze jak wierny sługa mówił: „Są tu obecnie ludzie, którzy mi się nie podobają“. Robotnicy mówili także: „To nie my! tu są obcy!“ Tajemnica unosiła się nad tem wszystkim.

Marceli instynktownie czuł się omotany siecią grózb i nienawiści. Czyż zawsze ta tajemnica generała de Tremont ściąga nieszczęście na tych wszystkich, którzy ją posiadają? Szukał oczyma Baudouina, lecz ten znikł.

Ogień się zmniejszał. Sikawki lejąc strumienie wody na magazyny, ugasiły paki wełny. Budynki fabryczne nie wydawały się ostatecznie zniszczone. Pożar się umiejscowił.

Kapitan straży z Ars, blacharz z powołania, czerwony i zgrzany, z kaskiem w ręce, przyszedł rozmówić się z Graffem i Cardezem.

— A co, panowie, nie tak znów źle będzie, jak myśleliśmy z początku... Więcej niż dwie trzecie fabryki ocalone... Ale przez godzinę było gorąco!

— Tak, rzekł Cardez, gdyby nie pan Marceli, nie rozmawialibyśmy z panem... panie Prevost.

— Niezrównany był ten młodzieniec! rzekł kapitan. Ani moim ludziom, ani mnie nie przyszło do głowy zrobić to, co on zrobił... Odwagi nie brakowało. Lecz trzeba było pomyśleć o przedziurawieniu sufitu... On nie stracił głowy, w tem rzecz cała!

W tej chwili dał się słyszeć głos pełen niepokoju i z laboratorium wbiegł Marceli blady, pomieszany, krzycząc:

— Wuju, wuju... Chodź prędko!

— Co się stało? zapytał Cardez.

— Zostańcie! Tylko, ty wuju, sam! odparł młody człowiek.

Wuj poszedł za nim. Na progu już stał Baudouin, gotów nie wpuszczać natrętnych.

— Chodź... na Boga... rzekł Marceli popychając przed sobą Graffa. Baudouin, zamknij drzwi na klucz.

— Mów prędzej, co to znaczy, co się znów stało? krzyknął wuj Graff.

— Patrz!

W całym kafarnaum widniały ślady walki. Fotel skórzany przewrócony. Firanka pół oberwana przy oknie jeszcze otwartem na rzekę, wisiała na drążku złamanym. Słoje, flaszki, alembiki potłuczone, pogięte, zaścielały podłogę, wilgotna plama krwi rozpyliła się na stole, jak gdyby tam kogoś zamordowano. Czerwone krople obryzgały papiery. Szuflada wyciągnięta.

— Co się tu stało? spytał Graff pocichu, jak gdyby z obawą.

— Zajrzyj do szuflady, wuju, rzekł Marceli, poszukaj formuły, którą tam przy tobie włożyłem.

— Więc co?

— Nie ma jej!... Ukradziono formułę! Poszukaj słoja z prochem wojennym, który stał na stole, i ten zniknął!

— Skradziony? Lecz przez kogo?

— Przez kogo ogień podłożony pod fabrykę? Co

to za krew rozlana na podłodze? Wuju, straszną potęgę przeciw sobie mamy. Widzisz co się dzieje dookoła tajemnicy pana de Tremont... Cała banda zbrodniarzy w ruchu od miesiąca, ażeby skraść tę tajemnicę za jaką bądź cenę, nie cofając się przed niczem! Ojciec mój odgadywał to, on, który nie chciał mi pozwolić zajmować się wynalazkiem, Baudouin wiedział, kiedy chciał czuwać nad laboratorium. Trzeba było pożaru aby zmusić go do opuszczenia stanowiska, i bezwątpienia, gdyby był pozostał, jego to krew by popłynęła... Lecz kto jest ten, który swoją tu przelał?

— Dziecko drogie, uspokój się, rzekł Graff przerażony wzrastającą egzaltacją siostrzeńca. Mów, Baudouin, powiedz wszystko co wiesz.

— Panie Graff, wiem kogo tu zamordowano, wiem także kto zamordował. Ofiarą jest człowiek oddany naszej sprawie, ten, który od pierwszej chwili zwąchał zbrodniarzy. Nie mógł przeszkodzić dokonania kradzieży, a jeżeli nie przytrzymał złodzieja, to dla tego, że go zabito.

— A ten kto zabił?

— Ah! ten, rzekł Baudouin, to nie pierwsza jego próba. To zbójca zdeterminowany. To za jego podżeganiem wszystkie niepokoje wynikły. To on kazał ogień podłożyć. To on zasztyletował generała de Tremont. To zbrodniarz z Vanves, to Hans!

— Zkąd wiesz o tem?

— Ponieważ go widziałem. Laforet, agent z ministerjum, sprowadzony przeze mnie dla nadzoru nad ludźmi, którzy wydali mi się podejrzani, Laforet za-

pewne życiem przypłacił poświęcenie i gorliwość; śledził go i szedł za nim wczoraj wieczór, i zemną razem obserwował go przez część nocy. Byliśmy obecni jego naradom z przywódcami bezrobocia, w oboję pod „Złotym Lwem,“ słyszeliśmy polecenia, rozkazy... To on, ten zbrodniarz kierował z ukrycia pożarem i rabunkiem!

— Lecz z kąd mógł wiedzieć, że formuła napisana, była w szufladzie biurka w laboratorium? W jaki sposób wszedł tutaj?

— Wszedł dla tego, iż pobiegłem do ognia i opuściłem moje stanowisko. Miał dokładne wskazówki...

Baudouin zatrzymał się, spojrzał z niepokojem na swojego młodego pana.

— Ah! panie Marceli, czy mam to panu powiedzieć? I czy mi przebaczysz?

Marceli zbladł, jednak rzekł głosem pewnym:

— Mów, ja chcę tego!

— Otóż, ten człowiek, Hans, od tygodnia mieszkał w willi Cavée.

— Niepodobna! krzyknął Marceli. Hans? Ten rozbójnik!

— Panie Marceli, zaczął Baudouin odważnie, lecz z niewypowiedzianym smutkiem, ja go tam widziałem. Laforet śledził go przez tydzień. Mieszkał na poddaszu i nie wychodził tylko w nocy.

— A ja niczego się nie domyślałem, nie nie podejrzewałem! zawołał Marceli z bólem. Więc ktoś jest ta kobieta, która tam mieszka od sześciu tygodni? I jaką okrutną komedję grała ze mną?

— Ah! mruknął wuj Graff. Kobieta! Znowu kobieta! Niepoprawne dziecko!

Marceli siedząc na krześle przy stole z twarzą w ręce schowaną, starał się zebrać myśli. Zbudzony z słodkiego snu, spał z czystego nieba w kałużę krwi i błota.

— Nie, to niepodobieństwo, podjął głosem drżącym. Po co, dla czegoby mnie tak okrutnie zwodziła? Czy potrzebowała, żebym oszalał z miłości dla niej? Nie, nie mogę uwierzyć żeby była występna. Ani jedno jej słowo nie było kłamstwem, spojrzenia czyste i szczerze! Nie! nie! Ty się mylisz, ty oszczerstwo na nią ciskasz! Jeżeli nawet ten człowiek jest nędznikiem, to ona nie jest jego współniczką! Ona jest ofiarą, jak my. Jeżeli czyhano na moje życie, to dla tego, że widocznie nie miała władzy przeszkodzić temu. A jeżeli wie co się stało, to w tej chwili płacze tak samo jak ja.

Łkanie stłumiło głos młodego człowieka i, z głową opartą na stole skrwawionym, płakał gorzko.

Wuj Graff uszanował boleść siostrzeńca. Odprowadził Baudouina do okna i rzekł głosem cichym:

— Jak myślisz, co się działo w laboratorium po twojem odejściu?

— Laforet, który śledził Hansa, szedł za nim pewnie aż tutaj. Korzystając z zamieszania, Hans dostał się przez podwórze fabryczne do pawilonu. Laforet musiał go zejść kiedy szperał w szufladzie. Zawiazała się straszna walka pomiędzy Hansem, który jest kolosem, i Laforetem bardzo silnym. Hans napewno użył swojej broni żeby pozbyć się przeciwnika... Laforet zabity,

albo ogłuszony upadł na stół. Hans spostrzegł go wtedy i ciągnął do okna... Zaczepił się o firankę, którą oberwał. Ciężar musiał być duży, gdyż drążek złamany.

— A potem? zapytał wuj Graff.

— Potem Hans cisnął nieszczęśliwego Laforeta przez okno... Rzeka wezbrana... fale go uniosły... Znajdą go może przy stawidle u młyna Sainte-Savine.

— A ta kobieta, Baudouin? szepnęła Graff ostrożnie.

— Oh! Kobieta, panie Graff... Czy ta z Vanves? Nie wiem. Nie ma ani jej głosu, ani perfum... Lecz głos się zmienia, perfumy także... Jedno tylko się nie zmienia: chytrłość, zręczność, powab i umiejętność uwodzenia. A ta ma wszystko co potrzeba do odebrania rozumu mężczyźnie: piękność, dystynkcję, wdzięk... Spojrz pan, pan Marcelli płacze. To nie zbrodnia, to nie kradzież przyprowadziły go do takiego stanu. To ból z podejrzwania tej, którą kocha, i obawa, aby nie być zmuszonym nienawidzić czarodziejkę!

— Biedny chłopak! Niezasłużenie cierpi... Taki dzielny, odważny! Gdyby nie on, Baudouin, nie bylibyśmy żyli!...

— Lecz gdyby nie ta łajdaczka, nic podobnego nie miałoby miejsca. Wie ona dobrze co robi i do kogo się zwraca. Nie pana to próbowała uwieść lub przekupić... Wiedziała naprzód, że o pański trzeźwy rozum rozbiją się jej zachcianki... Lecz generał, lecz pan Marcelli... ludzie tacy słabi dla kobiet, panie Graff... Nie omyliła się na nich... Gdyby miała czas, gdyby chciała, starzec i młodzieniec samiby jej wydali tajemnice swoje.

Wuj Graff zdziwiony jasnością poglądu wiernego sługi, patrzył na niego z zajęciem.

— Ah! pan się dziwi mojej mowie... Nie sam przyszedłem do tego co powiedziałem. To są dowodzenia mojego generała w chwilach zimnego rozsądku... Obwiniał się... gromił... Wiedział dobrze, że spódniczka zaprowadzić go może na koniec świata... „Ah! Baudouin, mówił ze złością; ja na ślepo biegłem tylko za sztandarem i za spódniczką.“

— I to go o śmierć przyprawiło! Uważajmy się jeszcze za szczęśliwych, że naszego Marcelego to samo nie spotkało! Cierpi, jest nieszczęśliwy. Lecz ma dwadzieścia pięć lat, a w tym wieku łatwo się pocieszyć. Lecz gdyby ci mordercy byli go nam zabili... Ah! Ojciec jego miał przecucie niebezpieczeństwa na jakie nasz mały był narażony... Sądził, że będzie w Ars bezpieczniejszy, pośród swoich robotników. A widzisz, jak się omylił.

— Niegodziwa kobieta i tu potrafiła go znaleźć... A na tej pustyni była jeszcze silniejsza.

— Co ona teraz robi!

— Zniknie wraz ze swymi akoletami.

— Czy ich jest kilku?

— Jest niby brat... ładny brunet... Służąca, która dziś przychodziła po pana Marcelego... A potem Hans. Nie licząc tych, których nie znamy... Cała banda prosi pana, napewno! I tu, w naszym kraju, jeżeli jest jaka zdrada, jaki czyn podły, tak zawsze te łotry do tego należą. Laforet mi to mówił: „Francja jest wyzyskiwana przez zagranicę. Dla obcych robią to w biu-

rach rządowych, czego by nie zrobiono dla francuzów. Wystarczy żeby pokazał się nieznajomy, z cudzoziemskim akcentem i orderem, a żeby mu otworzono wszystkie szuflady i wszystkie papiery pokazano!...“ Głupi naród!... a ma się za bardzo dowcipny!

Marceli zbliżył się. W przeciągu kilku minut twarz mu się wyciągnęła, czerwone plamy wystąpiły na policzki, oczy miały wyraz bolesny.

— Wuju, odezwał się, nie czas na zmartwienie... Działać trzeba. Może jeszcze dogonimy zbrodniarza, który przyszedł tu kraść i zabijać. Daj jego rysopis do sądu. Puść w pogoń żandarmerję. Ja zaś idę do willi... prawdy się dowiedzieć.

Wuj Graff pokiwał głową.

— Dziecko moje, trzeba nie znać ludzi, z którymi mamy do czynienia, aby się spodziewać, że stracili jedną sekundę i nie ukryli się bezpiecznie.

— Jakim sposobem mogą przypuszczać, że są podejrzewani?

— Eh! zrobili swoje! Pozostało im tylko umknąć!

Marceli zaprotestował poruszeniem głowy.

— Tak, mówił Graff, ty mówisz sobie: dla czego ona miałaby odjechać? Czy opuści mnie bez pożegnania? Biedny chłopcze, ty masz jeszcze złudzenia! Nie rozumiesz, że wszystkie jej czułości były obliczone na wydobyć z ciebie tajemnicę, że byłeś tylko łupem... A ty spodziewasz się jeszcze, że twoja piękna czeka na ciebie. Dobrze, pójdziemy tam, mój chłopcze, pójdziemy we trzech... I zobaczymy co były warte oświadczenia, na które dałeś się wziąć. Tymczasem zawiado-

mijmy władze. Lecz, wierz mi, nie mówmy o prochach, zaznaczmy tylko morderstwo. Ujmą tak samo złoczyńcę, jeżeli mają go ująć, a my zachowamy naszą tajemnicę. O! mamy do czynienia z przebieglejszymi od nas! Nie rób sobie wyrzutów. Zanadto dobrze wszystko było skombinowane. W ten czy w inny sposób miałeś być zwyciężony. Na szczęście życie ocalało.

— Dziękuję, wuju, próbujesz mnie pocieszyć. Lecz nie przebaczyłbym sobie do śmierci, jeżeli masz rację. Chodźmy.

Wyszli na podwórze. Pożar opanowano, robotnicy przestali zasilać sikawkę miejską, tylko parowa, fabryczna zalewała dogasające szczątki.

Zobaczywszy idących panów, tłum się uciszył.

Głowy się odkryły, nieszczęście ożywiło sympatję. Poświęcenie nakazywało szacunek. Cardez przyszedł połączyć się ze swymi zwierzchnikami.

— Panie Graff, rzekł, robotnicy żądają, abyś do nich przemówił. Nie chcą żeby na nich podejrzenie ciążyło.

Graff zbliżył się z powagą.

— Przyjaciele, odezwał się, zanadto was znam, ażeby obwiniać o zbrodnię jaka tu została spełniona. Wiem, że czasem pali wam się w głowach, lecz wiem także, że jesteście ludzie uczciwi. Wreszcie, do czego poszłyoby to zniszczenie nie mądre, jeżeli nie do tego, abyście zostali na bruku i z głodu umierali? W chwili kiedy pożar wybuchnął w fabryce, wasi delegowani i my byliśmy na punkcie porozumienia. Patrząc na dobre chęci jakie okazaliście, wyprzedzając się w ratowaniu i ocaleniu fabryki, przypuszczam tylko jedno możliwe

rozwiązanie naszych zatargów. Te, które jest dla was najkorzystniejszym. Przyznaję wam wszystko, czegoście odemnie żądali.

Wielki okrzyk radości i wdzięczności wzniósł się z pięciuset piersi, czapki wyleciały w górę. Graff podniósł rękę. Natychmiast cisza się zrobiła.

— Proszę, abyście pamiętali, że waszemu dyrektorowi, zarówno jak mnie zawdzięczacie to, coście otrzymali. Jeżeli jest surowy, pilnuje karności, to dla tego, że czuje jej potrzebę w interesie pracy. Lecz nikt lepiej nie broni waszego dobra, jak ten zacny człowiek.

— Niech żyje pan Cardez!

Graff się uśmiechnął.

— No! Jesteście dużymi dziećmi! Wczoraj chcieliście go powiesić i mnie w dodatku. Dziś krzyczycie na cześć jego... Sprawiedliwsi jesteście w tej chwili. Pamiętajcie o tem co się stało. A skoro będziecie mieli jakie żądania, nie zaczynajcie od pogroźek. A teraz, do domów, a jutro rano o zwykłej godzinie, do roboty!

Tłum rozszedł się w milczeniu pełnem uszanowania, błogosławiąc tych, których niedawno przeklinał...

IV.

W tym czasie kiedy Milona biegła z poleceniem do Ars, pani jej wracała spokojnie do salonu, pełnego wspomnień Marcelego.

Usiadła na kanapie, położyła głowę na poduszkach i, obojętna na wszystko co się koło niej działo, odżywała w myśli godziny, które tylko co minęły.

W życiu swoim burzliwym, pełnem awantur gwałtownych i przemijających, nie zaznała takiej miłości szczerzej, młodej, jaką miał dla niej Marcelli. Zdawało jej się, że odżyła, że to uczucie ją oczyściło.

Co za różnica z cyniczną poufałością takiego Cezarego Agostini! Niesmak poczuła na ustach przy porównaniu jednego z drugim.

Przypomniała sobie drwiącą uwagę Hansa: „Strzeż się złapać w swoje własne sieci i pokochać tego młodzika“. Czy on czytał w jej myśli, ten straszny współnik, który tratował ludzkość nogami i który nie szanował ani radości, ani szczęścia?...

A gdyby tak było? Czy nie miała prawa uledeć fantazji? Czy była niewolnicą, przywiązaną do ciemnych działań awanturników? Któżby się ośmielił zmusić ją do robienia tego, co jej się nie podoba? Wiedziała, że niebezpieczniejsza jest niż oni wszyscy razem. Znała swoją siłę i odwagę...

Uśmiechnęła się, a twarz jej zajaśniała wdziękiem nieprzepartym. Ktoby w tej młodej kobiecie, o rysach delikatnych i czystych, w skromnych blond warkoczach, odnalazł wyniosłą i sarkastyczną Sophię Grodsko? Coby powiedział Lichtenbach, coby pomyśleli ci wszyscy, którzy znali ją niestałą, zepsutą, zgubną dla tych, którzy ją kochali, i których doprowadziła do ruiny, hańby lub śmierci...

Młody człowiek, najmniej może odznaczający się z tych wszystkich, których spotkała w życiu, otrzymał ten tryumf, iż niepokoiła się, na myśl o tem, co go może spotkać.

A idąc za nim myślą, stawiała sobie pytanie, czy nie lepiej było zostawić go przy sobie, niż pozwolić biedz do jego fabryki zagrożonej, a przede wszystkim tam, gdzie czatował Hans, straszniejszy, niż wszystko złe na świecie.

Podniosła się i namyślała, czy ona także nie pójdzie do Ars, aby zdać sobie sprawę z tego, co się tam działo. Nie odważyła się jednak, ale chciała choć widzieć.

Weszła na drugie piętro, na balkon, z którego widać było całą dolinę. Przekonała się odrazu, że niebezpieczeństwo już nie tak groźne. Dym zmniejszał się, płomienie gasły, krzyki dochodzące z miasta cichły, dzwony umilkły.

Miała już schodzić na dół, kiedy zobaczyła Milonę otwierającą furtkę od ogrodu.

Służąca szła szybko aleją, jak gdyby zaniepokojona. Sophia zlekła się złej wiadomości i skinęła na sługę.

Milo szybko wbiegła po schodach.

— Spełniłam pani, polecenie, rzekła, znalazłam Hansa. Przeczytał bilecik i oddał mi go z powrotem. Oto jest...

— Dobrze... Ale to nie wszystko. Co więcej?...

— Agostini tuż za mną... W tej chwili wysiadł w Ars z pociągu...

Sophia zmarszczyła czoło. Zaczerwieniła się lekko... Wzięła zapalną, potarła i zapaliła papier, który Milona jej przyniosła. Patrzyła zamysłona jak w proch się obracał. Potem zapytała:

— Jak on daleko?

— Jedzie powozem, słychać już turkot na drodze kamienistej...

W tej chwili powóz zatrzymał się przed bramą. Cezar wyskoczył na ziemię. Powóz nie odjeżdżał. Sophia zeszła wolno ze schodów do przedsionka na przyjęcie włochoa.

Podbiegł do niej z błyszczącymi oczyma, z twarzą rozjaśnioną. Sophia podała mu rękę obojętnie.

— No cóż, caro, rzekł, tak mnie witasz po dwutygodniowej nieobecności?

— Milcz, rzekła surowo, nie czas na głupstwa. Chwila bardzo poważna... Hans, bezwątpienia, teraz właśnie naraża życie, żeby prochy posiąść...

— Więc udało ci się z tym młodzieniaszkiem?...

— Tak, a przekonasz się później...

— Diavolo!

Wyszedł i krzyknął:

— Milo, powiedz furmanowi niech czeka...

Powrócił.

— Kto wie, czy nie będzie nam potrzebny. W przejeździe widziałem rozruchy w mieście i ogień u naszych przyjaciół z przędzalni... Czy ten ogień to twój pomysł?

— Sądzę, że Hans urządził tę rzecz.

— Zawsze wesół! Lubi ładne dekoracje... Lecz ja bym z przyjemnością zjadł śniadanie; wyjechałem z Paryża naprędce...

— Milona ci poda...

Przeszli do stołowego pokoju. Cezary usiadł.

— Usiądź przy mnie, piękna moja Sophio. Dłużyło mi się bez ciebie... Napróżno starałem się rozerwać...

— Co robiłeś?

— Ah! próbowałem szczęścia. Lecz fatalność mnie ścigała. Za każdym dotknięciem kart przegrywałem.

— Dużo?

— Eh! dużo, za dużo nawet! Zapalam się łatwo, wiesz o tem.

— Ile wreszcie? zapytała Sophia niecierpliwie.

Piękny włoch odpowiedział z uśmiechem:

— Nic. Miałem pieniądze!

— A kto ci dał?

— Lichtenbach. Trzebaż przyzwyczaić go do moich małych zachcianek... Jak zostanie moim teściem, będę często uciekał się do niego...

— Strzeż się. On się prędko znuży...

— Nie pozwoli się na to...

— Kasa jego nie jest niewyczerpana...

— Żartujesz. Napelnia ją ciągle... Lichtenbach nie gra, tylko na giełdzie, a tam zawsze wygrywa!

— Nie wiadomo!

— Eh! czyżby także noga mu się powinęła?...

— Pracujemy właśnie, żeby był zawsze szczęśliwy.

— Sprawa prochów?

— Tak... Lecz słuchaj...

Zaczęła nasłuchiwać szelestu z zewnątrz.

Wyjęła z szufladki rewolwer, wsunęła go do kieszeni i zapytała:

— Masz broń?

— Zawsze, czego się obawiasz?

— Czekał...

W ciszy rozległo się lekkie świshnięcie. Twarz Sophii wypogodziła się.

— To Hans! rzekła.

Szybki krok dał się słyszeć w alei, drzwi salonu się rozwarły i Milona wprowadziła Hansa. Miał na sobie jeszcze zabłocone ubranie rybaka. Cisnął kapelusz na ziemię, ściągnął bluzę, grube pantalony i trzewiki, nie uważając na obecność Sophii, potem krzyknął:

— Milo, moje ubranie...

Postawił na stole naczynie szklane i położył arkusz papieru, i rzekł wykrzywiając usta do ohydneho uśmiechu:

— Oto jest to, czegośmy szukali.

— Udało ci się nakoniec?

Sophia i Cezary wzruszyli się widocznie. Zbliżyli się z rodzajem szacunku i patrzyli przez słoik na szare wiórki prochu, które już tyle krwi kosztował.

— Tak jest! Ten mały słoik i ten papier przedstawiają znów życie ludzkie.

— Zeszli cię?

— Tak. I zabiłem...

— Kogo? krzyknęła Sophia jak trup blada.

— Uspokój się kochanko, nie twojego gołąbka.

Zamienili znaczące spojrzenie z Cezarym, po którym włos zmienił się odrazu. Twarz jego stała się ponura i zimna.

— Był to natręt, którego oddawna miałem na piętach, ciągnął Hans. Szpieg z ministerjum... Nie pierwszy raz się spotkaliśmy. Przed trzema laty o mało mnie nie ujął w Lyonie, podczas tej sprawy w sztabie głównym. Naznaczyłem go do sprzątnięcia, i teraz przy okazji zabiłem!...

— Czy nie spostrzegą braku tego człowieka?

— Więc co? Mamy, czegośmy chcieli, potrzebujemy tylko zmykać. Wiesz dobrze, że nie reklamują nigdy agenta. Ten zaś, ze skronią rozbita, będzie leżał na dnie małej rzeczki, dopóki go nie wyłowią. My zaś przez ten czas będziemy po drugiej stronie granicy...

Milona weszła, niosąc ubranie eleganckie, kapeluszy szary i trzewiki żółte. Hans bez ceremonii zaczął się ubierać.

— Stangret z powozem stoi przed bramą, czy widział jakeś tu wchodził? zapytała Sophia.

— Nie takim głupi, żebym mu się pokazywał. Wszedłem od tyłu przez ogród, parkan taki niski. To bardzo wygodne. Tą samą drogą wyjdę. Wam zaś, moje dzieci, radzę zmykać jaknajprędzej. Wiecie, że wzywają nas do Wenecji. Kto pierwszy przybędzie, poczeka na drugich. Ja tam znów będę majorem Fraser...

Włożył do torby skórzanej słoik szklanny i papier złożony, podał rękę Agostiniemu, uśmiechnął się do Sophii i znikł jak przyszedł.

Włoch kopnął nogą ubranie Hansa i rzekł:

— Milo, moje dziecko, trzeba żeby to znikło bez śladu.

— Spalę pod kuchnią, rzekła dalmatka swoim poważnym głosem.

— A ty, Sophia, jakie masz zamiary? Słyszałaś co powiedział nasz szlachetny przyjaciel. Sądzę, że najlepiej zrobimy, odjeżdżając...

Młoda kobieta nie odpowiedziała. Chodziła po salonie wolno, potem usiadła, zapaliła papierosa i patrząc na pięknego włocha stojącego przed nią, rzekła:

— Sądzę, iż rzeczywiście najlepiejbyś zrobił gdybyś odjechał... Nie masz żadnej racji pozostania... Co do mnie, gdybym znikła nagle, byłoby to obudzeniem podejrzeń...

— A czy nie będą cię podejrzewać jeżeli zostaniesz?

— Mnie podejrzewać? Czy zrobiłam co takiego coby mogło obudzić nieufność? Jeden tylko Marceli Baradier bywał tutaj, on jeden tylko mnie zna...

— Lecz on zapewne tobie jednej dał wskazówki, podług których Hans doprowadził do skutku swoje przedsięwzięcie...

— Dał mi je przed dwoma godzinami... Wykonanie zamachu ustąpiło jednocześnie prawie z wyznaniem. Jakim cudem, ja, która się ztąd nie ruszałam, mogłabym objaśnić tego, który wszedł do laboratorium i zabił człowieka co go śledził?... Ten nie przemówi, bo nie żyje! Znajdą laboratorium okradzione... Więc cóż z tego? czyż dziś nie było w fabryce przeróżnych rozruchów, do których należeli obcy awanturnicy, ażeby mnie czynić odpowiedzialną za złodziejstwo? Niech wyjadę, posadzą mnie, jak i rzeczywiście można mnie będzie posadzić... Dla czego uciekłam? Nie wyjaśniłam mojego wyjazdu? Co się ze mną stało? A wtedy, kto ja jestem? Tyle pytań się stawia, a wszystkie na moją niekorzyść. Podczas, jeżeli pozostanę z Miloną, młody Marceli przyjdzie, zastanie mnie spokojną i pogodną, i wszystko będzie dobrze... Czy zła kombinacja?

— Bardzo dobra, zanadto nawet! rzekł Cezary drwiąco.

Sophia zmarszczyła czoło.

— Co mówisz?

Zbliżył się łagodnie, z kociemi ruchami i zapytał:

— Nie ufasz mi już? Dla czego starasz się mnie oszukać?

— W czym, jeżeli łaska?

— Nie mówisz prawdy... pierwszy raz odkąd się kochamy, Sophia...

Przygryzła usta i zbladła nieco.

— Kochany Cezary, nie wymagaj za wiele... Rób to, co ja mówię, tak jak dotąd zawsze robiłeś. Nie żałowałeś tego, prawda? Otóż, niech tak dalej będzie...

— Nie! syknął przez zęby.

— Ah! A można wiedzieć powody?

— Takie same jak twoje... Ty nie chcesz jechać ze mną z powodu Marcelego, ja z jego powodu chcę żebyś ze mną jechała.

— Byłżebyś zazdrosny?

— Tak.

— Coś nowego; bardzo mnie to dziwi! A więc sądzisz?...

— Że ten blondynek potrafił ci się podobać więcej niż było w naszym programie. Otóż, jeżeli pozwoliłem abyś go rozkochała w interesie naszej sprawy, nie mam ochoty pozwolić na flirt z nim dla miłości sztuki. Komedia skończona, spuścemy zasłonę i nie kontynuujemy sceny miłosnej za kulisami.

— Lecz ja chcę postępować podług mojej fantazji i nieusposobiona jestem do posłuszeństwa!

Spojrzeli na siebie jak dwaj zapaśnicy... Cezary z oczyma błyszczącymi złością, z rozwartymi usty na białych zębach. Sophia spokojnie, z przymrużeniami

powiekami, jak gdyby nie ufała swojemu spojrzeniu.

Włoch uczynił wysilek, zmienił wyraz twarzy i mówił z udaną dobroduszością.

— No, Sophia, nie gniewajmy się... Rozmawiajmy jak dwoje przyjaciół. Mamy masę powodów aby być dla siebie pobłażliwymi: tak dobrze się znamy! Nie jestem od tego żeby ci dogodzić. Czy żadasz tygodnia swobody? Po tygodniu zobowiązesz się przyjechać do nas do Wenecji? Boże mój, możemy sobie robić następstwa. Ja znam słabości ludzkie. Masz fantazję, dogódź jej... Będę sobie wyobrażał, że jestem tylko bratem pani Vignola, a jak odnajdę Sophię, nie będę miał żalu do niej. Czy tego potrzebujesz aby być zadowoloną?

Załamala piękne ręce i rzekła z westchnieniem:

— Ja nie wiem...

— Ale ja muszę wiedzieć.

— Czyś rozum stracił, Cezary, mówisz do baronowej Grodsko, jak do pierwszej lepszej mieszczki? Możnaby powiedzieć, iż zapomniawsz czem ona jest kiedy ją fantazja uniesie... Przykro mi, mój przyjacielu. Bywanie u Lichtenbacha pozbawiło cię dystynkcji. Trzeba tych wizyt zaniechać. Wydajesz mi się strasznie mieszczański i zacofany!

— Żartujesz ze mnie, jak widzę...

— Nie.

— Odmawiasz obietnicy, że połączysz się ze mną?

— Mój drogi, jak na teraz, mam ochotę nigdy cię już nie widzieć...

— Ah! tym razem mówisz otwarcie! Lecz zapominasz ile strasznych tajemnic nas łączy?

— Nie zapominam i radzę ci żebyś także pamiętał.

— To znaczy?

Sophia podniosła powieki i takim wzrokiem spojrzała, że Agostini się cofnął.

— To znaczy, że jeśli dla mojego spokoju potrzeba było żebyś znikł ze świata, nie zawahałabym się ani sekundy...

— Grozisz mi śmiercią?

— Głupcze! Wiesz dobrze, jeżelibyś na nieszczęście pisnął słówko, mogące objaśnić o naszych przedsięwzięciach, jest co najmniej pięć osób, któreby cię w tej chwili zabiły...

— Lecz sprawy stowarzyszenia nie są twojami osobistymi sprawami, a wiesz przecie, że znam doskonale jedno i drugie...

— Słuchaj, Cezary, tacy jak my ludzie, pod grozą zgubienia jedni drugich, powinni iść zgodnie. Każda niezgoda zdaje ich na łaskę przeciwników. Trzeba żebyśmy służyli jedni drugim z abnegacją bezgraniczną. Każde wymaganie egoistyczne niszczy siły, które powinny być użyte dla powodzenia wspólnego.

— Zapominasz, że ja cię kocham, i że chcę mieć cię dla siebie, Sophia, niepodzielnie...

— A w jaki sposób zmusisz mnie do tego, ciekawa jestem?

— W bardzo prosty... Zawiadomię Marcelego Baradiera o tem coś robiła zanim poświęciłaś się szpiegostwu międzynarodowemu i ciekawości dyplomatycznej,

a zobaczymy czy uczucie jego dla ciebie oprze się na przykład opowiadaniu anegdotki z Segowii...

Sophia zbladła tak, że Cezary nawet przeląkł się wrażenia jakie zrobił. Zgrzytnęła zębami, schwyciła rewolwer, który wzięła kiedy szedł Hans i zmierzyła prosto w głowę włocha.

— Ah! łotrze, nie zdradzisz więcej nikogo!

Lecz Agostini z niezwykłą zręcznością skoczył, podniósł jej ramię w górę, aby strzał go nie trafił i ścisakając bez litości białą rączkę kobiecą, odebrał broń i włożył spokojnie do swojej kieszeni. Potem patrząc na Sophię śmiało dodał:

— Czy użyjemy teraz sztyletu? rzekł.

Osunęła się na krzesło.

— Ośmieliłeś się podnieść na mnie rękę! Będiesz za to ukarany.

— Ma się rozumieć. Naprzód poddaję się karze, lecz obecnie, nie traćmy czasu na głupstwa. Czy to możliwe żeby człowiek, wybrany przez baronową Grodsko na dozgonnego towarzysza, pozwolił sztydzić z siebie jak mały dzieciak? Jestem mężczyzną, Sophio, nie zapominaj o tem! Godzę się na nienawiść, lecz zabraniam pogardy! Pierwszy raz zmierzylśmy nasze siły... przekonałaś się kto silniejszy. Nie rozpoczynaj walki, gdyż będę cię traktował bez galanterji.

Poruszyła głową, spojrzała na rękę zsiniałą i rzekła o wiele pokorniej:

— Ból mi sprawiłeś, Cezary!

— Czyja wina? Słowo daję, zdaje się, że miałaś

chwilę obłądu. Wyzywasz mnie w oczy dla tego młodzieniaszka! Czy wiesz, że ja go zabiję?

— Zabraniam ci tego! krzyknęła z mocą.

— Zachwyconybym się czuł, będąc ci posłusznym, rzekł z galanterją. Nie pragnę jak tylko przypodobać się tobie. Pomiędzy nami dwojgiem zachodzi różnica. Ja jestem pełen względów dla ciebie, traktuję cię jak księżnę udzielną, a ty w całym obejściu, w mowie, spychasz mnie do roli lokaja. Czy to jest przyzwoicie?

Nie odpowiedziała. Zbliżył się do niej.

— Nie widziałem cię nigdy tak zadurzoną, rzekł jak gdyby ze współczuciem. Co u diabła jest w tym chłopcu? Ja zmuszony jestem teraz nie ufać tobie, Sophio, ja, który wierzyłem w ciebie bezgranicznie! Czy podobna przypuścić, że przed chwilą chciałaś mi głowę roztrzaskać? A potem, jeżeli łaska, co byś zrobiła ze mną? Twój najmilszy by przyszedł, zastałby krew wszędzie i trupa na środku salonu! Jak byś to wytłomaczyła? Widzisz, Sophia, że miałaś napad obłądu. I to wszystko dla kogo i dla czego? Wstyd doprawdy... Połóż na szale małe przyjemności serca o których marzysz i wielkie sprawy, które cię powołują, i bez uprzedzenia osądź, czy pierwsze mogą przeważać drugie! Doprawdy, kobiety muszą być chwilami opętane przez diabła, ażeby istota wybrana, taka jak ty, dopuściła się podobnych niedorzeczności!

Patrzył na nią z pod oka, lecz wyraz jej twarzy nie podobał mu się jeszcze. Mówił więc dalej:

— Nie mamy i nie możemy mieć siły, tylko wsparci jedni na drugich. Ja liczę na twoją piękność, a ty po-

winnaś ufać mojej zřeczności i odwadze. Wszędzie gdzie działamy, twoją rolą jest uwodzenie, moją, bronić ciebie... Czy uchybiłem kiedy tej roli? W przeszłym roku, w Wiedniu, kiedy pułkownik Brędmann, przez złość, rozpuszczał o tobie nieprzystojne wieści, czy wahałem się? Wyzwałem go i na Praterze wpakowałem mu na trzy cale szpadę w szyję... Muszę przyznać, że ty ze swej strony hojnie sypałaś pieniędzmi za moje przegrane w klubie szlacheckim... A przez ten czas jakie robiliśmy interesy, co? Z jakim powodzeniem! Pamiętasz? Czy nie lepiej było niż klócić się?... No, Sophia, nie spuszczaaj oczu... Wiem, że masz urazę, lecz niech nie będzie większą od mojej, diavolo! Obudź się. Przemów. Odpowiedz mi...

Zdawało się, iż Sophia stara otrząsnąć się z odretwienienia.

Spojrzała jeszcze z gorzkim uśmiechem na zaczerwienione palce, potem rzekła:

— A więc rozkazuj, ponieważ ty jesteś tu panem!

Wykrzywił usta z niezadowoleniem.

— Ah! ja tego nie lubię! Będziesz teraz grała rolę ofiary zrezygnowanej. Nie tego chcę. Trzeba żebyś działała z własnej woli. Zdaje się, wykazałem ci, iż jesteś na fałszywej drodze i że czas zawrócić... Czy nie mam racji?

— Silniejszy zawsze ma rację!

— Ah! odpowiedź prawdziwie kobieca... Oho, Sophia, nie chcę ci narzucać mojej woli. Rób, co chcesz. Zostań, jedź, jak ci się podoba. Wiesz, co ryzykujesz z jednej i z drugiej strony. Opuść przyjaciela wypró-

bowanego dla bardzo wątpliwego adonisa, jak chcesz. Ja, odjeżdżam. Nie mam ochoty dać się zabrać jak lis w kurniku... Daję ci dziesięć minut do namysłu. Wypalę tymczasem cygaro w ogrodzie. Sama postanów o twojej przyszłości.

Wyszedł.

Z oczu Sophii błyskawica strzeliła.

Podniosła się, westchnęła ciężko, potem szepnęła:

— On ma rację!

Zawołała Milony.

— Zapakuj rzeczy w tej chwili. Wyjeżdżamy, rzekła krótko.

— Dobrze, proszę pani.

Sophia przeszła parę razy salon, następnie usiadła przy biurku, wzięła arkusik papieru z żalobną obwódką napisała.

„Marceli mój kochany. Kiedy powrócisz tu, nie zastaniesz mnie już... Brat, który wie o wszystkim (kto mu doniósł?), przyjechał wściekły i uwozi mnie daleko od ciebie. Nie staraj się nigdy ze mną zobaczyć. Zachowaj w sercu pamięć twojej Anety... Ja unoszę na wieki pamięć o tobie. Żegnaj, ukochany tak krótko, a żalowany przez całe życie...

Aneta.“

Zapieczetowała kopertę, umieściła na widocznem miejscu, obejrzała się dokoła i krokiem pewnym zeszła do ogrodu.

Cezary chodził po alei, tej samej, po której chodziła owego wieczora, rozmawiając przy boku Marcelego.

Westchnienie wezbrało jej w piersiach. Lecz postanowiła, a nie była z tych, co się cofają.

— Jak będzie? zapytał włoch.

— Przekonałeś mnie... Jadę z tobą.

— Przecie... Odnajduję moją Sophię. Było chwilowe zaćmienie, lecz to i słońcu się przytrafia!

— Szalona byłam, rzeczywiście, rzekła drwiąco... Wyobraź sobie, zakochałam się w tym młodziku, Marcelim Baradier.

— Ja to rozumiem bardzo dobrze, przyznał łaskawie. Ładny jest i miły. Lecz każda rzecz ma swój czas. A ponieważ otrzymałaś z tej intrygi rezultat tak gorąco poszukiwany przez Hansa, pozostaje ci tylko spakować manatki. I właśnie robisz to ze swoim zwykłym rozumem. Przyznaję, iż zdziwiłaś mnie nieskończenie swoim oporem. Pierwszy raz widziałem cię sentymentalną... Nie mogłem pojąć tej sielanki uczuciowej. Możesz mi teraz wytłómaczyć jak to się stało?

— Oh! to bardzo proste. Znalazłam u tego chłopca przywiązanie szczere i bezinteresowne, które mnie odświeżyło. Wydało mi się, że po długiej podróży w wyschłej pustyni, znalazłam nareszcie źródło przejrzyste z którego nikt nie pił przedemną; zatrzymałam się nad brzegiem, patrzyłam w ten czysty kryształ a obraz, który tam ujrzałam tak różny był odemnie, iż byłam zdziwiona tem i ucieszona. Myślałam, że może znajdę cichy spokój i rozkoszne odrodzenie i przestanę być na jakiś czas tą Sophią, która tyle ludzi znała i tyle awantur przeszła, ażeby stać się w oczach chłopca namiętnie rozkochanego, kobietą zwyczajną bez wyracho-

wania i fałszu. Czy moje usta miały oduczyć się kłamstwa, oczy uwodzenia, a cała istota przewrotności? Jaki słodki sen i jaki blizki urzeczywistnienia! Jakie szczęście nieoczekiwane, zniweczone w jednej chwili twojem ukazaniem. Ah! przeklinałam cię. Cezary, przeklinałam Hansa. Lecz co robić, jak wyrwać się mojemu przeznaczeniu! Bezrozumna byłam, sądząc, że w mojem sercu może rozwinąć się miłość szczera, jak gdyby mały polny kwiatek mógł zakwitnąć na bagnisku! No, nie myślmymy o tem więcej, ciągnijmy nasze zadanie.

— Oto, co się nazywa dobrze mówić!... Patrz, Milona niesie kapelusz i okrycie.

— Każ zabrać pakunki stangretowi.

Sophia obojętna napozór, patrzyła na wynoszoną walizę i torby, i na opustoszały cichy domek.

A że Cezary z bramy ogrodu wołał jej, rzuciła ostatnie spojrzenie dokoła, poniosła rękę do ust, i wszystkim, co ją widziało z Marcelim: zielonym drzewom, miękkim trawnikom, ławkom, na których siadywali, ptakom, które śpiewały nad ich głowami, posłała szybki pocałunek.

— Czy już? zapytał włoch.

— Jestem.

— Nie pojedziemy przez Ars. Miasto zanadto wzburzone! Ten zacny stangret zawiezie nas do St.-Savine, a tam wsiądziemy na kurjer do Paryża.

— Jak ci się podoba.

— A teraz spieszymy się.

Wsiadła do powozu, Milona usadowiła się na sie-

dzeniu naprzeciw swojej pani. Trzaśnięcie biczem, odgłos gruchawek i na zakręcie drogi wszystko znikło.

.

Była już czwarta godzina po południu, kiedy wuj Graff, po zarządzeniu poszukiwań Laforeta, wydaniu rozkazów do uprzątnięcia warsztatów, w których robotnicy mieli powrócić do roboty, wreszcie pomyślawszy o wszystkim, co było najpilniejsze do zrobienia, poszedł do siostrzeńca, aby z nim razem udać się do willi Cavée.

Baudouin z dobrym rewolwerem w kieszeni szedł naprzd. Marceli z wujem szli za nim o sto kroków.

Odpadło ich podniecenie walką, niebezpieczeństwem i zaczęli z zimną krwią rozpatrywać położenie.

Nie było ono wesołe. Zuchwalstwo i gwałty ich nieprzyjaciół, zmanifestowały się zanadto otwarcie, ażeby nie trzeba było obawiać się wszystkiego, jeżeli walka pójdzie dalej.

Otóż w tej chwili oni tryumfowali. Dostali w posiadanie skarb naukowy, którego zastosowanie do przemysłu miliony da im w ręce. Musieli zatem nie posiadać się z radości. Lecz jakie straszne rozczarowanie, skoro przejdą do prób użytkowania formuły skradzionej? Marceli powiedział: ażeby otrzymać materiał wybuchowy w całej jego potędze i ze specjalnymi zalecaniami niszczącymi, jest jeszcze mały sekret znaleziony przez generała de Tremont, a którego on sam jeden był posiadaczem. Można próbować użytkowania formuły. Jeżeli nie wiadano jak postępować z łączeniem proporcji, skutek nie odpowie oczekiwaniu. Otóż zło-

dziej, morderca, który dostał się do laboratorium i ukradł drogocenny papier, będzie miał z niego taki użytek jak z owego dukata złotego w legendzie, który włożony do kieszeni, zmieniał się w liść suchy.

Wuj Graff rozmyślał nad temi rzeczami idąc obok Marcelego, lecz nie mu nie mówił. Na co? Marceli wreszcie wiedział o tem. Lecz niemniej było pewnem, że zaciekli zbrodniarze dla zdobycia tej tajemnicy, zabili już dwóch ludzi i podpalili fabrykę. A sprawdziwszy, że i tym razem nie im się nie udało, rozpoczną znów walkę, i okupią zwycięstwo wielkimi ofiarami.

W takich warunkach nie można się cofać, trzeba dużo ryzykować, ażeby temu przeszkodzić, nie wahać się, jeżeli piękna nieznajoma była spółniczką zbrodni dokonanych, przyaresztować ją, poddać badaniu, a w potrzebie wydać w ręce sprawiedliwości, ażeby rozjaśnić tę ciemną sprawę.

Dochodzili do lasu, dom był zaledwie o sto metrów.

Baudouin odezwał się:

— Obejdę dokoła ogród od strony lasu, abym mógł, jeżeli kto zechce uciekać, zastąpić mu drogę.

— Nie, rzekł Marceli, nie rozłączajmy się.

W tej chwili, ukazała się stara kobieta, która ciągnęła z lasu pęk suchych gałęzi. Uśmiechnęła się bezzębnemi usty i przystanęła dla odpoczynku.

— Czy do młodej pani z willi ma pan interes? odezwała się do Marcelego. Jeżeli tak...

— Więc co?

— Jeżeli tak, to jej pan nie zastanie... Odjechała

przed godziną powozem, z kuframi, ku Saint-Savine... Cacheu z pod „Złotego lwa“ odwiózł ją...

— Odjechała! krzyknął Marceli.

— Było to do przewidzenia, rzekł wuj. Po spełnionym fakcie...

— Niepodobna! Ona! ona!

— Biedny panicz!... Przyjemnie mu było spacerować z młodą panią, mruknęła stara.

Pokiwała głową, okrytą chustką, przyjęła czterdzieści su, które wuj Graff wsunął jej w rękę i oddaliła się w stronę przedmieścia, ciągnąc za sobą suche gałęzie.

Marceli wbiegł do willi.

Na progu już mu się serce ścisnęło.

Drzwi zastał otwarte, jak gdyby w pośpiechu ucieczki nie miano czasu ich zamknąć... Obszedł ogród, wszedł do przedsionka i zawołał:

— Milo! Aneto!...

Milczenie, ciemności i pustka.

W salonie spostrzegł list na stole. Porwał go, otworzył, pożerał oczyma, usiadł, żeby go odczytywać, zrozumiał w końcu, opuścił głowę, a w skroniach puls mu biły, jak wobec niepowrotnej niedoli.

Tak zastał go wuj Graff. On już obszedł dom cały i nabrał pewności, że jest opuszczony.

Baudouin usiadł w ogrodzie.

Graff, patrząc na bladość i ból dziecka, które tak ukochał, cierpiał także. Wzruszyło się serce jego romantyczne, gładził delikatnie ręką włosy siostrzeńca, a zobaczywszy list w palcach kurczowo zaciśniętych, zapytał:

— Pisała do ciebie?

Przy tych prostych słowach, lecz które rehabilitowały prawie jego ukochaną, stwierdzając, że nie zapomniała jego miłości, Marceli zapłakał, zasłonił twarz ręką i podał list wujowi.

Graff zbliżył się do okna, założył binokle, przeczytał i zamyślił się. Marceli otrząsnął się, wstał i zaczął mówić, broniąc tej, którą ukochał:

— Wuju, powiedz, czy tak pisze kobieta, która kłamie? Czyż każde słowo nie tchnie szczerością? Czy ona może być współniczką tych zbrodni? Czy obwiniasz ją, że mnie oszukała? Lub wierzysz, że jest tylko ofiarą i podlega tylko okrutnej tyranii nędzników, którzy i nam zagrażają? Ten list, wuju, ten list... Oh! czyż nie jest krzykiem rozpacz, i czy nie dowodzi miłości?

— List wydaje się szczery, rzekł stary kawaler. Nie przeczę, że ból serdeczny przebiega w każdym słowie i że ta, która go pisała, widocznie, jako zmuszona, dom ten opuściła. Jest to dowód, że kocha cię i żałuje!... Lecz czy jest dowodem, że nie jest występna i współniczką tamtych?

— Oh! wuju, czyż sądzisz, że to możebne?

— Tak sądzę, i obawiam się, że tak jest, mój chłopcze, a to poważniejsze, niż wszystko, jeżeli bowiem ta kobieta kocha cię... A jakżeby cię nie kochała, kiedy cię zna, mój dobry i kochany dzieciaku?... Oh! jeżeli ta kobieta kocha cię, wtedy obawy moje i niepokój nie będą mieć końca... gdyż ona może próbować widzieć się z tobą, a wtedy...

Twarz Marceliego zajaśniała nadzieją:

— Oh! gdybyś ty prawdę mówił!

— Widzisz, chłopcze, narzekał wuj, miałem rację obawiać się. Na samą myśl, że ta kobieta może chcieć spotkać się z tobą, ty już jaśniejesz radością... A to jest bezwątpienia zbrodniarka... Piękna, czarująca, nie przeczę, ale bardzo niebezpieczna, gdyż... Marceli, jeżeli to jest ta sama, co w Vanves...

— Niepodobieństwo!

— Nie mów: niepodobieństwo! Nie wiesz tego... Takie kobiety straszne są! W sprawach jak ta, która nas zajmuje, to jest rodzaj kameleona, przybiera różne pozory, niespodziewane, nieprzypuszczalne, mieni się do niepoznania, aby wzrok oszukać i zbić z drogi podejrzenia. Awanturnica kosmopolityczna, żyjąca z głupoty ludzkiej, szpieg w poszukiwaniu tajemnic rządów, uwodzicielka, której żadne sumienie się nie oprze. Wiesz zapewno, że do takiego zadania wybierają kobiety piękne, bez skrupułów... A ta właśnie...

— Oh! nie! nie!

Wuj Graff, nie zważając, mówił dalej z powagą:

— A ta właśnie, bardzo zręczna, bardzo niebezpieczna, niebezpieczniejsza niż wszystkie inne, wyciągnęła z ciebie, co jej było potrzeba i jednocześnie przyszła jej fantazja zakochać się w tobie... No, Marceli, bądź rozsądny, nie zaślepiaj się... Dlaczego ten człowiek z Vanves był u niej schowany? Dlaczego prochy wykradziono z laboratorium, dlaczego zaraz po tem złodziejstwie willa opustoszała, a mieszkańcy jej uciekli? Gdyż to nie wyjazd, to ucieczka. Patrz jak gwałtowne

musiało być postanowienie... Rano nie było mowy o wyjeździe, albo wiedziała o nim i kłamała, że czeka na ciebie wieczorem. W tem wszystkiem zdradza się zbrodnia i dwoistość... Oszukiwany byłeś słowami miłości, a przez ten czas inni, wspólnicy, mordowali i kradli...

Marceli zżymnął się:

— Ah! gdybym miał tego dowody!

Wuj Graff popatrzył na niego uważnie:

— A więc cobyś zrobił?

— Zemściłbym się, przysięgam! Miłość moja w nie-nawisćby się zamieniła. Jeżeli słowa, któremi zdobyła moje serce, były kłamliwe, rozdarłbym to serce raczej, niż zachował w nim miłość trującą. Jeżeli ta kobieta nie jest ofiarą, to jest ohydny potworem. I klnę się na wszystko, co najświętsze na ziemi, ukarzę ją!...

Graff spojrział na siostrzeńca z zadowoleniem.

— Eh! mój Boże, tyle nie wymagam... Zapomnij tylko o niej, a przedewszystkiem postanów nie wpaść napowrót w jej sieci, jeżeli spotkasz ją kiedykolwiek.

W tej chwili właśnie wszedł Baudouin. Trzymał w ręce książkę i zbliżał się z miną tajemniczą.

— Dobrze jest szukać w każdym kącie, nigdy tego nie za wiele...

Mówiąc to, śmiał się i potrząsał książką.

— Gdybym poprzestał na rzuceniu okiem na pokój pięknej pani, byłbym tego nie znalazł!...

— Co to jest? zapytał Graff.

— Książka, niewinna książka.

Marceli wziął i spojrzał na tytuł: „Dziecię rozkoszy“.

— Tak, ona to czytała w tych dniach...

— Książka sama z siebie nie nie znaczy, podjął Baudouin... Upadła za łóżko, od ściany. W pośpiechu nie zobaczyła jej i została... Lecz jest tam coś w środku.

Baudouin podniósł w górę papier i pokazał go swoim panom.

— Koperta od listu przedarta na dwoje i założona nią książka... Do kogo należy ta koperta, jeżeli nie do osoby, która się nią posługuje?... Otóż jest na niej wiersz pisma, a pismo to — adres...

— Adres?...

— Niech pan zobaczy.

Podał Marcelemu papier; młodzieniec przeczytał głośno.

Cały dół koperty, na którym zapewne napisane były ulica nr. i miasto, był udarty. Lecz u góry pieczęć pocztowa: Wiedeń, 18 kwietnia i rok.

Reszta zatarta.

— Baronowa Grodsko, powtórzył Marceli. Ależ ona nazywała się Aneta Vignola...

— Ah! odezwał się Graff, takie kobiety zmieniają nazwiska jak suknie... Z jakąż nie do uwierzenia niedbałością zachowała tę kopertę i w jaki sposób ten list wysłany z Wiednia przed dwoma tygodniami przyszedł tutaj? Musiał być wysłany w kopercie drugiej pod jej obecnem nazwiskiem...

Baudouin wtedy głos zabrał:

— Pozwolę sobie zrobić uwagę, że kobieta, która

przyjechała do mojego pana w pamiętny wieczór zbrodni, nazywana była przez niego baronową.

Marceli zbladł.

— To prawda, rzekł do siebie, lecz jaki związek zachodzi pomiędzy Anetą Vignola a baronową Grodsko?

— Tego właśnie dojść trzeba, gdyż ta nitka zaprowadzi nas do kłębka. Odwagi, dziecko kochane. Jeżeli kobieta, której żałujesz, jest tą samą, co w Vanves, jeżeli spełniła lub pomagała do spełnienia tylu zbrodni.

— Ah! wuju, w takim razie jest to najostatniejsze stworzenie i będę dla niej bez litości.

— Dobrze, moje dziecko!

Wuj ścisnął rękę siostrzeńca ze współczuciem.

— Obecnie nie mamy tu co robić. Dom wydał nam choć trochę tajemnicy, do nas należy odkryć resztę...

Wyszli do ogrodu, a po starannem zamknięciu willi powrócili, nie spiesząc się, do Ars.

Koniec części pierwszej.

CZĘŚĆ DRUGA.

V.

Lichtenbach siedział przed kominkiem w swoim obszernym i surowo umeblowanym gabinecie i słuchał młodego agenta giełdowego Vertot, który mówił szybko :

— Baradier i Graff nie utrzymają swego stanowiska z akcjami materiałów wybuchowych przez długi czas. Na Bursie już się dziwią, że jeszcze się trzymają. Blińska likwidacja będzie decydującą... Albo się uprą i wtedy mogą upaść odrazu... Albo też dadzą temu pokój... A jaki to będzie upadek!...

Lekki uśmiech przemknął po wargach bankiera :

— Oczekuję tego z ciekawością...

— Boże mój, kochany panie, nie ukrywam że w świecie interesów mówią: to jest pojedynek pomiędzy domem Baradier i Graff i domem Lichtenbach... Jeden z nich upadnie w tej walce...

— Wiem o tem, lecz niczego się nie obawiam...

— Ja, który pracowałem dla pana w tej operacji, znam pański sposób prowadzenia interesu... Do tej chwili, wspaniały jest poprostu... Koniec końców, sprzedałeś pan wszystko to, co kupili Baradier i Graff.

— Tak, mój przyjacielu, i mam ich pieniądze, tak samo, jak oni mają moje akcje... Teraz Vertot, bacz

na to, co się stanie... Akcje wybuchowe, które stoja najwyżej, nagle spadną najniżej.

— Czy pan tego pewny?

— Pewny i najpewniejszy.

— Dla czego?

— Dla tego, że towarzystwo współzawodniczące jest w trakcie uformowania się, a posiada patenty na produkt przeznaczony do zastąpienia w krótkim czasie wszystkich prochów i dynamitów, używalnych dotąd, a który w handlu tańszy będzie o pięćdziesiąt procent. Cóż ty na to?

— Mówię że to jest piorunujące!

— Dobrze powiedziałeś! Przeczytaj wieczorem mój dziennik, zobaczysz tam pierwszy artykuł z całej serji przeznaczonych do zapowiedzenia nowego wynalazku. Następnie prasa dobrze wyuczona i sowiec wynagrodzona da ruch całemu interesowi!... To będzie hasłem zniżki akcji wybuchowych! Chcę od dziś za dwa miesiące widzieć Baradier i Graffa bankrutami!

— Oh! oni silnie stoja.

— Zobaczymy.

— Więc pan mnie upoważnia do sprzedaży tych akcji na moją odpowiedzialność?

— Od jutra sprzedawaj na wszystkie strony. Jest do zarobienia po pięćset franków na sztuce! Zobaczysz jaki się ruch zacznie... Wszystkie moje rozkazy będą wykonane na rynkach zagranicznych... Korzystaj z okazji!

— Nie omieszkam!

— Zmykaj teraz; nie mam czasu. Córką czeka na mnie...

— Kochany panie, stokrotne dzięki i szacunek.

Agent wyszedł.

Lichtenbach nie podniósł się nawet dla odprowadzenia go do drzwi.

Rozmyślał.

List, przesłany z Wenecji, z jednej strony napawał go wewnętrznym zadowoleniem, z drugiej sprawiał pewien niepokój.

Sophia Grodsko pisała:

„Proch wojenny jest świetnym nabytkiem. Próby robione w Spezzie i Tryeście, dały rezultaty zadziwiające dla armat okrętowych. Blachy Siemens'a 0·30 grubości zostały jak papier podziurawione. Wypłacono nam za to dwa miliony. Reszta przyjdzie później. Nie tak dobrze idzie z prochem przemysłowym. Hans pracował nad nim dwa tygodnie w Szwalbach z Prunierem, chemikiem z Zurychu. Dużego doznawał zawodu. Wszystkie próby okazały się niedostateczne. Mieszali dozy na różne sposoby, lecz nic nie dało dobrego skutku. Materiał wybuchowy nie jest wart więcej od dynamitu. Prawda, mniej kosztuje, lecz dalecy jesteśmy od tego, czegośmy się spodziewali i co być powinno. Musi być bowiem jakiś sekret fabrykacji, który nam jest niewiadomy. Hans szuka go i nie traci nadziei. Lecz dotąd „fiasco“. Nie trać odwagi i bądź mi wdzięczny, że całą prawdę mówię. Agostini zasyła ci tysiące uprzejmości i zawiadania, iż dostaniesz tytuł barona“.

Lichtenbach rzekł do siebie:

— Baron! Pięknie będę wyglądał skoro interes w łeb weźmie.

Wstał i pogroził pięścią w przestrzeń.

— Nie weźmie w łeb! Hans zręczny chemik. Znajdzie co trzeba. A w reszcie w potrzebie, ja ucieknę. Nie złapią mnie znienacka.

Uśmiechnął się. Córka wchodziła.

Nie była to już pensjonarka w niebieskim, klasztor-nym mundurku, lecz elegancka i pełna gracji paryżanka.

Bankier patrzył na nią z zadowoleniem:

— Gotowa jesteś?

— Już ojcze. Postanowiliśmy wyjechać o czwartej.

— Prawda. I wiesz mnie?

— Na wentę dla sierót Alzacji i Lotaryngii. Musisz tam być obecny.

— Mogłbym posłać ofiarę...

— Ale ja powinnam się pokazać... Matka Alicja ma sklep z dawnymi moimi koleżankami. Obiecałam jej, że będę...

— Jedźmy zatem.

Pojechali.

W sali „Rolników francuskich“ miała miejsce wenta.

Od wejścia szmer głosów, ruch tłumów. Draperje, zieleni, marmurowa statua Alzacji udekorowana i pokryta czarną krepą. A dla przyjmowania przybywających, żona prezesa rady, deputowany Wogezów, otoczony komitetem pań należących do świata urzędowego.

Lichtenbach i Marja, przyjęci z szacunkiem, zatrzymali się chwilę przy grupie urzędowej. Bogaty finan-

sista, właściciel dziennika, doznawał dobrego przyjęcia. Marja, nieśmiała, szukała niespokojnym wzrokiem kontuaru, przy którym sprzedawała matka Alicja.

Młody komisarz oddał się na usługi bogatej panny i pomiędzy kupującymi i sprzedającymi Marja docisnęła się do sklepu, w którym dawne jej koleżanki, z zakonnicą pośrodku, sprzedawały odzież dla ubogich. Adela de Tremont, w żałobie, sprzedawała także. Uściślała swoją przyjaciółkę.

— Sama jesteś?

— Oh! nie, ojciec zatrzymał się; rozmawia z żoną senatora...

— Czy zostawi cię na jakiś czas?

— Nie wiem. Może nie będzie mógł przyjść po mnie...

Odwróciła się do zakonnicy, siedzącej przy kasie.

— Zadowolona jesteś, matko. Dobrze idzie?

— Zebrałyśmy trzy tysiące franków od południa, moje dziecko. Lecz niedługo piąta godzina... A za godzinę wszystko się skończy... Została nam jedna trzecia towarów...

— A więc, kochana matko, wszystko, czego nie sprzedasz, odeślesz wieczorem do mnie, rzekła młoda dziewczyna skromnie.

— Oh! dziecko moje, jakże ci jestem wdzięczna!... Lecz co twój ojciec pomyśli?

Panna Lichtenbach uśmiechnęła się spokojnie.

— Mój ojciec? On mi się nigdy nie sprzeciwia. Wreszcie nie potrzebuję się rachować...

Pokazała siatkowy woreczek pełen złota.

— A jeżeli zabraknie, ojciec mi doda.

— Widzisz, tam, naprzeciwko nas, odezwała się Adela de Tremont, po drugiej stronie pasażu, sklep pani Baradier. Amelia tam jest.

Marja zmieszała się i zaczerwieniła.

Przypomniała co ojciec mówił o nieporozumieniach swoich z Baradier i Graffem. Czy mógł być jaki stosunek pomiędzy temi rodzinami nieprzyjawnymi sobie? I naraz stanęła jej w pamięci elegancka, wytworna, wesółą twarz Marcelego Baradier. Nieprzyjaźń rodziców nie spływała zatem na dzieci, skoro Marceli tak uprzejmie przyjął córkę Lichtenbacha, kiedy przyjechała na ulicę de Provence?

Zwróciła spojrzenie w stronę, którą Adela jej wskazała, i przy kontuarze, gdzie pani Baradier z Amelią sprzedawały, opartego o ścianę sklepu, poznała tego, o którym myślała. Uśmiechał się, rozmawiając z jakimś niemłodym panem, który kupował wazon fajansowy niepospolicie brzydki. W końcu odebrał mu ten wazon z rąk, uśmieścił wesóło z powrotem na pulce i, ze swego miejsca Marja słyszała jak mówił:

— Trzeci raz już sprzedajemy ten wazon, wuju, i zawsze go nam zostawiają!... Z ochotą płacą za niego, lecz tak jest straszny, iż nikt nie ma odwagi go zabrać.

Niemłody pan schował portmonetkę do kieszeni i rzekł:

— Powiedz mi teraz, gdzie jest sklep panny de Tremont?

— Chodźmy tam razem. Zaopatrzysz się w to, czego właśnie potrzebujesz: wyprawki dziecinne, fartuszki, wuju kochany... nieodzowne przedmioty dla kawalerów.

— Nie dobrego!

Przeszli na drugą stronę i tu Marcelli stał się naraż poważny.

Poznał pannę Lichtenbach, ona także widziała jak się zbliżał, i drżąc cała nie śmiała na niego spojrzeć.

Wuj Graff ze zwykłą sobie dobroduszością odezwał się:

— Panno Adelo, co pani mi sprzeda? Po jakiej cenie tuzin koszulek i czepeczków dla dzieci, mam zapłacić?

— Po sześćdziesiąt franków, dla tego, że to ty, panie Graff... W dodatku, zapłacisz, a towar nam zostawisz.

— Z największą chęcią... bo co jabym z tem robił.

— To co zostawisz, oddamy do domu sierot, a jeżeli jeszcze zostanie w naszym sklepie, zabierze jedna z naszych przyjaciółek.

— Kto jest ta młoda panna? zapytał wuj.

— Panna Marja Lichtenbach.

Graff się wzdrygnął. Twarz mu się zmieniła i mruknął pod nosem:

— Córką tego...

A kiedy usuwał się w tył, usłyszał wymówione głosem słodkim:

— Na polu miłosierdzia niema już nieprzyjaciół, a tylko współzawodniczący w dobrem.

— Ma pani zupełną rację, odparł Graff, schylając głowę przed młodą dziewczyną, i nie zwlekając, wprowadzę w czyn twoje zdanie.

Pochylił się do zakonnicy i zapytał chłodno:

— Ile za to wszystko, co jest w sklepie?

— Ależ panie, jękała matka Alicja zmieszana.

— Czy dosyć dwa tysiące franków?

— Oh! to prawie darmo! odezwał się głos śpiewny.

Ja daję cztery tysiące!

I hrabia Cezary uśmiechnięty, elegancki, ze spojrzeniem zwyciężkiem, ukazał się przy boku panny Lichtenbach.

— Ojciec przysłał mnie do pani, rzekł kłaniając się. Połączy się z nami za chwilę, i doprawdy, gdyby tu był, nie ścierpiałby, żeby za tak niską cenę zabrano rzeczy, które pani pierwsza zakupiła.

Spojrzał dokoła, a poznawszy Marcelego, zdziwił się przyjemnie.

— Ah! pan Baradier... Jestem prawdziwie zachwycony spotkaniem. Odkąd nie miałem przyjemności widzieć pana, podobno miałeś kłopoty. Dowiedziałem się w przejeździe, kiedy siostrę zabierałem. Żałowałem, iż nie mogłem się zatrzymać i oświadczyć panu jak bardzo współczuliśmy pańskiemu zmartwieniu. Byłeś pan tak dobry i uprzejmy dla nas podczas krótkiej naszej znajomości.

Mówił swobodnie, z bezczelnością, która wprowadziła w zdumienie Marcelego.

Patrzył na śmiałego włocha i pytał się w duchu, czy nie śni, czy ta osobistość swobodna i spokojna, która zwraca się do niego wśród zebrania, w Paryżu, nie mająca miny, jak gdyby chciała uciekać, jest tym samym człowiekiem, którego posądzał, że mistyfikował go w Ars, że był bezwątpienia spółnikiem podpalaczy

i morderców, a przynajmniej spółnikiem intryg tej zagadkowej kobiety, której wspomnienie dotąd wypełniało jego serce.

Otrząsnął się z ośupienia i odpowiedział:

— A pańska zachwycająca siostra, pani Vignola.

— Ah! biedna Aneta, przerwał Cezary, jest teraz w Wenecji dla tych nudnych interesów rodzinnych. Lecz przyjedzie prawdopodobnie do Paryża niedługo, ażeby być na moim ślubie.

— Ah! pan się żeni, panie hrabio?

— Tak. Pan Lichtenbach raczył się zgodzić...

Wiadomość połączenia się Agostiniego z Lichtenbachem sprawiła wrażenie piorunujące.

Marceli odrazu odzyskał krew zimną, zmierzył włocho spojrzeniem i rzekł z ironicznym uśmiechem:

— A! pan wchodzi w rodzinę pana Lichtenbacha? Musiało się tak stać, i byłaby wielka szkoda, gdyby się nie stało!

— Nie rozumiem, co pan chce powiedzieć, odparł Cezary.

— Rozumie pan wybornie. A jeżeliby pan potrzebował jakich wyjaśnień, zapytaj swojej siostry.

— Lecz panię, rzekł arogancko wloch, te niezrozumiałe słowa.

— Każdy robi co może: jedni są niezrozumiali w słowach, drudzy niezrozumiali w czynach.

Agostini miał odpowiedzieć, i obydwaj młodzi ludzie stanęli groźnie naprzeciwko siebie, kiedy naraz

delikatna ręka spoczęła na ramieniu włocho, a jednocześnie panna Lichtenbach mówiła:

— Panie hrabio, chodź, proszę, ojciec mój szuka nas.

Cezary spojrzał na Marcelego wyzywająco, potem z pochlebną uniżonością zwrócił się do młodej dziewczyny:

— Najmniejsze pani życzenie jest dla mnie rozkazem, szczęśliwy jestem, mogąc ci być posłusznym... Lecz znajdę tego pana...

Marja zmarszczyła czoło. Spojrzała poważnie na włocho i rzekła:

— Zabraniam panu!

— Bardzo dobrze. Pani władza nademną jest nieograniczona.

Nadszedł Lichtenbach. Minał Graffa, udając, że go nie widzi.

— Co mi powiedziano, hrabio, odezwał się do Agostiniego. Podobno dałeś więcej za ubrania dla biednych, pozostałe w sklepie, o marne cztery tysiące franków? Ależ to nędza. Naprawdę, masz do czynienia z lichymi konkurentami!..

Skrzywił się i spojrzał z pogardą na Marcelego i Graffa.

— Znałem dawniej przeciwników bardziej upartych... Walka o pieniądź dużo ich uspokoiła...

Odwrócił się do zakonnicy i napisał kilka słów w pugilaresie:

— Weź to, siostró, to jest czek na dziesięć tysięcy franków.

— A co ja panu dam za to? zapytała siostra Alicja, nie wierząc swoim oczom.

— Modlitwy twoje, rzekł Eljasz z pokorą.

Zebrała się publiczność koło kontuaru. Szmer pochwalny rozszedł się w tłumie i pieścił uszy Lichtenbacha.

Agostini wykrzyknął z uniesieniem:

— To prawdziwie wspaniały dar!

— Chodź, moja córko, rzekł Eljasz.

Marja ucałowała Adele de Tremont i spuściwszy głowę, żeby nie widzieć Marcelego, poszła z Agostinim za ojcem.

Kiedy mijała Graffa usłyszała jak mówił:

— Za dziesięć tysięcy franków modlitwy. Po dwadzieścia su za każde łotrostwo, zarobił jeszcze!

Marceli przerwał wujowi:

— Nie tak głośno, wuju, córka może cię usłyszeć. Biedne dziecko! Ona temu nie winna.

Marji serce się ścisnęło i więcej zmartwiona upokarzającą pobłażliwością siostrzeńca, niż pogardą wuja dla jej ojca, poszła smutna i cicha.

Od czasu jak powrócił do Paryża, Marceli powrócił także do łaski ojca. Opowiadanie wuja Graffa o pożarze fabryki i ratunku niesionym przez jego siostrzeńca, podniosło syna w opinii starego lotaryńczyka. Niebezpieczeństwo, jakie groziło jego szwagrowi, razem z Cardezem i Baudouinem, wstrząsnęło Baradiera do głębi, wdanie się syna w chwili stanowczej, kiedy najodpowiedniejsi się cofali, rozbudziło entuzjazm. Uściskał Marcelego i rzekł do płaczących żony i córki:

— Co znaczą te smutne miny? Wątpiliście, że ten chłopak dla tego, iż zrobił kilka głupstw w życiu, nie

potrafi być dzielnym i odważnym człowiekiem? Co do mnie, pewny byłem, że w danym razie postąpi tak jak postąpił! Dla tego właśnie, że wiedziałem, do czego jest zdolny, traktowałem go surowo za najmniejsze zboczenie. Lecz, *sacrebleu!* przecież to Baradier!

I ucałował go jeszcze.

Wieczorem, jak byli sami, powtórzył żonie:

— Naprawdę, jestem zadowolony z Marcelego. Graff opowiadał o nim takie rzeczy, wzruszające rzeczywiście. Zaczynam mieć nadzieję, że jak miną pierwsze szaty młodości, będzie z niego człowiek niepospolity. Brakuje mu tylko zastanowienia!... lecz to przyjdzie z latami. Inteligentny jest i ma dobre serce. Teraz trzeba go ożenić!

— Ma dopiero dwadzieścia pięć lat!

— Sam czas właśnie! Ożenić się młodo, z dobrą kobietą, to całe szczęście w życiu. Jak on zachowuje się z Adela de Tremont?

— Jak z siostrą, nie robi żadnej różnicy.

— Najmniejszego flirtu?

— Z jej strony, zdaje mi się, że trochę, ale z jego strony, nie wiem.

— Wybadaj delikatnie Amelię.

— Zrobię to.

Zamiary państwa Baradier nie obchodziły nie a nie Marcelego.

Myślał o wszystkim, z wyjątkiem o małżeństwie. Powrót do rodziny wydał mu się nader przyjemnym. Kochał czule rodziców. Nawet w epoce największych

wybryków młodości, mieszkał zawsze w domu rodzicielskim.

Od powrotu z Ars, cały czas przepędzał po za biurem, wychodził mało wieczorami i pracował u siebie nad zadaniem, o którym tylko wuj Graff wiedział.

Pan Baradier zajęty mocno tem, jaki obrót weźmie interes akcji wybuchowych, zwierzał się ze swojemi obawami przed spółnikiem. Lecz Graff z zupełnym spokojem odpowiadał:

— Potrzeba jest baczyć na interes, lecz nie przesadzajmy niebezpieczeństwa. Wszystko się ułoży, mam niewzruszoną nadzieję.

— Cudu oczekujesz? mruknął Baradier. A oto akcje wybuchowe spadają, pomimo wszelkich naszych usiłowań, żeby je podtrzymać. Rozeszła się wczoraj na giełdzie pogłoska, że został wzięty patent na Anglię, Niemcy i Francję, przez niejakiego Dalgetty, anglika, na wynalazek, o którym cuda opowiadają, a który wyruguje z handlu dynamit... Zareczają nawet, że to jest substancja o tak rozległych zastosowaniach, iż myślą posługiwać się nią do wprowadzenia w ruch machin. Byłoby to zastąpieniem pary, gazu i nafty do motorów. Straszny przewrót! Jeżeli jest w tem czwarta część prawdy, tośmy zgubieni! Z pewnością jest to zastosowanie formuł Tremonta, a Dalgetty jest tylko firmą rabusiów, którzy je ukradli.

— Możliwe! odparł wuj Graff z niezmaconym spokojem.

— Nie znajdujesz nic innego do powiedzenia? krzy-

knął Baradier rozgniewany. Kradną nas, mordują, a ty taki pełen rezygnacji?

— Nie jestem zrezygnowany bynajmniej, lecz czekam na wynalazek Dalgetty w zastosowaniu. Bardzo być może, że to jest rzeczywiście materiał wybuchowy Tremonta. Lecz może być także, że nie... A jeżeli nie, to w takim razie jest nie zupełnie.

— A jeżeli tymczasem zostaniemy zrujnowani?

— To się potem podniesiemy.

— Lecz to ten łotr Lichtenbach prowadzi przeciwko nam kampanię. Piszą mi z Brukseli, z Londynu...

— Pozwól mu się awanturować. Im dalej zajdzie, tem brzydszy będzie odwrót.

— Chciałbym wiedzieć, co daje ci takie zaufanie?

— Marceli! Twój syn! Ten chłopiec, który ma więcej rozumu sam jeden, niż Tremont, ty, ja i wielu innych. Zobaczysz! Zobaczysz!

— Nie możesz powiedzieć mi przynajmniej?

— Nie! Pozwól, niech Dalgetty intryguje, pozwól, niech akcje spadają. Nie sprzedawaj ich przedewszystkiem; schowaj cały pakiet spokojnie. Koniec wieńczy dzieło!

Spokój i pewność Graffa działały chwilowo na Baradiera. Lecz jak został sam w swoim gabinecie, z korespondencją, pełną tylko złych wiadomości, ogarniał go strach z powrotem i w głowie mu się paliło.

Wiedział, że Marceli pracuje, chodzi do laboratorium w gmachu Sztuk i Rzemiosł, gdzie jeden z jego dawnych profesorów był dyrektorem.

Lecz co on tam manipuluje?

Zapewne udoskonalenia prochu Tremonta, może poprostu kompletne dozy produktów. Gdyż, co dowodziło, że on znał te dozy, które były tylko wynalazkiem generała. I Baradier czerwony, z głową rozpaloną, brał kapelusz, i szedł na długi spacer, ażeby uniknąć uderzenia krwi do głowy.

Wieczorem, w godzinę obiadową, zastawał Marcelgo w salonie pomiędzy matką a siostrą, lub przy fortepianie grającego na cztery ręce z Adelą de Tremont. Ten syn, któremu natura nie poskapiła darów swoich, był bardzo muzykalny.

A wuj Graff, meloman zapalony, rozparty w fotelu, poruszał głową z miną zachwyconą, słuchając pieśni Schuberta lub koncertu Schumana.

Wskazywał tylko szwagrowi, wchodzącemu na palcach, dwoje młodych grających i mruczał pod nosem:

— Para dla siebie stworzona. Ona brunetka, on blondyn, a posag: proch generała de Tremont.

— Tak samo jakbyś powiedział: ten dym, co idzie z komina! mówił Baradier.

— Nie! ponieważ proch jest bezdymny! śmiał się wuj Graff.

Taką pewność i spokój okazywał niedowierzający zawsze w interesach wuj Graff, iż Baradier nie przestawał się dziwić.

Widocznie Marceli coś niezwykłego przygotowywał, coś obiecującego rezultat nadzwyczajny. Lecz co takiego?

Baudouin także nie był bezczynny.

Najpierw odwiedził pułkownika Vallenot.

Zastał go w ministerjum wojny, zajętego bardzo jakąś interpelacją deputowanego z południa.

— Czego chcesz? zapytał pułkownik, kiedy Baudouin wyciągnięty, jak struna, salutował po wojskowemu. Zobaczyć się z ministrem? Ah! nie radzę! Jeżeli wejdziesz do niego, nie ręczę, czy wyjdiesz! W dodatku, co chcesz mu powiedzieć? Że agent, którego ci pożytył, znikł bez wieści? Trzy tygodnie już niema żadnej o nim wiadomości.

— Ja tę wiadomość przynoszę.

— Ah! Cóż się z nim stało?

— Nie żyje.

— Masz tobie.

— Zamordowano go.

— Kto taki?

— Ci sami ludzie, którzy zabili generała de Tremont.

— W jakim celu?

— Zawsze w tym samym: przywłaszczenia tajemnic mojego pana.

— I zrobili swoje?

— Tak.

— Więc posiadają formułę prochów.

— Tak, posiadają.

— A to piękna sprawa! Domyślaliśmy się czegoś... Otrzymaliśmy zawiadomienie z zagranicy, iż zrobiono próby z prochem bezdymnym, nadzwyczajnym.

— To ten sam.

Pułkownik nie myślał już o interpelacji. Szarpał wasy z wściekłością, w końcu zapytał:

— A biedny Laforet, kiedy został zabity?

— Prawie dwa tygodnie temu. Lecz przekonaliśmy się później dopiero o jego śmierci. Wrzucono do rzeki biedaka; pęd wody poniósł go do stawideł przy młynie i leżał długo na dnie uciepiony o jakieś drzewo. Przed kilku dniami dopiero wypłynął na powierzchnię. Wyciągnięto go, poznano i pochowano, jak przystoi staremu żołnierzowi i uczciwemu człowiekowi. Śpi cicho snem wiecznym na cmentarzu w Ars, pod zieloną murawą.

— A ci, którzy go zabili?

— Ah! to w tej sprawie chciałem właśnie mówić z ministrem. Ja znam tych łotrów!

Vallenot aż podskoczył.

— Tych szpiegów? Znasz ich?

— I pan także zapewne, mój pułkowniku, gdyż nie pierwsza to ich sprawa. I minister musiał już z nimi mieć na pieńku. To są zdrajcy z profesji!

Pułkownik wstał z twarzą zmienioną:

— Ah! sacrebleu! Tym razem minister będzie zadowolony! Ryzykuję wejść do niego, nie będąc wołany. To mu dobry humor powróci. Zaczekaj na mnie.

Otworzył drzwi i wyszedł. Baudouin słyszał przez kilka minut rozmowę w przyległym pokoju, potem drzwi roztworzyły się gwałtownie i głos ostry zawołał

— Baudouin!

Dawny żołnierz podszedł i na progu gabinetu ujrzał ministra z czołem zmarszczonem, z twarzą jeszcze czerwieniącą niż zwykle.

— Chodź tu! rzekł.

Baudouin wszedł. Generał ubrany po cywilnemu,

zaczął chodzić po gabinecie. Vallenot czekał, stojąc we framudze okna.

— Pułkownik mówił mi, że dowiedziałeś się bardzo ważnych rzeczy, dotyczących śmierci pana de Tremont i mojego agenta?

— Tak, mój generale.

— Mówisz, że znasz zbrodniarzy, którzy ich zabili?

— Tak, mój generale.

— Opowiedz mi wszystko.

— Słucham, generale. Lecz prosiłbym o pozwolenie mówienia tylko przed panem generałem. Jest to tajemnica, od której zależy życie osób zanadto mi drogich, ażebym mógł powierzyć ją komu innemu oprócz panu.

— Nawet pułkownikowi Vallenot?

— Mój generale, rzekł Baudouin chłodno, tajemnica w posiadaniu kilku osób przestaje być tajemnicą. Powierzę ją pułkownikowi lub panu generałowi.

— Dobrze, przyjacielu, masz rację. Odejdź, pułkowniku Vallenot. Niema tu obrazy dla nikogo. A ten dzielny człowiek jest także roztropnym człowiekiem.

Vallenot uśmiechnął się i pożegnał. Widoczne było, iż wolałby zostać. Lecz szef rozkazał. Powrócił do biura z tą pewnością, że ministrowi humor się poprawi.

Po kwadransie telefon zadzwonił. Przyłożył trąbkę do ucha. Minister mówił:

— Przynieś księgę Z. nr. 3-ci z szafy sekretnej.

Vallenot otworzył wielką kasę żelazną, wyjął księgę, a z niej pakiet żółty, który zaniósł do gabinetu szefa.

Baudouin stał przed biurkiem, a generał oczekiwał

podparty na łokciach. Vallenot odszedł. Znów kwadrans oczekiwania i znów telefon:

— Przyslij mi kapitana Rimberta, który zajmował się sprawą Valence.

Vallenot mruknął:

— Oho! Dobrze się zapowiada!

Zadzwoił na woźnego, wydał rozkaz i czekał cierpliwie... Tym razem pół godziny, poczem gabinet ministra otworzył się i wyszedł Baudouin odprowadzony przez samego generała.

Główny szef wydawał się teraz zadowolony.

— A więc Baudouin, przemówił prawie wesoło, tak postanowiliśmy, prawda?

— Tak, mój generale.

— Poprosisz pana Marcelego Baradier, żeby był łaskaw przyjść do mnie.

— Tak, mój generale.

— A jak się cokolwiek dowiesz, choćby rzeczy najmniejszej, w tej chwili mnie zawiadomisz.

— Tak, mój generale.

— Do widzenia. Chodź Vallenot.

Baudouin wyszedł.

Minister wszedł do gabinetu, gdzie czekał już młody kapitan Rimberty.

— Pułkowniku, proszę cię, zrobisz mi sam streszczenie sprawy Espurzheina i sprawy wicehrabiego de Fontenailles. Zdaje się, iż mamy tę łajdaczkę, która wyprowadziła w pole moich poprzedników, i która mnie samego mistyfikowała, kiedy byłem ministrem przed

dwoma laty. Ah! jeżeli będę mógł oddać wet za wet, to oddam z procentem!

— Chodzi zatem o kobietę, która nazywała się pani Ferrant z Espurzhein'em, rzekł pułkownik.

— A hrabiną de Vervelde, z tym biednym Fontenailles, dodał kapitan Rimbert.

— Kameleon wreszcie, zakończył minister wojny.

— Oh! kosztowała ona dużo pieniędzy, zachodów, a wszystko napróżno!

Pułkownik i kapitan wyszli. Minister rozpogodzony zacierał ręce.

Baudouin zaś, ponieważ czwarta godzina biła, przez bulwary dostał się do pałacu Sprawiedliwości.

Wszedł na drugie piętro i zatrzymał się przed gabinetem pana Mayeur.

Baudouin znał służbę pałacową i teraz rozmawiał z woźnym.

— Znalazłeś się pan w końcu? mówił woźny. Czy jesteś znów świadkiem w jakiej sprawie?

— O nie, słowo daję, chciałem poprostu pomówić z panem sędzią... Czy bardzo zajęty?

— Bardzo! Ma teraz całą szajkę złodziei obrazów, którzy okradli pałac jednego margrabiego, na polach Elizejskich. I oprócz tego!...

— Można z nim pomówić?

— Jak tylko zadzwoni, uprzedzę go, że pan przyszedł i czeka. Ah! w jakim on humorze! Nie wiem co oni mają pomiędzy sobą z prokuratorem... Nie nie robią, tylko nieprzyjemności sobie mówią!

Ozwał się dzwonek.

Drzwi się rozwarły i pomiędzy żandarmami wyszło trzech ludzi, białych, mizernych, o spojrzeniu niepewnem, strawionych przez absynt.

Woźny się odezwał:

— No, panie Baudouin, wejdz... pan Mayeur czeka.

Dawny żołnierz wszedł do gabinetu. Pisarz spojrział na niego z pod oka ciekawie. Pan Mayeur z obojętnym uśmiechem wskazał mu krzesło, poskładał papiery, obrócił się z miną surową do pisarza, i rzekł:

— Możesz pan odejść... Złóż akta porządnie i dobranoc.

Pisarz skrzywił się i wyszedł.

— Panie sędzio, rzekł Baudouin, zobowiązałem się, za ostatnią moją bytnością u pana, zawiadamiać go o wszystkim co się zdarzy odnośnie do sprawy w Vanves. Przychodzę dotrzymać obietnicy.

— Czy zdarzyło się rzeczywiście co takiego, co może rozjaśnić tę sprawę?

— Bardzo wiele rzeczy.

— Jakich?

— Pożar, zabójstwo, kradzież.

Rozjaśniła się twarz pana Mayeur.

— A gdzie miały miejsce te zbrodnie?

— W Ars, w prowincji l'Aube.

Twarc sędziego spochmurniała.

— W l'Aube? rzekł. Nie nasz okręg!... To do nas nie należy.

— Przepraszam panie sędzio... do was należy. Tembardziej, że ci sami ludzie operowali, którzy byli w Vanves, i poszukiwani są dla tej samej sprawy.

— Więc znasz ich pan teraz? zawołał sędzia.

— Znam.

— Gdzie ich można pochwycić?

— Nie! Lecz wskażę panu sposób.

— Zatem ta opłakana powstrzymana sprawa ożyje? Wyjdzie z akt na światło dzienne! I może doprowadzimy ją do celu?

— Zaręczam panu, sumieniem mojem, że doprowadzimy, jeżeli pan zrobi co trzeba.

— Ja? zawołał pan Mayeur z twarzą czerwoną od wzruszenia. Ja, po tylu kłopotach, po tylu upokorzeniach jakie zniosłem.

Poczuł, że się zdradza. Uspokoił się odrazu, westchnął i głosem pewnym zaczął:

— Opowiedz pan wszystko szczegółowo.

Baudouin opowiadał jeden po drugim wypadki jakich Ars było widownią. Starał się odmalować osobistość pani Vignola, niezwykłą postać Agostiniego i w końcu wyjaśnił straszne wmieszanie się Hansa.

Sędzia słuchał nieporuszony; robił małe adnotacje w ciągu opowiadania.

Czas uchodził, słońce zniżało się i oblewało purpurą nurty Sekwany, zmrok zapadał, sędzia przestał słuchać a zaczął badać.

— Więc ten Cezary Agostini jest w Paryżu?

— Pan Graff, wuj pana Marcelego widział go, a pan Marceli z nim rozmawiał. Zdaje się, że jest zaręczony z córką bankiera Lichtenbacha.

— Lichtenbach? Człowiek ze stanowiskiem, bogaty, ustosunkowany? Czy to możebne?

— Zobaczy pan sam. Jeżeli pan chce wiedzieć gdzie Agostini mieszka, niech pan każe śledzić Lichtenbacha. Wszystko to kumy i koledzy!

— A kobieta, Vignola?

— Za Agostinim trafi pan do jej mieszkania. A jak będzie pan miał Vignolę, dojdzie pan aż do Hansa, aż do innych wspólników, jeżeli są... A ja wierzę, że są! To jest cała banda!

— A co robi pan Marceli Baradier?

— On będzie działał ze swej strony. Niech się pan nim nie zajmuje. On nie chce ukazywać się w tej sprawie. Kwestja skrupułów! Było się w łaskach u kobiety, i chociaż ona nie nie warta, nie pragnie się przykladać ręki do tego, co jej może zaszkodzić. Łatwe to wreszcie do zrozumienia.

— Lecz gdyby przeciw niemu co złego przedsiębrano? Czy nie życzy sobie abym rozciągnął nad nim opiekę?

— Nie. Dość na to silny aby sam sobą się opiekował. W dodatku, czy to mnie nie ma?

— Laforet był także.

— Wreszcie, taka jest wola mojego pana. Niech pan, nie robi więcej, niż żądają. Sądzę, że rezultat powinien pana zadowolnić. Drogo to kosztowało. Lecz, jeżeli się z tego wyjdzie, jeżeli mój generał i biedny Laforet będą pomszczeni, można będzie powiedzieć: skwitowaliśmy się.

— Niechże tak będzie! rzekł sędzia. A jak będę potrzebował, gdzie cię znajdę, panie Baudouin?

— U mojego pana, pana Baradier.

— Dobrze. Kiedy pan tak skutecznie pracował, na mnie kolej obecnie. Ci ludzie nie będą drwić bezkarnie ze sprawiedliwości.

— Ah! od bardzo dawna drwią oni z niej, jak sądzę z tego, co mogłem zrozumieć w ministerjum wojny.

— Wejdę w stosunki z tymi panami z ministerjum; będziemy szli ręka w rękę. Odwagi i nadziei, panie Baudouin: rozpoczynam sprawę na nowo.

Baudouin odprowadzony przez sędziego, wyszedł na korytarz, uścisnął ręce kolegów przedpokojowych, powrócił prosto na ulicę de Provence i udał się do mieszkania Marcelego. Młody człowiek zajmował trzy pokoje w bocznym pawilonie. Osobne schody prowadziły do niego prosto z podwórza. Marceli mógł swobodnie wychodzić z domu, odzwierny tylko wtajemniczony był w jego zwyczaje.

Tego wieczora siedział w swoim saloniku i badał z niezmierną uwagą rysunek maszyny, na którym nakreślił ołówkiem różne zmiany.

Usłyszawszy, że Baudouin wchodzi, położył plan swój na stole, spojrzał na wiernego sługę i zapytał:

— Powracasz z tamtąd?

— Tak, panie Marceli.

— Widziałeś się z ministrem?

— Tak, panie Marceli. Podskoczył do góry przy pierwszych słowach. Koniecznie chce się z panem widzieć. Utrzymuje, że dama o którą chodzi, jest szpie-

giem najniebezpieczniejszego gatunku; od sześciu lat co najmniej drwi sobie z policji. Ta kobieta ma na sumieniu cały stek niegodziwości.

— Nie o to pytam, przerwał Marceli z żywością. Czy zabiorą się do śledzenia Cezarego Agostini i jego towarzyszków, jeżeli ich ma?

— Minister powiedział, że to jest sprawa policji bezpieczeństwa, i zobowiązał mnie, żebym poszedł do pana Mayeur. Wracam od niego... Ah! ten nie zaśpi gruszek w popiele... Po mojem odejściu, zaraz porozumiał się z prefekturą. Ta przekłeta sprawa dużo go dobrej krwi kosztowała. Wściekły jest na jej sprawców!

Dzwon w podwórzu przerwał rozmowę.

Dawnym obyczajem, dzwoniono wieczorem na obiad tak samo jak bywało na prowincji. Marceli szybko zmienił ubranie i wewnętrznym korytarzem udał się do salonu. Zastał już wuja Graffa, ojca, panią Baradier i dwie panienki, gotowych przejść do sali jadalnej.

Dom postawiony był na stopie dostatku, bez błyszczącego zbytku. Komfort bez ostentacji. Dwóch lokajów obsługiwało do stołu. Obiad był obfity, smaczny ale nie wyszukany.

Zwykle była to chwila, w której każdy opowiadał co cały dzień robił; tego wieczora zaś, zdawało się, iż wszyscy postanowili milczeć. Przy końcu dopiero Graff się odezwał:

— Dziś na giełdzie papiery lepiej stały.

— Nie warto nawet wspominać takiego lepiej! mruknął Baradier.

Cisza znów zapanowała, lecz wuj, który miał cierpliwość prawdziwego lotaryńczyka podjął:

— Cardez pisze mi, że doszli prawie do drugiego piętra przy budowie nowych budynków. Ubezpieczenie zapłaciło co do franka. Słowem, wszystko składa się jaknajlepiej.

— Robotnicy spokojni? zapytała pani Baradier.

— Biedni ludzie! Żalują tego co zrobili. Lecz czyż oni są za to odpowiedzialni. Ah! ci menerzy, przedsięwzięrcy bezrobocia, to prawdziwa zaraza!

— Czy zostawiono obszerniejsze miejsce dla nowej maszyny? zapytał Baradier, który zapominał o złym humorze, jak tylko mówiono o interesach.

— Ojcie, wmieszał się Marceli, nie śpiesz się z tym projektem. Może przyjść taka okoliczność, że system siły poruszającej używany w fabrykach, będzie radykalnie zmieniony. Trzeba tylko trochę cierpliwości.

— Jeszcze te urojenia i nowe motory? Jakiś niewykonalny wynalazek marzyciela!

— Nie, odparł z zapalem młody człowiek. To nie urojenie... taki piękny motor! A gdyby się udał! Kochana Adelo, to byłoby sławą twojego ojca, gdyż on pierwszy powziął myśl tego wynalazku, i zaprawdę, jeżeli się urzeczywistni, jak jestem tego pewny, będzie nosił jego nazwisko.

— Więc to tem się zajmujesz od miesiąca? zapytał Baradier z ciekawością.

— Od dwóch lat, ojcie. Nad zastosowaniem siły wybuchowej ujętej w karby, prochu Tremonta, rozumiesz, ojcie: ujętej w karby, wszystko w tych słowach,

pracowałem właśnie z generałem. Byliśmy już blisko celu, kiedy jego zabrakło. Lecz byłem w posiadaniu wszystkich rysunków, planów i wyliczeń jakie zrobiłszy, i sam dalej prowadziłem to dzieło.

— I myślisz, że ci się uda?

— Wierzę w to.

— Do czego dojdiesz z tą maszyną?

— Do zastąpienia węgla, nafty, elektryczności, dla wytworzenia siły. To jest do uwolnienia lokomotyw od tendrów i wszystkich fabryk od używania węgla.

— Oh! oh! rzekł Baradier, i zastąpisz węgiel, naftę, elektryczność, przez co?

— To, kochany ojcze, powiem ci w przeddzień, kiedy patenty zostaną wzięte na wszystkie kraje świata.

— A kiedy weźmiesz te patenty?

— Jutro, jeżeli zechcesz dać mi naprzód potrzebne czterdzieści tysięcy franków.

— Ja ci je daję! zawołał wuj Graff z ogniem. Ja ci wierzę.

— Kto ci powiedział, że nie jestem gotów otworzyć mojej kasy? mówił Baradier. Choćby dla uczczenia pamięci generała de Tremont, zrobię to.

— Ojcze, gwarantuję, że nigdy jeszcze nie umieściłeś pieniędzy na taki gruby procent, powiedział Marcelli wesoło. To jest wynalazek, który ogromny przewrót zrobi w przemyśle, a taki jest prosty!

— Jak wszystkie prawdziwie dobre wynalazki!

Baradier milczał chwilę, a potem rzekł:

— Lecz wynalazek tej maszyny połączony jest z prochami Tremonta?

— Tak, ojcze.

— A prochy przecie skradli?

Marceli uśmiechnął się smutnie.

— Tak, ojcze, skradli prochy... Proch wojenny na przykład, i to jest wielkie nieszczęście. Generał bowiem chciał uposażyć Francję w ten cudowny produkt i zapewnić w ten sposób naszej armji wyższość nad innymi europejskimi armjami, choć na lat kilka. Bo potem wiesz jak się dzieje: zagranica pótyby pracowała ażby odkryła lub kupiła naszą tajemnicę. I znów byłaby równowaga. Nie byłoby wyższości dla nikogo, ponieważ formułę prochu wojennego Tremonta jutro byłbym złożył ministrowi. Byłaby równość. A jeżeli będzie wojna, męztwo i inteligencja będą musiały zapewnić zwycięstwo. Co się tyczy prochu przemysłowego, to zupełnie inna sprawa. Mogli skraść formułę, nawet proch mają fabrykować, lecz nie wierzę, żeby znaleźli sposób posługiwania się nim do celów jakie mu przeznaczam.

— Jest w tem tajemnica?

— Tak, ojcze, odkryta przezemnie, podczas studjowania z panem de Tremont, i to przez traf szczęśliwy. Na tem właśnie zależy cudowność tego prochu, który w zwyczajnych warunkach jest rozrywający jak żaden inny, zapala się od prostego potarcia, jednym słowem niebezpieczny w użyciu; a który użyty, według naszej metody, posłuszny jest, karny, reguluje swoje własności dynamiczne aż do poruszania zegara, jeżeli mu się to podoba.

Zebrani dokoła stołu słuchali z oczyma utkwionemi w Marcelego, niemi ze wzruszenia, myśląc o wielkości dzieła i nędznem przeznaczeniu jego wynalazcy.

Pan Baradier pierwszy przerwał milczenie:

— Jutro będziesz miał pieniądze. A jeżeli interes wart tylko setną część tego co obiecujesz, Adela będzie bogatą, a Tremont sławny.

— Co do towarzystwa wybuchowego, dodał Graff półgłosem, sędzę, że mamy je w ręku! Jeżeli będzie co gorzkiego do wypicia, to zachowane jest dla Lichtenbacha!

VI

Pięć miesięcy upłynęło od czasu jak Marceli przyrzekł ojcu, zerwać ze swymi towarzyszami hulankę, wyrzec się życia wesołego, bez celu, nie zajrzeć do klubu i pracować, aby puścić w niepamięć szaleństwa jakim się oddawał.

Wierny danemu słowu, usunął się do Ars, ukazując się bardzo rzadko w Paryżu.

Pracował z takim oddaniem się przedmiotowi, iż otrzymał rezultaty niezaprzeczone.

Minister, po rozmowie z Marcelim, wyraził się do starego Baradier z takim zapalem o młodym uczonym, że ojciec topniał z ukontentowania. Wszystkie dawne urazy zostały zapomniane i piękny ten chłopiec dwudziestosześcioletni, powrócił do swoich zwyczajów.

Kiedy pierwszy raz pokazał się w klubie, starzy i młodzi koledzy przyjęli go z roztwartymi rękami.

— Co się z tobą dzieje, kochany? nie widać cię nigdzie? Podróżujesz? Kochasz się? Czy wyjeżdżałeś z małą Machin?

Na wszystkie te zapytania Marceli odpowiedział wesoło, że podróżował rzeczywiście, lecz sam, bez małej Machin, milej osóбки, która, krótko mówiąc, więcej kosztuje niż jest warta.

— Czy jest choć jedna żeby warta była tego co kosztuje? odezwał się melancholijnie gruby Stoponko, zwykle bardzo nieszczęśliwy w miłości.

Marceli dodał, iż dużo zastanawiał się nad grą w karty i przyszedł do przekonania, że bakara nie nie warto i dał sobie słowo, iż nigdy grać nie będzie.

— Ile ja razy słyszałem podobne dowodzenia, rzekł baron de Vergins, dawny szambelan cesarski. A jak postoisz przy stole bakara z kwadrans chociaż, to nie wytrzymasz!

— Chodźmy tam zaraz, zobaczycie.

Przeszli do dużej sali, w której pod sufitem unosił się ciemny obłok dymu tytoniowego.

Okolo dwóch stolików cisnęli się poniterzy, chmurni, podczas gdy bankier robił karty.

— Jakto? macie teraz dwa stoły do bakara? zauważył Marceli.

— Tak, nowość. Przy jednym, minimum stawki ludor; przy drugim dziesięć franków. W ten sposób, kto zgra się przy dużym stole, idzie odegrać się przy małym, i wraca znów do dużego, żeby puścić co tam odegrał.

— Dowcipnie, nie ma co mówić! W ten sposób nie nie ginie!

Zbliżył się do dużego stołu i patrzył badawczo. Poznał Cezarego Agostini, który naprzeciw niego trzymał

bank. Obojętny, z uśmiechem na ustach, z kwiatem w butonierce, hrabia zgrabnemi rękami rozdawał karty. Nie widział Marceliego i głosem śpiewnym pytał:

— Karty?

Dał znów, dobrał dla siebie, przegrał i cisnął na lewo i na prawo z niezwykłą zręcznością żetony różnokolorowe.

Marceli zwrócił się do barona Vergins i rzekł:

— Kto jest bankierem?

— Hrabia Cezary Agostini.

— Nowy w klubie?

— Tak... Przyjemny chłopiec, doskonale strzela, spokojnie gra...

— Szczęśliwie?

— Ah! nie. Przegrywa i to grubo.

— Mielście o nim dobrą referencję?

— Przedstawili go książę Cystriano i Beltrand... Są to poważne rekomendacje. Wreszcie, znana jest rodzina Agostini. Jest to młodsza linia włoskich książąt de Briesca...

— Dla czego przyjmujecie cudzoziemców do klubu? rzekł Marceli niezadowolony.

— Eh! mój drogi, teraz tylko tacy przychodzą! Klub z nich żyje, prawdę powiedziawszy. Nie bardzo to dla nas przyjemnie... Lecz cóż robić? Budżet klubu ma swoje wymagania.

— Czy on ma rodzinę w Paryżu? zapytał Marceli. Żonę lub siostrę?

— Nie. Kawaler i nigdy nie spotkano go z kobietą.

Marceli zwrócił rozmowę na co innego, usunął się

od stołu gry, opuścił pod jakimś pozorem swoich towarzyszków i poszedł do salonu, gdzie wszystko przygotowane było do pisania.

Wziął rocznik i znalazł tam napisany własnoręcznie adres: Hrabia Cezary Agostini, 7, ulica de Colysée.

Miał więc jego adres, to już dużo znaczyło. Lecz co wiedział pozatem? Nic. A on chciał wiedzieć coś pewnego o tej kobiecie tajemniczej: Anecie czy Sophii, pani Vignola czy baronowej Grodsko, jeżeli jeszcze inaczej się nie nazywała. Czem dla niej był Agostini, dla tej istoty czarującej, która nagle przemieniła się w potwora przewrotności? Czy bratem rzeczywiście? Bo spółnikiem, bezwątpienia. Chciał raz wiedzieć to stanowczo, choćby narażając się na największe niebezpieczeństwa.

Usiadł w głębokim fotelu, plecami do drzwi, prawie niewidzialny. Dwóch członków klubu pisało listy na papierze miejscowym.

Chłód w tym pokoju cichym, jednostajny chód zegara, oddziaływały uspokajająco na umysł Marcelego.

Szmer oddalonych głosów, wydawał mu się szmerem wody. Siedział tak długo pogrążony w marzeniach.

Naraz zadrżał i zaczął słuchać.

Głos Agostiniego mieszał się do szmeru rozmowy, i jasny, śpiewny dochodził aż do niego:

— Przegrałem znów dwa tysiące luidorów... Z wczorajszym tysiącem, niezła sumka.

Śmiech.

Jeden z rozmawiających doradzał:

— Powinieneś przestać grać na jakiś czas, Agostini, nie trzeba się upierać, chcieć koniecznie zwalczyć nie-szczęście...

— Eh! Gdybym nie grał, cobym robił? Mam tylko grę do zabicia czasu...

— A piękna pani z Opery, której parę dni temu przedstawiłeś w loży pułkownika Derbaut?

Marcelemu serce zaczęło bić gwałtownie. Miał prze-czucie, że kobieta, o której mówiono i do której Ce-zary przyprowadził pułkownika, była to Aneta tak przez niego niedawno upragniona. Zebrał całą uwagę i słu-chał. Lecz Agostini musiał napewno zniżyć głos, nie usłyszał bowiem jego odpowiedzi.

Ten, co poprzednio mówił, odezwał się znów:

— Jeżeli ona jest tylko twoją współrodaczką, to pragnę ją poznać. Należy mi się to od ciebie, hrabio.

Agostini śmiał się, lecz do niczego się nie zobowiązał.

A Marceli mówił sobie: Jego współrodaczka? Wło-szka? To Aneta... jestem pewny. Jaką podziemną zbro-dnię knuje znowu do spółki z tym rozbójnikiem?... Znowu armia w grę wchodzi, ponieważ pozwoliła przy-prowadzić sobie pułkownika Derbaut, który jest w szta-bie głównym.

Podczas tych myśli stracił ciąg rozmowy, lecz to co usłyszał, powiedziało mu wszystko to co chciał słyszeć:

— Więc dziś wieczorem, w Operze.

— Dobrze.

Cicho się zrobiło, członkowie klubu pisali w dal-szym ciągu. Marceli podniósł się z fotela.

Był teraz pewny, że zobaczy siostrę Agostiniego.

Nie była we Włoszech, jak ten awanturnik śmiał utrzymywać na wencie dla ubogich.

Jest w Paryżu, w tem ognisku intryg, i pracuje już nad jakąś sprawą piekielną. Gdyż po jej przejściu pozostaje zawsze zepsucie, podłość i śmierć.

Naraz w pamięci Marcelego stanął jasny i czysty obraz, tkliwej, ślicznej pani Vignola, z jej uśmiechem anielskim, przejrzystem spojrzeniem i dziewczymi blond warkoczami. Czy podobna, żeby taka zachwycająca kobieta była potworem? strasznym, przewrotnym potworem!...

Czy można było nie wierzyć tej wykwintnej słodczy, otaczającej jak obłokiem całą jej postać? A jednak czyż go nie zdradziła? Czyż nie wydała, że w laboratorium są złożone dokumenty tajemnicze? I to z taką błyskawiczną szybkością i zręcznością, nie licującą bynajmniej z charakterem uczciwej kobiety. A jej pocałunki, takie tkliwe, takie gorące? Jak to wszystko pogodzić? Dla czego wychodziła z nim wrogo wtedy, kiedy pieściła go jak najukochańszego człowieka? A tak postępując, czy posłuszna była obcej władzy, złowrogiej i zbrodniczej? A gdy okazywała się kochającą, czy szła za instynktem serca? Chciałby był oczyścić ją od wszystkich podejrzeń na niej ciążyących... Lecz czy to było możebne?

Wyszedł z klubu, powrócił do domu i zastał w gabinecie ojca, wuja Graffa, który czytał z uwagą dziennik wieczorny. Wuj podniósł się i podał siostrzeńcowi to co czytał.

— Widzisz, mały, prasa zajmuje się naszą sprawą... asz tu sprawozdanie z posiedzenia akademii umieję-

tności, na którem profesor Marigot czytał referencję o prochu Tremonta...

Marceli wziął dziennik obojętnie, nie rzucił nawet okiem na niego i położył na biurku.

— Cóż to, nie jesteś ciekawy wrażenia sprawionego przez referencję profesora Marigot? A więc, mój kochany, ja ci powiem. „Le Globe“ poświęca cały felieton temu wynalazkowi, nazywa go znakomitym i przewiduje, że w krótkim czasie uczyni wielki przewrót w używaniu siły poruszającej. Przeciwnie „Panache blanche“, dziennik Lichtenbacha, występuje całą siłą przeciw wynalazkowi, który nazywa bezczelnym falsyfikatem, dając do zrozumienia, że to jest poprostu ten sam materiał co Dalgetty, bez najmniejszej zmiany w kompozycji.

— A, to już przechodzi wszystko! rzekł Marceli.

— Teraz jeszcze najlepsze... Rozeszła się pogłoska na giełdzie, że towarzystwo wybuchowe jest w posiadaniu patentów Tremonta, i akcje zaczęły iść w górę, pomimo rozpaczliwych wysiłków na niżkę. Nasze położenie jest zatem ocalone, a przeciwnie, Lichtenbacha staje się strasznem!

— Nie myślisz przecie, żeby mnie to wzruszało?

— Rzeczywiście, nie myślę. Lecz uprzedzam, że twój ojciec, który od trzech miesięcy nie sypiał nocami, jest wesół i uśmiechnięty. Pojechał zaraz do Aubervilles, obejrzał plac duży na trzy hektary, który nam proponują, a który byłby bardzo stosowny na fabrykę.

— Mój ojciec będzie w swoim żywiole, mogąc budować.

— Twój ojciec jest szczęśliwy. Lecz po nad wszystko

dla tego, że tobie zawdzięcza taki świetny rezultat. Nie jest on wynurzający, lecz umysł ma bardzo żywy i serce gorące. Pochlebia mu, dumny się czuje, przekonawszy się, że ty jesteś człowiekiem wielkiej wartości... Dotąd mówiono tylko o generale de Tremont... lecz skoro wyjdzie na jaw, że ty cały interes wydoskonaliłeś, skoro raz twoje nazwisko wymówią, a to prędko nastąpi, zobaczysz jak ojciec będzie szczęśliwy.

Marceli milczał. Chodził po gabinecie z miną tak roztargnioną, że wuj zawołał:

— Jaki z ciebie dziwny chłopiec! Powinieneś jednak być zadowolony z tego co opowiadam. A ty zaledwie mnie słuchasz... Co tobie jest?

— Nie mi nie jest, wuju. Pozwalam ci mówić. Cóż chcesz żebym ci powiedział?

— Ach!... bo ty nie domyślasz się jakie ojciec ma dla ciebie zamiary. Dziś rano zwierzał się przedemną: Postawimy Marcelego na czele fabryki, jako dyrektora. Będzie jednocześnie jednym z administratorów delegowanych Towarzystwa materiałów wybuchowych, które odbudujemy kompletnie. Wiesz mały, że bardzo wysokie stanowisko będziesz miał w dwudziestu sześciu latach... I twój ojciec dodał: Gdyby jeszcze chciał się ożenić, wszystkie moje życzenia byłyby spełnione. He? cóż ty na to?... Sądzę, że myślisz dla ciebie o Adeli de Tremont... Co masz na to do odpowiadania?

Marceli odpowiedział spokojnie:

— Nie, wuju.

Graff podniósł się, ujął Marcelego za ramiona, spojrział na niego uważnie i rzekł:

— Tak, wuju. Nie, wuju. Nie, wuju... Oto, co od godziny udało mi się z ciebie wyciągnąć. Zwodzisz mnie... Jest coś, z czem się przedemną kryjesz. Marceli, ty widziałeś kobietę z Ars?

Tym razem młody człowiek się ożywił:

— Nie! Nie widziałem jej! zawołał z ogniem. Lecz wiem, że jest w Paryżu... Wiem, gdzie ją dziś wieczór spotkam... Wuju, będę miał rozwiązanie tej żyjącej zagadki...

— Ah! dziecko drogie, to już wiadomo, czem ona jest... Boże! jak ty mnie dręczysz mówiąc, że zajmujesz się jeszcze tą kobietą! Strzeż się! Wiesz jak ona i jej towarzysze są niebezpieczni! Przypomnij sobie biednego generała i tego dzielnego człowieka w Ars zamordowanego. Po co, u diabła, zawracasz sobie głowę tą przewrotną kobietą?... Prostu dać znać do policji. Przyaresztują ją i po wszystkim.

— Gdybym miał pewność, że jest tak występna, jak ty, wuju, podejrzewasz, wtedy zrobiłbym to właśnie. Chociaż nie bardzo ładnie wydawać kobietę w ręce policji.

— Rycerskość, z takimi ludźmi?

— Lecz ja, wuju, mam wątpliwości. Nie mogę się zdecydować na potępienie tej kobiety. Muszę wysłuchać co mi powie.

— Tak, chcesz się z nią widzieć! Nie opowiadaj mi bredni, stary ja wróbel, nie dam się wziąć na plewy. Wiem więcej, niż ci się zdaje. Ty masz ją w sercu, w głowie, ona cię trzyma tem wszystkim, czem takie kobiety umieją opanować mężczyznę... A ty narazisz się na to, żeby cię zamordowano w jakim kącie,

dla przyjemności bycia oszukanym raz jeszcze przez tę nędznicę.

— Wuju, nie zabijają mnie w Operze. A tam spotkam ją dziś wieczór.

— Czy to prawda?

— Rozporządziłeś swoim fotelem w orkiestrze?

— Nie.

— Więc daj mi go.

— Przysięgnij, że nie zrobisz żadnego głupstwa, że, jeśli ta kobieta zechce abyś poszedł za nią, ty nie pójdziesz?

— Nie, tego nie przyrzeknę. Jeżeli tylko skinie na mnie głową, pójdę za nią nawet do piekła!

— Widzisz! Widzisz!

— Lecz daję słowo, nie zostanę u niej. Ja się mam na ostrożności. Taki Agostini nie zabije mnie jak gołębia...

— Zabierz dobry rewolwer.

— Ma się rozumieć.

— Ah! mój Boże! Taki byłem zadowolony! jęknął Graff. I oto zaczynają się znów niepokoje. A gdybyś wziął z sobą Baudouina?

— Pod żadnym pozorem. Lecz uspokój się, nic mi nie grozi, przynajmniej w tej chwili. Później zobaczymy.

Wejście Baradiera przerwało rozmowę.

Marceli poszedł do siebie przebrać się do obiadu.

W Operze grano tego wieczora *Walkyrię*.

Kiedy Marceli wszedł do pierwszych rzędów, rozpoczął się akt drugi. Kłótnie małżeńskie Wotana, tego Jowisza skandynawskiego, z Friką, średnio interesowały

młodego człowieka. Odwrócił się, oparł o poręcz fotela i patrzył po widowni. Powoli łoży się zapełniały. Czuć było, że abonenci dla tego tylko zdecydowali się przyjść, że drogo za to zapłacili. Drugiego i trzeciego piętra łoże były pełne. Na tych skromniejszych miejscach słuchano, zachwycano się. Na amfiteatrze wysoko, wszystkie głowy wyciągnięte ku scenie. Prawdziwie czująca i pojmująca publiczność tam była.

Lecz Marceli nie robił obserwacji krytycznych nad zdolnością muzykalną różnych słuchaczy tego arcydzieła, on szukał twarzy kobiecej. A nigdzie, ani na drugim piętrze, ani w amfiteatrze, nie ujrzał wykwinanego profilu pani Vignola. Dwie łoże z gabinetami z prawej strony sceny, były jeszcze nie zajęte. A Marceli odwrócony obecnemu do sceny, patrzył w nie z pod oka.

Przy końcu aktu, szmer drzwi otwieranych zwrócił jego uwagę. Ujrzał głąb łoży rozjaśnioną, następnie postać niewyraźna ukazała się w obramowaniu aksamitu. Drzwi się zamknęły, głąb łoży ściemniała, a kobieta ubrana białą, w suknię mocno wyciętą, w pysznych perłach na szyi, zbliżyła się na przód łoży. Usiadła w ten sposób, że Marceli widział tylko szyję cudownych kształtów, a po nad nią upięte czarne włosy. Marceli nie dostrzegł wcale twarzy, lecz jaki mógł być związek pomiędzy tą silną brunetką i jasnowłosą, omdlewającą Anetą? Nie, to nie była ona.

Odwrócił się zawiedziony. Ale, że kurtyna zapadła wśród oklasków i artyści wywoływani ukazywali się na scenie, nowoprzybyła zrobiła lekki ruch i obróciła

się twarzą wprost, a Marceli ze zdumieniem poznał spojrzenie tej, którą kochał.

Na wszystkiem mógł się pomylić, lecz nie na tych powłóczystych oczach, które taki rozkoszny kontrast stanowiły z uśmiechem drwiącym i czołem wyniosłym.

Patrzył na nią uważnie, ona zaś nie wiedziała, że jest obserwowana, gdyż nie rzuciła nawet okiem na salę, i teraz odnajdywał ją, tę samą Anetę z Ars... Lecz jak dobrze trzeba było znać ją, żeby poznać, i jaka boleść w przekonaniu, że ta sama!

Sam fakt takiej odmiany, czyż nie był najkompletniejszem wyznaniem? Na co, dla czego taka metamorfoza, jeżeli nie dla tego, żeby zmylić drogę ciekawości, ta zmiana czesania, koloru włosów, wyrazu twarzy? Jaką komedję grała? Kiedy ją właściwie grała? Czy w Ars była umalowana, przebrana? Czy tu w Operze? I kogo chciała oszukać? Jego, wczoraj? Lub dziś wieczór, nieznanego człowieka, na którego czekała, którego miano jej przyprowadzić, i któremu się odda, jak jemu się oddała w willi Cavée?

Marceli cierpiał okrutnie. Podniósł się... Sąsiedzi jego wychodzili. Pani Vignoli nie było już na przodzie łoży, a w głębi majaczyły niewyraźne postacie. Była to może chwila, kiedy Agostini wprowadzał kolegę z klubu, który tak natarczywie prosił go o przedstawienie pięknej włoszce.

Marceli porachował łoże. Ta była czwartą od sceny. Wyszedł na korytarz, ukrył się za filar i czekał.

Zdawało mu się, że wieki całe czeka. Przechodnie irytowali go; oddał parę ukłonów, unikał podania ręki.

Stał jak na mękach. W końcu drzwi łoży otworzyły się, wyszedł Agostini i pan nie młody, poważny, ze wstążeczką w butonierce. Hrabia i jego towarzysz zawrócili na schody rozmawiając, przeszli koło Marcelego i znikli.

Wtedy Marceli rzucił się naprzód, dał znak kobiecie otwierającej, a jak tylko ta drzwi otworzyła, wsunął się do łoża.

Pani o czarnych włosach siedziała na kanapie w gabinecie za łożą. Zamknął drzwi i zbliżył się do niej. Ona odwróciła się, spojrzała na wchodzącego i nie zmieniawszy wyrazu twarzy, rzekła spokojnie:

— Pan się zapewne pomylił.

— Nie, pani, odpowiedział chłodno, ja się nie mylę. tu właśnie przychodzę, jeżeli mam przed sobą panią Vignola; chyba żeby to była baronowa Grodsko.

Przerażająca zmiana zaszła w twarzy młodej kobiety... Oczy zbladły a usta się trzęsły.

— Jakie nazwisko wymówiłeś? rzekła głosem niepewnym.

— Jedno z twoich, pani, prawdopodobnie! Zmieniasz je bowiem, jak widzę, stosownie do okoliczności, tak samo jak zmieniasz twarz.

— Nie rozumiem co chcesz powiedzieć. Raz jeszcze, mylisz się pan, odejdz.

— O nie! Poczekam na hrabiego Agostini. Rozmówimy się przy nim. On nie będzie mógł zaprzecić się swojej tożsamości, a to pomoże ustanowić twoją.

Podniosła się nie dając sobie już trudu udawania.

— A on cię zabije! Nieszczęsny, uchodź ztąd, nie

zwlekaj ani chwili, nie wahaj się... Nie wiesz jakie niebezpieczeństwo ci grozi!

— Wiem doskonale. Generał de Tremont zginął, agent policyjny Laforet zginął. Wielu innych zapewne, którzy oparli się twojej fantazji lub twoim przedsięwzięciom, poginęło... A jeżeli ja także nie ulegnę, będziesz chciała kazać mnie zabić. Lecz dowiem się wpierw, kto ty jesteś i jakie twoje zadanie.

Młoda kobieta spochmurniała; tragicznym ruchem podniosła rękę:

— Nie próbuj tego. Nie dowiesz się nigdy!

— Mam już początek jednak, rzekł z wściekłością. Jesteś szpieg, złodziejka, komedjantka... tak, kłamiesz nawet w miłości!

Zdawało się, że pierwszych, rzuconych sobie w twarz obelg nie słyszy. Jedna ją uderzyła: „Kłamiesz nawet w miłości!“ Zacerwieniła się, uchwyciła za rękę Marcelego, spojrzała mu w twarz oczami błyszczącymi w ciemności.

— Nie! Ja nie kłamałam! Nie myśl tak! Oh! nie obwiniaj mnie o kłamstwo w miłości. Kochałam cię! Czyś tego nie widział? Obwiniaj o co chcesz! Wszystko mi jedno! Nie powinniśmy więcej się widzieć! Słyszysz? Wierz zatem w to, na co przysięgam: Kochałam cię... Kocham cię jeszcze! Nigdy nikogo tak nie kochałam. I dla tego, że kocham, niechcę widzieć cię nigdy. Nie staraj się mnie zrozumieć. Nie staraj się osiąść moich tajemnic... śmiertelne bowiem będą dla ciebie... Zadowolnij się tem coś miał odemnie i tem, żeś za to życiem nie zapłacił. Bądź ślepy, jak będę

przechodzić koło ciebie, głuchy, jeżeli będą mówić o mnie. Oh! mój Marceli, tak krótko, a tak bardzo kochany! Odejdź! Lecz nie posądzaj, że m kłamała. Ja prawdę mówiłam, darząc cię pocałunkami.

Przestała... Łzy zaświeciły jej w oczach, a usta zbiełaty. Naraz objęła go za szyję i z pocałunkiem namiętnym, wyszeptała: Żegnaj!

Potem silną ręką popchnęła go do drzwi, a on bezprzytomny prawie, znalazł się na korytarzu, pośród wracających spektatorów.

Dzwonek przed rozpoczęciem aktu rozległ się, a Marceli wziął paltot i chwiejąc się jak pijany, wyszedł, posłuszny swej tajemniczej kochance.

Nie wąpił już w prawdę słów słyszanych: kocham cię jeszcze! Nie! Ona nie kłamała... wreszcie, po co? kiedy odpychała go od siebie z przerażeniem, jak kobieta, która drży, aby nie zabito jej kochanka. Była to zatem wola obca, wyższa od jej woli, która zmusiła ją, żeby go uwiodła, a która teraz jeszcze działała na nią dla jakiejś ciemnej sprawy.

Na placu Opery uspokoił się nieco. Powietrze go otrzeźwiło. Lecz wspomnienie tych oczu omdlewających, głosu drżącego, gorącego pocałunku, sprawiało mu ból w sercu. Ah! co za kobieta! Jaką rozkosz tracił...

Lecz była potworem przewrotności. Powiedział jej to, a ona nie przeczyła. Zapewne miała na sumieniu współnictwo kilkunastu morderstw, jeżeli swej białej delikatnej ręki także we krwi nie umoczyła.

Ona jest emisariuszem obcych potęg, kusi i na-

mawia do zdrady. Piękność, wdzięk, inteligencja służą jej do spraw ciemnych. Miłość jest także dla niej środkiem zepsucia słabych... przez nią zabiera duszom męskim tajemnice i honor.

I z nim tak samo było... a on takiej kobiety żałował!...

Uczuł bunt w sercu. Powiedział sobie: zaprawdę, jestem słaby i nieuczciwy! Ozar, jaki wywiera na mnie ta kobieta, zatracą we mnie poczucie złego i dobrego. Pragnę jej w chwili, kiedy wydaje mi się tak godną pogardy. Krótko ją znałem! Coby ona ze mnie zrobiła, gdyby użyła wszystkich zdolności swoich do zepsucia człowieka do gruntu? Kochała... i dla tego odwróciła się, bo nie chciała mnie doprowadzić do podłości.

Zaśmiał się nerwowo i pomyślał: Nie długo będę zmuszony być jej wdzięcznym! A to jest istota nędzna, występna! Tak! Lecz jaka piękna!

Dreżniony temi myślami, wrócił do domu, poszedł do siebie i spać się położył.

Nazajutrz rano o godzinie ósmej kiedy oczy otworzył, wuj Graff stał nad nim.

Stary kawaler nie spał całą noc, a rano przyszedł przekonać się, czy Marcelemu co złego się nie przytrafiło.

Chwilę już stał nad nim. Chciał wybadać siostrzeńca, lecz ten odpowiadał wymijająco. Wtedy widząc, że nie z niego nie wyciągnie, poszedł do siostry prosić o filiżankę kawy. Gdyż naczecz był, i umierał z głodu.

.

Tego samego rana, Agostini i Hans siedzieli z Lichtenbachem w gabinecie tego ostatniego.

Hrabia Cezary, zamysłony, palił papierosa.

Hans słuchał obojętnie tego, co mówił Eljasz:

— Wasze położenie jest z pewnością niewygodne, lecz moje staje się bardzo poważne. Na wiarę waszych zaręczan zaangażowałem się w kampanii na zniżkę, która miała oddać w moje ręce Towarzystwo materjałów wybuchowych, pozwalając odkupić wszystkie akcje prawie za bezcen. A oto, moi konkurenci zjadli, Baradier i Graff, moi zawzięci wrogowie w dodatku, wykonali kontr-partję mojej operacji i wszystkie wysiłki, żeby ich zgubić okazały się bezsilne. Nie rozumiałem powodów ich uporów. Dziś znam te powody. Sprawozdanie odczytane w akademii umiejętności wyjaśniło mi całe wyrachowanie. Posiadają tajemnicę, której wy nie odnaleźliście. Sposób eksploatacji prochu Tremonta posiadają... A patent Dalgetty nic nie wart!... Oto jaki rezultat wszystkich waszych intryg. Macie czego być dumni!

— Ile to pana będzie kosztowało? zapytał Agostini chłodno.

— Jaki? krzyknął bankier wściekły, ile to będzie kosztowało? Ależ prawie wszystko co posiadam! Łatwo to powiedzieć człowiekowi, którego się zrujnowało: ile cię to będzie kosztowało? Czy ja mogę liczyć na powierchowność, żeby zrobić majątek? Ja muszę pracować, żeby mieć pieniądze! Czterdzieści lat już jest tak samo...

— No, Lichtenbach, odezwał się Hans, nie płacz.

Wiemy, że połkniesz gorzką pigułkę, jeżeli interes w łeb weźmie... Lecz zostanie ci zawsze jeszcze trochę... Wezmę twoją resztę za dziesięć milionów, jeżeli chcesz?

— Głupie łotry! wrzasnął Eljasz zaperzony, wicie wy co to jest dziesięć milionów? Mówicie jak ślepi o kolorach. Wasza brudna sprawa prowadzona jak przez osłów, kosztuje mnie połowę życia pracy, a w dodatku, dumę moją! A wszystko dla tego, że manewrowaliście jak głupcy. Wasza sławna Sophia świetna była w całej tej intrydze! Pożeraczka serc mężkich, która nigdy się nie zawiodła! Kwiat truający, którego woń upaja i rozumu pozbawia! Dają jej młodego chłopca, żeby go uwiodła... Dla niej to dziecinna zabawka! A oto ona pozostaje bezczynna, bezsilna, nie może, czy nie chce nic z niego wydobyć. Tajemnica jest jak była niedocieczona, a ja przez ten czas tracę wszystkie moje pieniądze? Nie znam nic godniejszego pogardy na świecie nad głupiego bandytę! A wy obydwaj takimi jesteście i wasza Sophia w dodatku!

Hans nie poruszył się nawet. Agostini spöchmurniał, cisnął papierosa i rzekł:

— Jest prawda w tem co mówisz, Lichtenbach. To też przebaczam ci impertynencję... gdyby nie to, drogobyś mi zapłacił.

— Daj pokój! Kpię sobie z was! mruczał Lichtenbach.

— Nie masz racji, ciągnął włoch ze złem spojrzeniem. Hrabia Cezary Agostini nie stworzony do tego, żeby go za darmo obrażał taki Lichtenbach.

— Darmo! wierzę ci. Pierwszy raz byś coś darmo zrobił!

— No zgoda, odezwał się Hans, nie na to zebraliśmy się, żeby się kłócić, lecz żeby szukać wyjścia... Niema wątpliwości, że baronowa nas zawiodła. Wiemy dla czego, lecz zapóźno. Zakochała się jak głupia w tym młodziku i spełniła zadanie tylko w połowie. Obawiała się wypowiadać chłopca do głębi, żeby potem nią nie pogardził. Młodzik ma się teraz na ostrożności. Z niczem się już nie wygada. Chyba, że ja się podejmę sam go wybadać. Lecz to już będzie ostateczna ucieczka. Schowajmy to na deser. Obecne położenie jest takie: Mamy patent doskonały, gdyż taki sam jest co do składu prochu, jak ten wzięty na nazwisko de Tremont. Lecz nie wiemy ostatniego, małego sposobu, żeby go w czyn wprowadzić. Nasz proch wybucha brutalnie. Proch Tremont jest wybuchowym stopniowo. W tem jest prawdziwa wartość wynalazku. W tych warunkach możemy kazać wystąpić naszemu Dalgetty i oskarżyć eksploatatorów patentu Tremont, późniejszego niż nasz, o podrobienie. Hałas, skandal, proces, szantaż. Takie następstwa naszego wystąpienia. To może posłużyć do otrzymania tranzakcji.

— W jaki sposób? zapytał Lichtenbach z zainteresowaniem.

— Poślij do Baradiera i Graffa, dobrze wybranego ambasadora i ofiaruj im pokój.

— Nie przyjmą.

— Co ty wiesz? Wszystko zależy od propozycji ustąpienia im korzyści materialnych i moralnych, ażeby

dojść do zlania w jeden obydwóch interesów.

— To byłoby ocaleniem! A nawet zwycięstwem! zawołał Lichtenbach. Niech tylko dostanę ich w ręce, a podejmuję się tak urządzić, że się nie podniosą.

— Zdaje się na ciebie... Ah! odżyłeś, stary figlarzu.

— Tak, bo myśl zostania oszukanyim przez Baradiera i Graffa zabija mnie!... Więc całe moje życie byłoby bezużytecznem! Jedno mnie tylko zajmuje odkąd jestem w Paryżu: szkodzić im! I miałbym wyrzec się tej radości! To za ciężko! Lecz kogo do nich posłać?

— Księdza, szepnął Agostini.

— Księdza d'Escayrac, gdyby chciał oddać mi tę usługę! Pyszna myśl. Lecz co ofiarować Baradierom?

— Wszystko, co przypuszczasz, że mogą przyjąć bez obrazy... Co cię to kosztuje? Odbierzesz potem! Czy nie masz córki? Mówiono mi, że jest starannie wychowana i bardzo miła...

— Więc co?

— Zaproponuj ją dla młodego Baradier wraz z wielkim posagiem... Jeżeli Sophia zechce użyć swego wpływu na młodego człowieka, ona przeprowadzi dobrze ten interes!

Tym razem Agostini zaczął okazywać wielkie niezadowolenie. Uderzył pięścią w stół, a patrząc na swoich dwóch spółników zajadle, rzekł:

— A ja? A co ze mną będzie przy tej kombinacji? Zapominacie, że panna Lichtenbach mnie jest przyrzeczona?

— Odbiorą ci przyrzeczenie, odparł Hans chłodno.

— Czy masz zamiar drwić ze mnie?

— Nigdy nie drwię z ludzi napróżno.

— Więc to na serjo? Myślisz zburzyć moje projekty?

— Co twoje projekty będą warte, jeżeli Lichtenbach zbankrutuje? W dodatku, młody wróblu, nie znasz starego Eljasza? Sądziś, że będzie dbał o ciebie, skoro mu nie jesteś potrzebny? Spadłeś już bardzo w jego opinii. Jeżeli będzie trzeba pozbyć się ciebie, dadzą ci pieniędzy... Ja wiem gdzie je znaleźć.

Piękny włoch położył rękę na sercu.

— Lecz czy jest taka kompensata, któraby mogła mnie pocieszyć?

— Tak, rycerzu, trubadurze, drwił Hans. Znany twoją tkliwą i delikatną duszę!

Lichtenbach namarsowany, odkąd wspomniano o jego córce, odezwał się:

— Baradier miałby żenić się z córką Lichtenbacha? Czy to przypuszczalne? Baradier i Graff nigdy na to się nie zgodzą. Ja sam nawet powinienem protestować z całych sił, przeciw takiemu projektowi...

Milczał chwilę, jak gdyby zaabsorbowany wspomnieniami, potem mówił:

— Jednak moja córka nie zrobiłaby wstydu porządnej rodzinie. To są uczciwi ludzie! A ona... dziecko dumne i pełne wdzięku... A gdyby jednak zgodzili się?... Córka moja miałaby zapewnioną przyszłość szczęśliwą. Żyłaby spokojna i szanowana. Baradier są ludźmi uczciwymi! Gdyby moją córkę przyjęli za swoją, obchodziliby się z nią dobrze. Nie byłaby łupem awanturturnika! Nienawidzę ich, pragnę ich zguby, za wszy-

stkie upokorzenia jakie od nich zniósłem... Lecz gdyby przyjęli moją Marję...

Łza spłynęła po policzku zatwardziałego Eljasza. Łza drogocenniejsza, niż brylant, gdyż wycisnęła ją miłość rodzicielska.

Hans przerwał mu, nie lubił przeciągających się czułości.

— Więc przyjmujesz mój plan? Robisz krok do zgody z twoimi przeciwnikami, ofiarujesz im co będziesz chciał, to twoja rzecz, a jeżeli się uda, połączymy w jeden dwa patenty. Ty sam tylko będziesz figurował. Lecz, naturalnie, naszą część zachowasz... Widzisz, że młody hrabia Cezary ostrzy już zęby... No, zgadzasz się?

— Niechże tak będzie.

— Więc bądź zdrów!

Hans i Agostini odeszli.

Eljasz chodził długo zamyślony, w końcu udał się do córki.

Przy oknie, wychodzącem na ogród, Marja siedziała z robotą. Podniosła się widząc, że ojciec wchodzi.

W niebieskim penioarze, ubranym koronkami, z jasnymi włosami splecionemi w warkocze, wyglądała tak słodko, dziewczęco, iż serce ojca wezbrało miłością.

Usiadł, przyciągnął ją do siebie i z dobroduszością, jakiej nie widziała jeszcze u niego, zaczął:

— Dosyć już dawno zamieszkałaś przy mnie... Czyś zadowolona? Czy wszystko idzie podług twojej woli?

— Byłabym bardzo niewdzięczną, będąc niezadowoloną. Pozwalasz mi rządzić domem jak mi się podoba. Lecz, spodziewam się, że i ty jesteś kontent?

— Tak, drogie dziecię. I chciałbym żeby zawsze tak było... Lecz, wiesz, musimy się kiedyś rozstać.

Marja spowaźniała i posmutniała.

— Nie prędko jeszcze, prawda? Nie nie nagli...

— Pójdiesz zamaż... Czy nie miałabyś ochoty wyjść zamaż?

— To zależy, za kogo...

Zamilkli oboje.

Ten twardy człowiek, jakim był Eljasz, czuł się niepewnym, wobec dziecka, którego przyszłością rozporządził przez wyrachowanie. Nie śmiał mówić o Agostinim, którego przyprowadził, przedstawił, zachwalał jeszcze wczoraj.

Marja więc podjęła się wyjaśnić położenie:

— Przyznaję, iż niepokoi mnie trochę uprzejmość, z jaką przyjmujesz w domu tego młodego włocha, hrabiego Agostini, i sposób mówienia o nim do mnie...

— Ależ moje dziecko... chciał tłómaczyć Lichtenbach.

Marja przerwała mu grzecznie:

— Pozwól mi się wypowiedzieć, ojcze. Potem będziesz chwalił ile ci się podoba twojego kandydata... Lecz pozwól mówić szczerze... Sposób bycia twojego protegowanego niepokoi mnie... Nie wydaje się szczerzy. Zanadto bawi się w komplementy i zanadto ugrzeczniiony. Uważam to wszystko za podejrzone; ten człowiek ma zawsze uśmiech i pochwały na ustach. W dodatku, głos jego fałszywie brzmi w uszach. A spojrzenie zimne i złe zadaje kłam słodkiej twarzy i miodowym słowom... Wreszcie, mój ojcze, to cudzoziemiec. Czy nie ma już francuzów we Francji, żebyś szukał aż po za grani-

cami narzeczonego dla twojej córki? On hrabia, to prawda, lecz ja nie dbam o tytuł. Nie nie robi, a ja chciałabym wyjść za człowieka pracowitego... Ojcie, czy bardzo ci chodzi o twojego hrabiego Cezarego? Gdybyś chciał zrobić mi przyjemność i wydać zamaż podług mojego gustu, to wybrałbyś innego pretendenta... Twoja córka, to nie pierwsza lepsza. Często dawałeś mi to do zrozumienia, za często nawet, i mogłabym stać się zarozumiałą. Lecz, na szczęście, jestem rozsądna i skromna. Nie dawaj mi człowieka próżniującego, ambitnego i złego... Jeżeli chcesz żebym była spokojna, odpraw twojego pięknego włocha... Nie takiego mi potrzeba!

Lichtenbach uśmiechnął się dobrotliwie i rzekł:

— A jakiego?

Marja zarumieniała się i milczała.

— Ah! podjął Lichtenbach. Mamy tajemnicę. Trzeba ją wyznać ojcu. Czy spotkałeś takiego, który ci się podobał, córeczko? Powiedz bez obawy... Czemu pierw nie powiedziałaś, że nie lubisz Agostiniego?... No, dziecko, powiedz...

Spuściła głowę i zaczęła:

— Nie! Nie! to na próżno. Jedno mam pragnienie, zostać zawsze z tobą, tak jak teraz... Będę bardzo szczęśliwa...

— Nie mówisz prawdy! zawołał z niepokojem. Trzeba być ze mną szczerą. Czy myślisz, że są jakie trudności? Tak? O kogo chodzi? Czy ja znam tego chłopca?

— Ojcie, dajmy temu pokój, oświadczyła Marja. Złe zrobiłam, zaczynając... Może to być tylko przykre

dla mnie i dla ciebie .. Uprzedziłeś mnie... Lecz za-
późno... Nigdy już o tem nie będzie mowy pomiędzy
nami, przyrzekam...

— Mówisz jak gdyby chodziło o największego mo-
jego nieprzyjaciela... Czyżby to był?...

Nie wymówił nazwiska Baradier, lecz Marja odgadła
je na ustach ojca. Spojrzała na niego z takim wyra-
zem, jak gdyby prosiła o przebaczenie za zdradę. Lecz
nie ujrzała na twarzy ojca ani gniewu, ani groźby. Za-
myślenie tylko i spokój. Mileżał chwilę, poczem zapy-
tał ostrożnie:

— To o Marcelim Baradier myślisz, prawda? Tak,
to o nim. Źle zrobiłem pozwalając ci odwiedzić Adełę
de Tremont. Lecz stało się, nie można tego odrobić.
Trzeba starać się naprawić tę rzecz...

— Naprawić... wyjąkała Marja.

— Tak, moje drogie dziecko. Trzeba spróbować...
Nie jestem katem przecie... Wszystko możebne dla mnie,
skoro chodzi o twoje zadowolenie...

— Zapomnicie waszych uraz?

— Postaram się, żeby Baradier zapomniał.

— Oh! mój ojczy, mój drogi ojczy!

Rzuciła mu się na szyję z taką radością, że Lichten-
bach zbladł ze wstydu. Pierwszy raz w życiu miał po-
czucie co to jest łotrostwo, a pewnie dla tego, iż wła-
sną córkę oszukiwał. Jednocześnie poznał, że winy ca-
łego życia zbierają się jak kapitał, i że przychodzi taka
chwila, iż trzeba płacić procent upokorzeniem i cier-
pieniem.

Spojrzał na Marję ze smutkiem i rzekł, tym razem szczerze :

— Ah ! To tak głęboko zapadło w serce ? A więc, moje dziecko, zrobię wszystko w świecie, abyś była szczęśliwa.

Uściskał córkę, powrócił do biura, zażądał powozu i pojechał do księdza d'Escayrac.

VII

Pani Baradier, powróciwszy z miasta około godziny piątej, czytała w małym salonie, podczas kiedy jej córka Amelia i Adela de Tremont rysowały przy stole, rozmawiając wesoło.

Wszedł służący z oznajmieniem :

— Proszę pani, przyszedł ksiądz jakiś i chce się z panią widzieć.

Pani Baradier z upodobania i z powodu swego stanowiska była opiekunką wielu zakładów dobroczynnych, i częstą miewała styczność z zakonnicami i księżmi.

Rozkazała zatem wprowadzić księdza, a kiedy wchodził, powitała go, wskazała krzesło i prosiła, żeby chciał powiedzieć jaki ma interes.

Od pierwszego spojrzenia podobą jej się twarz księdza inteligentna, wyraz poważny i rozumny, a odezwanie potwierdziło dobre wrażenie.

— Pani, odezwał się, nazywam się d'Escayrac, jestem sekretarzem zakładu miłosierdzia w Issy, poświęconego dla rannych i chorych, a będącego pod opieką biskupa Antropolitańskiego.

— Co mogę uczynić, panie, dla waszego zgromadzenia?

— Dużo, pani... lecz najpierw...

Tu ksiądz zniżył głos.

— Będę miał bardzo ważne rzeczy zakomunikować pani i może wypadaloby, jeżeli pani pozwoli, abyśmy sami zostali...

Dziewczęta, dobrze wychowane, zrozumiały odrazu spojrzenie pani Baradier, podniosły się, ukloniły z szacunkiem i wyszły.

— Mów pan teraz swobodnie, bardzo proszę...

— Znaną jest pani gorliwość chrześcijańska, podjął ksiądz, i na tej podstawie odważyłem się przyjść do niej... Wie pani, że jesteśmy całkowicie oddani na usługi nieszczęśliwych... Nędza, choroba, występki nawet, wzywają naszej opieki i podpory... Występny jest dla nas bratem, którego staramy się podnieść z upadku... tak samo jak staramy się ocalić chorego... Jesteśmy powiernikami bólów fizycznych i moralnych... Wszystkim spieszymy z pomocą... Służymy często za pośredników pomiędzy poważnionymi... Nie jesteśmy nigdy głusi na żal szczery i staramy się obrócić wszystko na korzyść naszej religii...

Mówił z powagą, głosem przekonywającym, powoli zmierzając do celu, a pani Baradier zaczynała pytać siebie w duszy, do czego prowadzi ten młody i sympatyczny katecheta. Zapragnęła przekonać się i rzekła:

— Bądź pan pewny, że znajdziesz mnie i moich jaknajlepiej usposobionych dla waszego miłosierdzia... Czy pomocy pieniężnej pan pragnie?

— Nasze zgromadzenie będzie pani wdzięczne za wszystko, co zechcesz zrobić... Mamy w Damaszku zakład bardzo pożyteczny, lecz bardzo mało uposażony, który polecam pani hojności... Lecz nie o to zupełnie chodzi... W ostatnich czasach zbudowaliśmy schronienie o doniosłym znaczeniu, gdzie zamierzamy, na wzór podobnych już istniejących, stworzyć zakład pracy i poprawy dla nieszczęśliwych upadłych moralnie... Znaleźliśmy w naszym zadaniu dużo pomocy... Serca nasze przepełnione są wdzięcznością dla tych, którzy byli dobrodziejami zakładu, a teraz przedstawia się sposobność oddania jednemu z nich usługi, i ja, pokorny sługa kościoła, zostałem przeznaczony, aby przynieść tobie, pani, słowa pokoju od człowieka, który oddawna jest w nieporozumieniu z państwem rodziną, lecz który chce resztę życia spędzić w zgodzie i pokoju...

Pani Baradier zaniepokoiła się... Widziała, że rozmowa bierze obrót nie miły, a że była stanowcza, przerwała odrazu księdzu d'Escayrac, mówiąc:

— O kogo chodzi, szanowny księże? Sądzę, że nazwisko najlepiej mnie objaśni...

Młody ksiądz uśmiechnął się łagodnie.

— Z powołania jestem posłannikiem miłosierdzia i przebaczenia, szanowna pani, chodzi o pana Lichtenbach.

— Domyślałam się...

— Mamże się obawiać, że osoba jego czyni niemożliwemi wszelkie kroki pojednawcze?

-- Nie do mnie należy zabierać głos w tej kwestji. Nie wolno mi zapominać, że w domu tym jest dwóch ludzi, którzy mają prawo odpowiedzieć: mąż mój i

brat... Pozwól pan, że zawiadomię ich i przyślę panu...

— Zdaje się na pani łaskę...

— Nie, szanowny księże, nie mów w ten sposób... Cokolwiek wypadnie, bądź pewny, że my wszyscy tutaj ocenimy należycie twoją rolę pośrednika zgody... Potrafimy odróżnić posta od tego, który go przysłał.

Ukloniła się księdzu z szacunkiem i wyszła.

Ksiądz nie poruszył się z fotela. Żadna myśl wsteczna nie mieszała jego spokoju, spełniał bowiem to, co religia nakazuje. Wiedział co wart jest Eljasz, lecz ze swego stanowiska, nie wolno mu było zaniedbać starania o zbawienie nawet największego grzesznika.

Drzwi znów się otworzyły. Wszedł Graff, sam tylko.

Podszedł i przywitał młodego księdza.

— Siostra moja, pani Baradier, powiedziała mi, że pan był łaskaw odwiedzić dom nasz, a ponieważ Baradier, mój szwagier, zajęty jest w biurze. więc polecił mi, abym go przed panem wytłómaczył... Wreszcie mam jego upoważnienie... i proszę, niech pan mówi...

— Pani Baradier nie panu nie powiedziała?

— Parę słów, pobieżnie... Przychodzisz pan do nas od Lichtenbacha?... Dobrze! Nie dziwię się bynajmniej. On nie jest rycersko odważny... Dopóki był silniejszy, traktował nas z góry i szkodził na każdym kroku. Obalenie, gdy mu się noga powinęła, próbuje to powstrzymać... Zobaczymy, czego on chce.

Ksiądz d'Escayrac, uśmiechnął się przyjaźnie.

— Przyjemnie jest z panem rozmawiać. Wiadomo odrazu czego się trzymać.

— A więc kiedy pan wie, to proszę, zaczynaj.

— Panie, traf zrządził, że pański bank i bank Lichtenbacha spotkały się na jednym polu, co się tyczy eksploatacji patentu.

— Pan trafem to nazywa? Dobrze! Dobrze! Co do „jednego pola“ to prawda, ponieważ dla zdobycia patentu, o którym pan mówi, wysadzono dom w powietrzu: dom jednego z naszych przyjaciół; spalono fabrykę naszą; zamordowano dwóch ludzi i narażono życie wielu innych. Jest to pole krwią zlane, szanowny księże... Lecz rzeczywiście, jest to, „to samo pole“, wstrętne.

Ksiądz skrzyżował ręce i z wyrazem przerażenia rzekł:

— Panie, ja nie wiedziałem nic z tego co mi odślaniasz... i gdyby to nie pan mówił, myślałbym, że jest zmyśłone... Niepodobieństwo, ażeby ten, w którego imieniu przychodzę, spełnił okrutne zbrodnie jakie mu zarzucasz.

— Porozumiemy się, rzekł Graff z żywością. Nie zarzucam Lichtenbachowi, że krew przelewał. Niezdolny do tego dla wielu przyczyn, a najgłówniejsza, że nie miałby odwagi. Lecz patent, o którym mówisz, został zdobyty temi sposobami, jakie ci, księże, wskazałem... Wmieszano pana w złą sprawę. Lecz masz do czynienia z nami, z ludźmi zanadto szanującymi religję, ażebyś mógł obawiać się jakiegokolwiek odpowiedzialności. Możesz mówić bez ogródek, nie z pomiędzy nas dwóch nie wyjdzie po za obręb tego salonu. A w reszcie, kto wie, może z tej rozmowy wyjdzie rezultat nadspodziewany...

— Nie wątpię, podjął gorąco ksiądz bardzo wzruszony. Oh! panie, co to za przyjemność dla mnie rozmawiać o interesach, jakie mi powierzono, z człowiekiem tak rozumnym i tak życzliwym. Niech Bóg będzie pochwalony! Porozumiejmy się, jeżeli to możebne. Żeby pan wiedział wszystko czego ja się obawiam! I, sumiennie, Lichtenbach nie jest na tyle odpowiedzialnym w tem co się dzieje, jak pan przypuszcza. On nie jest panem swoich czynności... musi rachować się z osobistościami potężnymi, które nie zaprzestaną tak łatwo i które uciekną się do najgorszych środków, ażeby panów pokonać.

— My się niczego nie obawiamy.

— Jest broń zatruta, która dosięga najniezłomniejszych. Wystarczy jednego ułtucia jadowitej gadziny. Panie, obawiajcie się intryg, do jakich uciec się mogą wasi przeciwnicy. Ja z panem mówię szczerze. Nie znałem przeszłości, lecz przeraziło mnie śmiertelnie to, co mi odsłonięto na przyszłość.

— Kto taki? Lichtenbach?

— On sam był przerażony... Prosił mnie jak o łaskę, żebym poszedł do pana, nie znając nikogo nade mną, którego by charakter duchownego, dawał gwarancję dyskrecji. Przysięgam, że nie jest już waszym wrogiem... Gotów jest dać wszelkie tego dowody.

— Oszukuje pana, szanowny księże... Żle jest z nim, dla tego chowa pazury. Znamy go dobrze. Wszelako, każdy grzech może znaleźć odpuszczenie... Czego on chce?...

— Ofiaruje panom układ. Złanie kompletne dwóch

przedsięwzięć w jedno, przez eksploataowanie dwóch patentów... Dalgetty jest pierwszy niż Tremont... Nie będzie opierać na tem pierwszeństwie żadnych pretensji. Dwa wynalazki, prawie jednakowe, będą uważane za równe sobie.

— Jakto? zawołał Graff, dobry sobie ten Lichtenbach. Jeden wynalazek jest poważny, drugi śmieszny. Jeden autentyczny, drugi fałszywy. Patent Tremonta jest wynikiem pracy i inteligencji. Patent Dalgetty jest rezultatem oszukaństwa i kradzieży.

— Drogi, kochany panie! wykrzyknął ksiądz, deklaracjom urzędowym będą wierzyć. Nie można iść przeciw faktom spełnionym... Dalgetty zostało przedstawione przez towarzystwo angielskie pierw niż Tremont.

— Ek! a cóż to nas może obchodzić! Dalgetty jest bez wartości. A ci, co pana przysłali, są tego pewni. Gdyby nie to, nie trudziliby pana. My ich mamy w ręku, mówię panu: oni nie nie mogą. Patent ich nie wart tych pieniędzy, które wydali, żeby go otrzymać. Oto dlaczego chcą z nami się połączyć... Lecz my od kilku miesięcy prowadzimy wojnę z Lichtenbachem, o Towarzystwo wybuchowe... My trzymamy za dobry koniec, on to wie... Będzie musiał się likwidować... A wtedy?

— Ofiaruje zaprzestać kampanii na zniżkę.

— Nie może jej dalej prowadzić.

— Proponuje wziąć połowę za gotówkę zaraz, akcji Towarzystwa wybuchowego, które panowie posiadacie.

— Wierzę: pójda w górę o dwieście franków odrazu!

— Gotów jest dać panom zakład swego współdziałania, szczerzy i stały...

-- Zobaczmy, co to takiego?

— Jeżeliby państwo mieli w swojej rodzinie osobę, należącą do jego rodziny; jeżeli przez połączenie interesy wasze stałyby się wspólne, czy nie mielibyście gwarancji absolutnej, iż szczerze wyrzeka się wojny?

— Co to byłaby za osoba ze strony Lichtenbacha?

— Panna Marja, jego córka.

— A z naszej?

— Siostrzeniec pana, pan Marcelli Baradier

— Tak. Połączonoby dwoje młodych, i Baradier, Graff i Lichtenbach tworzyliby jedną rodzinę.

— Nie wiem, czy pan zna pannę Lichtenbach. Jest to młoda panienska, pełna uroku, wychowana bardzo starannie, która dałaby prawdziwe szczęście siostrzeńcowi pana... Byłoby to rzetelną dla nas radością, przyczynić się do pojednania dawnych przeciwników, których dzieliły niesnaski, łatwe zapewne do usunięcia, wśród ogólnego zadowolenia. Zamiast nieprzyjaźni, zgoda; i przepadną groźby, obawy... Pomyślność wspólna i zupełna! No, szanowny i dobry panie, wymów słowa odkupienia i nadziei, zwycięż dumę twoją, i daj wszystkim przykład łagodności i miłosierdzia.

Graff słuchał w milczeniu rozczulającej mowy księdza.

Oczoło spuszczone, oczy przymknięte, zwiodły księdza, że oddziaływał zwycięzko na umysł starego kawalera.

Cisza zapanowała na chwilę. Późem Graff ukazał twarz ponurą, spojrzenie smutne i głosem pewnym przemówił:

— Szanowny księże, na cmentarzu w Metz spoczywają Graffowie, którzy powstałiby z grobów, gdyby jeden z ich następców upodlił się do tego stopnia, aby poślubić córkę Lichtenbacha!

— Panie! krzyknął ksiądz, nie mogąc wyjść z podziwienia.

— Więc nie wiesz co to są Baradierowie i Graffowie, ażeby im proponować połączenie z Lichtenbachem? Więc nie wiesz co to jest Lichtenbach? Pomiedzy Łotarynią i Paryżem nie ma piędzi ziemi, któraby nie była zroszona krwią francuską z winy tego nędznika! Szpieg, prowadzący wroga do zwycięstwa, dostarczył żywności prusakom; kiedy nasze wojska umierały z głodu, on tuczył się wojną, bogacił zdradą. Zaprzedał swoich braci żydów francuskich, żydów, którzy walczyli w naszych szeregach i którzy poginęli jak ludzie pełni odwagi, on ich zaprzedał, ten podwójny Judasz! A skoro odebrał już zapłatę za swoją zdradę, stał się chrześcianinem, żeby plamić nową religię!... Oto czem jest Lichtenbach, szanowny księże. Czy trzeba teraz panu powiedzieć, co jest Graff i Baradier?

— Oh! ja wiem, kochany, szanowny panie, wiem! Jeden jest tylko głos ogólny o waszej ucziwości i waszym patryjotyzmie. Lecz, wielki Boże! Tyle zawziętości, tyle uraz! Czy tylko to będę zmuszony zanieść temu, który mnie przysłał?

— Powiedz mu, księże, że jest bezwstydnym łotrem, iż takim posłannictwem obarczył człowieka tak szanownego jak pan. Oświadcz mu, że nasza pogarda dla niego wyrównywa jego dla nas nienawiści. Jeżeli będzie

chciał spotwarzać, my odpowiemy, jeżeli myśli procesować, my się będziemy procesować; jeżeli ośmieli się napadać, będziemy się bronić... A w takim razie, biada mu!

— Panie! błagał ksiądz d'Escayrac, przerażasz mnie. Zastanów się... Gniew jest złym doradcą.

— Szanowny księże, ja spokojny jestem... Nie znasz mnie... ja nigdy się nie gniewam... Gdybym się rozgniewał, to byłoby straszne! Lecz na to dużo potrzeba!

— Czy mam z tem odejść? Pomyśl pan, iż wiem, że jesteście wystawieni na największe niebezpieczeństwa.

— Dziękuję panu, żeś nas ostrzegł. Będziemy się mieć na baczności.

— Czy to pana ostatnie słowo?

— Nie, panie. Nigdy ksiądz nie wyszedł z naszego domu, nie unosząc dla siebie i dla swych uczynków miłosiernych dowodu naszej czci i prawdziwej pobożności...

Graff wyjął z kieszeni karnet z czekami, napisał parę słów, i podając kartkę księdzu:

— Dla twoich biednych, szanowny księże.

— Oh! to jest hojność książęca! zawołał ksiądz.

— Czy nie powiedziałaś, że macie zakład miłosierny w Damaszku? Nauczacie w nim zapewne w naszym języku, miłości naszego kraju... Jesteśmy lotaryńczycy, księże, a co zatem idzie, wygnańcy... Wszystko co zmierza do wzrostu Francji, obchodzi nas zatem podwójnie.

Ksiądz d'Escayrac pochylił się nisko przed Graffem.

— Będę się modlił za pana z całego serca.

— Dziękuję, szanowny księże, rzekł Graff z uśmie-

chem. Lecz przedewszystkiem, módl się za Lichtenbacha.

Otworzył drzwi i odprowadził księdza.

Tego samego dnia po obiedzie, około dziewiątej wieczorem, Lichtenbach wysiadł z powozu przy wjeździe na bulwar Maillot, od strony rogatek.

Noc była jasna, drzewa w Lasku Bulońskim, osrebrzone księżycem, odrzynały się ciemną masą na tle nieba.

Bankier przyspieszył kroku, nie bez obawy, gdyż okolica była pusta, podatna dla nocnych włóczęgów.

Zatrzymał się w końcu przed żelazną kratą, obrośniętą bluszczem i zadzwonił. Upłynęło parę chwil, potem cicho otworzyła się furtka i ostrożnie ukazała się kobieta. Była to Milona. Poznała bankiera, usunęła się nie wymówiwszy ani słowa i wpuściła go do ogrodu, rozciągającego się przed domem.

— Pani jest u siebie? zapytał Eljasz.

— Czeka na pana, rzekła dalmatka swoim gardłowym głosem.

— Dobrze. A ci panowie przybyli?

— Od godziny.

Szli wzdłuż klombu, kwiaty napępniały powietrze zapachem. Lichtenbach idąc ciągle za służącą, wszedł na peron, potem do ciemnego przedpokoju.

Milona odebrała od Lichtenbacha kapelusz i okrycie, otworzyła drzwi i z ciemności Eljasz znalazł się na raz w oświeconym salonie, z okiennicami i firankami hermetycznie zapuszczonemi.

Hans i Agostini grali przy stole w pikietę, popijając grog. Sophia w eleganckim szlafrocuku białym, w pół leżała na sofie. Panowie zaledwie się obejrzeni, widząc wchodzącego Lichtenbacha. Baronowa uniosła się powoli i skłoniwszy głowę z wdziękiem, przemówiła :

— Usiądź przy mnie. Oni kończą partję. Jak się tu dostałeś ? Nie słyszałam turkotu...

— Zostawiłem powóz przy rogatce Maillot.

— Tyle ostrożności ? Nie ufasz twojemu stangretowi.

— Ja nikomu nie ufam.

— A gdyby jaki włóczęga napadł cię, żeby nauczyć chodzenia samemu po nocy w tych okolicach ?

Eljasz sięgnął do kieszeni i pokazał rewolwer.

— Miałem czem pomówić z takim, jego własnym językiem.

— Ah ! nie podróżujesz bez dragomana ?

— Nie mogę dać się zabić dla dwudziestu franków, to byłoby za głupie !

Rozmowę przerwał wykrzyknik Cezarego, który wściekły cisnął karty na stół. Hans śmiał się po cichu, pisząc rachunek na kawałku papieru.

— Słuchaj mały, znów trzydzieści pięć luidorów... razem przegrywasz tysiąc czterysta punktów !...

— Można uwierzyć w złe oczy, zgrzytnął piękny włos. Odkąd ten Marceli Baradier spojrział na mnie, nie mogę dotknąć kart, żeby nie przegrać, w jaką bądź grę...

Rzucił złe spojrzenie w stronę Sophii i rzekł :

— To musi się skończyć !

— No! Zgoda! rzekł Hans rozkazująco. Dużo gadania o nic! Na ciebie kolej mówić, ojcze „Kaso“, czy twój ksiądz d'Escayrac widział się z tymi ludźmi?

— Widział.

— Więc cóż?

— Odmówili.

— Co odmówili? Mów wyraźnie! Twojej córki, czy naszego interesu?

Eljasz poczerwieniał, pod spuszczonej powiekami błyskawica z oczu strzeliła. Głos jednak nie zdradzał ani gniewu, ani zmartwienia.

— Odmawiają połączenia ze mną i wspólnictwa z wami. Wszystkiego!

— Donnerwetter! burknął Hans. Czy poszaleli?

— Nie. Są przy zupełnie zdrowych zmysłach. Wiedzą, że wy nie nie macie, a oni mają wszystko. I dowodzą tego, kpiąc sobie z was.

— Ty tak spokojnie o tem mówisz! wrzasnął Cezary. Znałem cię daleko mniej zrezygnowanym.

— Nie mam zwyczaju bić się z wiatrakami. Wpłataliście mnie w interes brudny i niebezpieczny... Wychodzę z niego, ot i wszystko.

— Pozostawiwszy piórka.

— Jak powiadasz... Lecz o ile można najmniej. Odwróciłem się już i wykonałem kontrpartję.

— Stary szalbierz! Skończysz na tem, że zarobisz tam, gdzie my tracimy wszystko! odparł Agostini, błądy ze złości.

— Jeżeli zarobię, to dla tego, że nie będę taki głupi jak ty, który umiesz tylko wydawać pieniądze.

Hans zaczął się śmiać. A że Agostini miał złą minę, położył mu rękę na ramieniu i zmusił, żeby nie wstawał z krzesła.

— Ojciec „Kasa“ ma rację, mój mały, prawdę ci powiedział. Lecz nie trzeba się kłócić, trzeba zastanowić się trochę nad położeniem, ażeby przekonać się, czy można jeszcze z niego co wyciągnąć. A najpierw co mówi Piękność? Dotąd nie odezwała się wcale. Musi mieć jednak swoje zdanie. Pierwszeństwo dla dam... Niech ona najpierw wyrzeknie... No, Sophia, do ciebie pijemy.

Zdawało się, że baronowa się budzi. Zmarszczyła czoło i tonem pogardliwym rzekła:

— Nie mam zwyczaju uganiać się zapamiętałe za źle rozpoczętą sprawą. Mam co lepszego do roboty, niż trudzić się naprawianiem złego. Wiesz, co ci zawsze mówiłam, od czasu tego złowrogiego wieczora w Vanves. Nad tą sprawą nieszczęście zawisło! Nie się nie uda... Wreszcie, wyciągnęliście z niej połowę tego, co pragnęliście: proch wojenny zdobyty. Idźcie za przykładem Lichtenbacha: nie lećcie na pieniądze, utnijcie sobie po jednej ręce i przejdźmy do czego innego.

— Utnijcie sobie po jednej ręce! mruknął Hans, łatwo to powiedzieć! Ja nie mam już ręki! Nie! Donnerwetter! Moja ręka już ucięta! Gdyby to była twoja, Sophio, więcejbyś ją ceniła! Nie puszcę tak lekko sprawy, która tyle mnie kosztowała... Muszą mi za rękę zapłacić! A drugiej sobie nie utnę!

— Więc jaki masz projekt? zapytała baronowa niecierpliwie.

— Oh! bardzo prosty! Musisz się urządzić w ten sposób, moja piękna, żeby nawiązać napowrót znajomość z Marcelim Baradier. Za mało miał ciebie, żeby nie pragnął zacząć na nowo. Znamy cię, coś warta. Sprowadź mi którego wieczora tego młokosa tutaj... On zna tajemnicę fabrykacji. I, albo wyda ci ją z własnej woli, albo „ja“ podejmę się wydrzeć mu ją siłą.

Nastąpiło milczenie. Lichtenbach poruszał rękami nerwowo, twarz hrabiego Cezarego wyrażała zadowolenie, połączone z okrucieństwem, Sophia pozostała obojętna.

— No, cóż ty na to? zapytał Hans z uśmiechem. Zdaje mi się, że to jest mały program, lecz bardzo obiecujący. Prosty do przygotowania, łatwy do wykonania... Hę, odezwij się, Sophia?

— Taki prosty i taki łatwy, jak ten w Vanves! oświadczyła baronowa chłodno. Lecz tym razem jestem uprzedzona i mogę się oprzeć... Skompromitujesz nas po raz drugi twoją brutalnością. Dostyć mam współdziałania z ludźmi, którzy postępują jak opryszkzi z Grenelles, lub Vaugirard. Wstręt mam do gwałtów, przede wszystkim nieużytecznych. Ja zawsze dochodziłam do celu tylko podstępem!

— Eh! kto ci przeszkadza być podstępna? Otrzymaj objaśnienie, którego potrzebuję... to wszystko czego od ciebie wymagam.

— Nie będę się już zajmować tą sprawą!

— Strzeż się! krzyknął Agostini. Mnie nie zwiedzisz. Wiem dobrze dla czego odmawiasz pomocy w spro-

wadzeniu Marcelego... Boisz się o niego... Ot i wszystko!

— A gdyby tak było?

— A więc złe masz wyrachowanie. Gdyż ja przysięgam, słyszysz, jeżeli nie będziesz postępować tak jak Hans żąda, obowiązuję się, nim tydzień upłynie, poszukać zwady z tym młokosem, wyzwać go, i nadziać na szpadę jak kureczaka.

— Wolna wola, rzekła Sophia obojętnie. Mylisz się kompletnie co do moich uczuć. Wcale się już nie zajmuję panem Baradier. Nie mam zamiaru widzieć go kiedykolwiek. Narażasz się zatem poprostu niepotrzebnie na cięcie szpady, które możesz od niego otrzymać, a wszystko dla tego, że upierasz się dojść do celu, w sprawie od samego początku źle poprowadzonej. Mówię, ci, daj temu pokój. Skończymy na tem, że sprowadzimy sobie na kark policję, a wiesz, że nasi przyjaciele nie lubią komplikacji dyplomatycznych. Zajmijmy się sprawą dostawy angielskiej... Można tam zarobić nie ryzykując... Jedno dobre objaśnienie, które pozwoli sprawdzić oszukaństwo w dostawach, powróci nam tu kredyt na długo... Zostawcie w spokoju ten proch, wierze mi...

Hans nie odpowiedział, udawał, że się zastanawia, potem odezwał się z udaną dobroduszością:

— Zważywszy, może masz rację. W każdym razie, nie bez ciebie nie możemy. A ponieważ odmawiasz pomocy, nie pozostaje jak iść za twoją radą i dać pokój tamtemu.

Lichtenbach odetchnął z zadowoleniem, lecz milczał, domyślał się, że pozory zgody Hansa były nie szczere.

Chciał poznać całą myśl okrutnego partnera, i dlatego uznał za właściwe ukryć swoją.

— No, nie mówmy już o tem! Pominę to, co interes ten mnie kosztuje i co na nim tracę. Lecz szkoda, że nie można było znaleźć ostatniego słowa fabrykacji... Duży zarobek ominął!

Hans przygryzł usta i nie odpowiedział.

Agostini zwrócił się uprzejmie do Lichtenbacha:

— A co będzie z mojem małżeństwem?

— To samo co z interesem, odparł Eljasz ostrożnie. Jedno warte drugiego! nie masz już posagu, ładny chłopcze. Brałem ciebie z prochem Tremonta. Obecnie zostały ci tylko oczy zapruszone tym prochem!

— Ah! tak mnie traktujesz! Możesz tego pożałować!

— A ja mogę kazać cię wypędzić po za granice Francji, w przeciagu dwudziestu czterech godzin, rozumiesz!

— Co znowu, wmieszał się Hans, ten proch przeklęty jest prawdziwym duchem niezgody, gotów nas w końcu poróżnić... Dosyć tego! Ponieważ „Piękność“ odmawia spółki z „Siłą“, pozostaje tylko rzec się wszystkiego.

— Chodźmy, rzekł Lichtenbach, późno już.

— Pójdziemy z tobą aż do rogatek, żeby ci się co złego nie przytrafiło, ojcze „Kaso“. Nie bardzo bezpiecznie w tych stronach. Dobranoc, Sophia, do prędkiego zobaczenia.

— Dobranoc.

— Nie zatrzymujesz mnie, Sophia? zapytał czule

Agostini, który chciał pogodzić się ze swoją pożyteczną przyjaciółką.

— Nie, mój kochany, odrzekła baronowa obojętnie. Działasz mi na nerwy, nie zniósłabym twojej obecności... Dobranoc.

Zadzwoniła. Milona weszła.

— Poświeć tym panom, Milo.

Wyszli w milczeniu, przeprowadzani przez dalmatkę, która z okragłą latarnią w ręce, oświecała ciemne zakręty alei prowadzącej do furtki ukrytej w bluszczach. Otworzyła im, i znikła.

Poszli przez avenue Maillot, mileczący i zamyśleni. Naraz Hans zatrzymał się i odezwał przytłumionym głosem:

— Sophia drwi z nas! Lecz nie będzie tak jak ona myśli. Udawałem, że przystaję, żeby lepiej ją zwieść. Oto co my teraz zrobimy... Cezary napisze kilka słów pismem zmienionem do młodego Marcelego Baradier, naznaczy mu schadzkę na bulwarze Maillot, na wieczór około godziny dziesiątej. Ja będę obecny z ludźmi wypróbowanymi. Podejmuję się dostawić ptaszka do klatki. A jak raz tam będzie, Sophia musi się nim zająć, czy jej się podoba, czy nie... Ten sam plan wskazywałem przed chwilą, a ona go nie przyjęła. Taka tylko różnica będzie, że nie pytałem o pozwolenie wykonania.

— Lecz, odezwał się Cezary, jeżeli Baradier się nie stawi?

— To go nie będzie... Ale ty, który znasz baronowę, ty, przypuszczasz, że on nie stawi się na schadzkę mi-

łosną? Poleci jak éma w ogień ten biedny chłopiec. A skoro go dostaniemy...

— Co zrobicie? zapytał Lichtenbach głosem drżącym.

— To już nasza rzecz! Lecz spuść się na nas, rozwiążemy język ładnemu chłopcu!

— Znów gwałty?

— Perswazja, której oprzeć się nie można.

— A jeżeli was zadenuncjuje po wyjściu?

— Niech tylko powie, co wie, przedtem, to potem może spokojnie zdemaskować.

Lichtenbach zadrżał. Czuł, że Hans zdecydowany jest zabić Marcelego Baradier i że łotr ten dąży do podwójnego celu: posiadania tajemnicy i pomszczenia swego kalectwa.

— Wiedz o tem, rzekł, iż nie należę do niczego. Od tej chwili wyrzekam się jakiegokolwiek udziału w waszych czynach. Nie chcę nawet wiedzieć o rezultacie waszej operacji. Wydajecie mi się pozbawieni rozumu.

— Eh! Myślisz, że rachowaliśmy na ciebie kiedykolwiek, w innem znaczeniu jak tylko w dostarczaniu pieniędzy? rzekł drwiąco hrabia Cezary. Byłeś naszą kura, niosącą złote jaja, lecz teraz, kiedy nieść już nie chcesz, idź do djabła!

— Nie używaj fortelów z nami, Lichtenbach, rzekł Hans. Wiesz dobrze, jeżeli nam się uda, patent Dalgatty będzie miał całą swoją wartość. A co zatem idzie, masz udział w zyskach. Twoje oświadczenia są zatem tylko nową hypokryzją! Odpychasz odpowiedzialność, rezerwując sobie przyjęcie zysków. No, stary przyjacielu, nie będę się z tobą targować!

Przyszli do placu, na którym czekał powóz Lichtenbacha. Agostini otworzył portjerę z gracją:

— Nie gniewaj się, i spij dobrze.

Lichtenbach wsiadł, powóz ruszył. Podczas jazdy bankier myślał: położenie moje najeżone niebezpieczeństwami. Jeżeli pozwolę Hansowi dokonać tego co zamierzył, mogę być skompromitowany w okropny sposób. Baradier nie zawaha się ani chwili, żeby mnie oskarżyć. Jeżeli znów ośmielę się pokrzyżować zamiary Hansa, a on się o tem dowie, to mnie zadenuncjuje. Przeklęty niech będzie dzień, w którym związałem się z tymi ludźmi! Lecz w jaki sposób przewidzieć, że uciekną się do takich niebezpiecznych sposobów? Baronowa nie dała mi nigdy tego poznać. Ona sama opierała się temu. A gdybym uprzedził Sopię? Lecz tu znów Hans będzie podejrzewał, żem go zdradził. I to wreszcie nie osłoni mnie przed Baradierem. Czy ich trzeba by ostrzedz? Tak, jeśli oddam mu tę usługę, zawiadamiając dyskretnie o niebezpieczeństwie grożącym jego synowi, zapewniam sobie wdzięczność skuteczną. W każdym razie, oni nie zdolni są mnie sprzedać... A tu jest może ocalenie! Pozostaje Hans i Agostini... Jaka straszna będzie moja odpowiedzialność względem tych łotrów! Oni zdolni są do wszystkiego! Ah! w jakie ja błoto wlałem.

Przyjechawszy do domu, nie był pewny jeszcze jak postąpi.

Przez ten czas pan Mayeur, podług wskazówek Baudouina, dokompletowanych objaśnieniami pułkownika Vallenot, nie zasypiał gruszek w popiele. Sędzia, któ-

remu się zawsze udawało, miał na sercu odzyskanie w oczach przełożonych opinii nieomylnego. Całą swoją miłość własną włożył w rozwikłanie tej ciemnej i brudnej sprawy.

Porzucił rozpoczęte śledztwa; jego obwinieni umierali z nudów w więzieniu. Nie go nie zajmowało, oprócz tego, co dotyczyło baronowej, Agostiniego i Hansa.

Od tygodnia wiedział wszystkie szczegóły o hrabi Cezarze. Otrzymał dokładne notaty o jego osobistości.

Z bardzo dobrej rodziny arystokratycznej, pan Agostini musiał wystąpić z wojska włoskiego, po sprawie honorowej, w której, iż tak rzec można, zamordował swojego przeciwnika. Drobnostka: pistolet wystrzelił przed komendą. Świadkowie źle tę rzecz przyjęli. Cezary niezadowolony, po kilku wyzwaniach bez skutku, wyjechał zagranicę, i odtąd żył na stopie najmniej sto tysięcy franków dochodu, nie posiadając innych środków nad urodę.

Co do Hansa, ten był nieprzenikniony i nie do odnalezienia. Wiedziano gdzie mieszka Agostini, o Hansie nic a nic... Zdawało się agentowi, iż spotkał raz na zebraniu ludzi podejrzanych, mężczyznę odpowiadającego rysopisowi tego bandyty. Lecz mówił innym akcentem. Śledzony przez tegoż agenta przy wyjściu z zebrania, mniemany Hans odwrócił się nagle, i jednym uderzeniem ogłuszył prawie na śmierć niewygodnego łapacza. Późem znikł bez śladu.

Przez Agostiniego doszli prosto do mieszkania baronowej przy bulwarze Maillot. Dom był wynajęty z meblami. Mieszkała tam bardzo spokojnie, pod nazwi-

skiem pani de Frilat. Pan Mayeur, wysławszy do Niecei do barona Grodsko zręcznego agenta, otrzymał o Sophii dokładne sprawozdanie. Nienawiść i pogarda popłynęły z ust męża awanturnicy. Grodsko podpiwszy należycie, opowiedział wszystko co wiedział, a prawdopodobnie była to zaledwie połowa prawdy. Rozczulił się, rozmawiając z agentem, który stał się jego przyjacielem przy zielonym stoliku.

— Ah! panie, ta kobieta sto razy na śmierć zasłużyła! Nie potrafisz sobie wyobrazić do czego jest zdolna. Ponieważ zapisałem jej cały mój majątek, kilka razy próbowała mnie zamordować, żeby rychlej odziedziczyć. Zawdzięczam życie tylko temu, że przyszło mi do głowy przekonać ją, żem zrujnowany. Obecnie, kiedy nie ma interesu w mojej śmierci, mogę żyć przynajmniej... Uwielbiałem tę nędznicę, jak wszyscy ci, którzy się do niej zbliżają... Nie ma kobiety nad nią powabniejszej... Onaby świętego skusiła... Nie wierzę, żeby można jej się oprzeć... W Austrii każe sobie otworzyć drzwi więzienia temu samemu sędziemu, który prowadził śledztwo w sprawie, za jaką należało jej się wieczne więzienie. To jest anioł i potwór jednocześnie... Słyszysz co mówię o niej i co myślę... Otóż ja, ten sam, który to mówię, nie odważyłbym się wystawić na jej obecność... Nie przysięgnę, czybym pod jej wpływem jakiego szaleństwa znów nie popełnił!... Strzeż się... To istota najniebezpieczniejsza jaka być może! Pytasz się czy nazywała się panią Ferranti, hrabiną Schlosser, panią Gibson... Ja nie nie wiem... Lecz to prawdopodobne, jeżeli była zbrodnia do wykonania za pomocą

tych nazwisk. Ona ma pomysły szatańskie i nie ccha się przed niczem.

Mając w rękę takie notaty, pan Mayeur udał się do ministerjum wojny, ażeby je zakomunikować pułkownikowi Vallenot i zażądać od niego sprawozdania z osobistych jego badań!...

Wprowadzony do gabinetu ministra, sędzia przekonał się, że jego śledztwo dokompletowało się szczegółami dodatkowymi, zebranymi w ministerjum. W miarę jak światło padało na osobistości grające rolę w dramacie z Vanves, doniosłość sprawy stawała się widoczniejszą. Było to, bez najmniejszej wątpliwości, stowarzyszenie szpiegostwa międzynarodowego, operujące najmniej od lat dziesięciu, na rachunek rządów zagranicznych i eksploatując je na korzyść innych.

Było nad czem się zastanowić... Najmniejszy fałszywy krok obudzi czujność zbrodniarzy i ulotnią się jak kamfora!

Pan Mayeur zbladł, minister klął pod wąsami, tylko pułkownik Vallenot miał odwagę odezwać się:

— Teraz jest już pewność, mój generale, że znaleźliśmy Kameleona, jak nasi agenci ją nazywają. To jest ta sama kobieta, o której mówiłem panu przed kilku miesiącami, z samego początku śledztwa. Ta, która figurowała w sprawie Cominges, Fontenailles i t. d. Mamy łotrzykę pod bokiem, wyciągnąć tylko rękę i nasza... Pozwolimyż znów jej uciec? Czy pan sądzi, że to możebne?

— Eh! to ci przekłeci formalisci, ze swoją polityką, przeszkadzają tylko! mruczał stary szef. Gdybym sam

decydował, toby się tak nie wlokło! Ale adwokaci parlamentują, gadają, marudzą... Bodajto z moimi oficerami. Cóż na to powiesz panie sędzio?

— Oświadczam, panie ministrze, iż gotów jestem podpisać rozkaz aresztowania i zanieść do sądu kryminalnego.

— Eh! Szef twój powstrzyma pana! Wiesz, Vallenet, coby najlepiej było: otoczyć wojskiem dom w Neuilly... Zbrodniarze stawialiby opór... Skorzystać z zamieszania i wymordować wszystkich razem z tą kobietą, jak psów wściekłych.

Pan Mayeur lekko się uśmiechnął.

— Trochę zanadto po wojskowemu, mój generale... Nie chodzi bynajmniej o oblężenie, lecz o zejście policji. Sądy cywilne nie godzą się z formami gwałtownymi...

— Więc róbcie jak chcecie i nie pytajcie o nasze zdanie. Chcecie żebym wam przepowiedział: ze wszystkimi atutami w rękach, przegracie!

W tej samej chwili drzwi się otworzyły; woźny przyniósł pułkownikowi Vallenet bilet wizytowy. Pułkownik podał go ministrowi, który wykrzyknął:

— Marceli Baradier! Wprowadź go! W samą porę przybywa.

Młody człowiek wszedł, uklonił się ministrowi, który podał mu rękę, przywitał pułkownika, sędziego i zaczął odrazu:

— Mój generale, zobowiązałem się zawiadamiać pana, skoro zajdzie co nowego, przychodzę zatem dotrzymać

obietnicy. Rad jestem, że pan sędzia śledczy jest także obecny...

— Powiedz zatem z czem przychodzisz.

— Dziś rano, mój generale, otrzymałem ten oto list.

Położył na biurku arkusik papieru, któremu minister zaczął przypatrywać się uważnie.

— Bez podpisu, format zwykły, papier ordynarny, pismo widocznie zmienione. Zobaczymy treść: „Jeżeli pragniesz widzieć tę co wiesz, tę, która zawsze cię kocha, bądź dziś o dziesiątej godzinie wieczorem na placu de l'Etoile, przy rogu ulicy Hoche... Zastaniesz powóz. Wsiądź do niego, stangret o nic nie zapyta, i zawiezie tam, gdzie jesteś oczekiwany.“

— Wszystko dobrze... z wyjątkiem, iż nie ma mowy o zawiązaniu oczu, styl jest klasyczny... Cóż postanowiłeś?

— Pójdę na schadzkę.

— Ah! I bez obawy?

— To, generale, to inna sprawa. Lecz z obawą czy bez obawy, pójdę. Postanowiłem mieć ostatnie słowo tej zagadki i będę je miał.

Sędzia wmieszał się łagodnie:

— Pozwól pan zwrócić sobie uwagę, iż postanowienie twoje jest bardzo, bardzo nierozsądne... Można stać dziewięćdziesiąt przeciw stu, że chcą pana wciągnąć w zasadzkę... Wiem do czego zdolni są ludzie, którym chcesz się powierzyć tak łatwo... Radzę panu z całego serca, zaniechaj projektu. Dosyć już było nieszczęść, od chwili rozpoczęcia tego piekielnego śledztwa. Nie dodawaj pan jeszcze wystawiania się na pewne niebezpieczeństwo dla niepewnego rezultatu.

— Jeżeli ona pisze do mnie, nie mam się czego obawiać!

— Do licha! zawołał generał, jesteś bardzo stanowczy!
Marceli odpowiedział spokojnie:

— Możesz, panie generale, mieć pojęcie o tej kobiecie takie, jakie utworzyłeś sobie z tego co śledztwo odkryło... Ja zaś nie zapomnę akcentu szczerości w jej słowach... Obludna z innymi, zemną prawdę zawsze mówiła... Nie przeczę, że wszystkich zdradzała, lecz dla mnie była wierna i oddana...

— Patrzcie państwo! zawołał generał. Ten przekonany jest o tem co mówi! Mądra ta dama, potrafi wmówić wszystkim, że jest z nimi szczerą... I wszyscy jej wierzą! Lecz sacrebleu! mój przyjacielu, opowiadałeś przecie mnie samemu, że grała z tobą wstrętną komedję, że wyciągnęła od ciebie wskazówki o dokumentach zamkniętych w laboratorium, i że podczas kiedy cię całowała, kazała zawiadomić współnika, ażeby mógł okraść cię swobodnie. Nie ja wymyśliłem tę historję! Sam, u diabła, opowiadałeś! Doprawdy, twoja ufność graniczy z naiwnością.

— Nie mam nic do odpowiedzenia, mój generale. Ma pan generał rację. Lecz pomimo wszystko, ręczę panu, że mogę na nią rachować, i jeżeli ona po mnie przysyła, nie mam się czego obawiać...

— A jak kto inny? Jeżeli zasadzkę przygotowali ci bandyci, którzy otaczają tę piękną damę? A ty dobrowolnie oddasz się im w ręce...

— Spróbuję!

Stary żołnierz uderzył pięścią w biurko.

— Zuch jesteś, mój chłopcze, lubię to! Vallenot, to prawdziwie odważny dzieciak! Niech mnie djabli wezma, jeżeli na jego miejscu, tak samo bym nie zrobił! A więc dobrze, idź na schadzkę! Lecz my, z naszej strony, przedsięwzięmiemy środki ostrożności, ażebyś miał poparcie i obronę w danym razie.

— Ah! mój generale, proszę, nie zajmuj się niczem! Żadnej interwencji, toby wszystko popsulo! Nie potrzebuję eskorty ani opieki, jeżeli idę na schadzkę miłosną. Jeżeli zaś idę aby wpaść w zasadzkę, bądź pewny, generale, że ci, którzy ją urządzili, nie spią i spostrzegą twoje przygotowania. Powiększysz tylko niebezpieczeństwo jakie mnie czeka a z pomocy nie będę mógł korzystać... Jeżeli mogę mieć szanse wyjścia cało z tej sprawy, to tylko idąc sam, lub z człowiekiem moim własnym, lecz bez policji... Bądź spokojny, generale, uzbroję się należycie... Nie tak łatwo dadzą mi radę...

— Wie pan gdzie mieszka ta dama? zapytał sędzia z ciekawością.

— Nie wiem, panie. Nie mówią o tem w liście...

Pan Mayeur, mrugnięciem oka zalecił milczenie generałowi i pułkownikowi Vallenot, a sam zaczął bardzo umiarkowanym tonem:

— Kochany panie, nie mówią żeby pan nie miał racji. Radziłem ostrożność, lecz nie mogę narzucać mojego zdania. Podoba się panu iść na tę schadzkę... niech pan idzie i nie boi się mojej interwencji, mogącej spowodować dodatkowe niebezpieczeństwa. Lecz, ponieważ trzeba zawsze patrzeć na praktyczną stronę każdej rze-

czy, dla czego właściwie jesteś posłuszny wezwaniu tej niebezpiecznej kobiety? Czy robisz pan to dla przekonania się moralnego lub czysto materialnego zadowolenia?

— Panie sędzio, rzekł Marceli poważnie, generał Tremont był moim przyjacielem, śmierć jego nie jest pomszczona. Podpalono nasze przedziałnie i o mało nie spalono wewnątrz mojego wuja Graffa, mojego służącego i mnie... Zbrodnia ta nie jest ukarana. Zamordowano dzielnego człowieka, który pomagał nam w śledzeniu winnych, i ten dobry sługa zginął marnie. Wyjaśnienia wszystkich tych faktów idę szukać z narażeniem życia. I daję panu słowo, skoro zostanę przekonany, nie w świecie nie powstrzyma mnie od ukarania zbrodniarzy; bądź panu ich wydam, bądź sam pozabijam. Pomiędzy nimi i mną pojedynek na śmierć... i oni i ja wiemy o tem. Zobaczymy kto zwycięży.

— Dobrze, dziękuję panu, i nie pozostaje mi nic, jak życzyć powodzenia.

Marceli uklonił się, uścisnął ręce trzech panów, a kiedy wychodził, słyszał starego generała jak mówił:

— Sacrebleu! to prawdziwy Baradier, ten chłopak! Dobra krew! Lecz zanadto się awanturuje!

Skoro się drzwi zamknęły, pan Mayeur stracił przybrany spokój, zerwał się z krzesła i zawołał:

— Nō cóż, mój generale, jest sposobność, której pragnąłeś, ujęcia za jednym zamachem wszystkich tych zbrodniarzy. Nie wątpisz, równie jak ja, iż chodzi o ściągnięcie pana Baradier do domu przy bulwarze Maillot, żeby mu tam gwałt zadać? Mówiłeś pan przed chwilą

„trzeba tych łotrów wymordować, jak się będą bronić”. Nie posuwając się tak daleko, sądzę, że będziemy mieli naoczny dowód, który uprości znakomicie nasze zadanie.

— Lecz pan obiecał temu chłopcu nie mieszać się w jego sprawę! wykrzyknął pułkownik Vallenot.

— To też nie będę się mieszał. Pozwalam mu robić co chce. Nie będzie miał nikogo za sobą. Ludzie, do których się udaje, nie będą osaczeni. Pozostawiam naszym przeciwnikom pewność siebie, a zatem i zuchwałość. Lecz nie przestaje mnie zajmować to co się robi; byłoby to, doprawdy, zanadto głupie! Nie chcę, jak młody Baradier, bawić się w rycerskość ze zbrodniarzami. Oto jaki plan powzięłem: schadzka, naznaczona na godzinę dziesiątą, nie ruszę się przedtem. Noc już będzie. Znacie panowie położenie bulwaru Maillot, duża fosa oddziela go od Lasku Bulońskiego. Wyśmienita skrytka dla agentów, którzy wchodzą przez lasek i których nie można widzieć udających się na stanowisko. Mam pod ręką brygadiera straży bezpieczeństwa, który jest inteligentny i stanowczy. Dam mu instrukcje; on będzie czatował... Albo pan Baradier ma rację, i, idzie na schadzkę miłosną, a moi ludzie przepędzą tylko noc na świeżem powietrzu; albo pan Baradier się myli i leci na oślep w groźną zasadzkę. W takim razie, słyszeliście panowie, co mówił: będzie miał broń przy sobie. Na pierwszy krzyk, na pierwszy strzał, ludzie moi wpadają do domu, i ujmują wszystkich, którzy się tam znajdują. Jeżeli będą grozić, upierać się, agenci godnie odpowiedzą... I sprawa, czy dyplomacja będzie

chciała czy nie, od chwili gdy będą złapani na gorącym uczynku, musi pójść swoją drogą.

— W każdym razie, nie pozwól pan zamordować Marcelego. A przede wszystkim, staraj się ująć kobietę.

— Cóż o tem myślisz, generale?

Stary wódz, zapytany, spojrzał na sędziego, potem na szefa swojej kancelarji. Zobaczył, że Vallenot zachowuje się obojętnie i przybrał także postawę urzędową.

— Nie pytasz mnie o zdanie, sędzio, tak przypuszczam? Wszystkie wasze operacje sądowe uchodzą mojej kompetencji... Rozmawialiśmy, kochany sędzio, nie więcej. Rób jak ci się podoba, ja nie mam nic do powiedzenia.

Sędzia pokręcił głową z drwiącym uśmiechem, następnie biorąc kapelusz:

— Oh! ja wiem! Dopóki napad nie będzie dokonany, nikt nie chce się w to mieszać... Jeżeli się uda, oh! wtedy tylko ja jeden będę zapomniany! Lecz, wszystko jedno! To jest moim obowiązkiem. Nie waham się, uczynię com postanowił. Sługa pański, mój generale.

Wyszedł, przeprowadzony przez pułkownika Vallenot.

VIII.

Była już godzina wpół do dziesiątej. Wuj Graff zjadłszy obiad przy ulicy de Provence, jak zwykle, zabierał się wrócić do siebie. Schodził schodami biurowemi, chciał bowiem wziąć ze swego gabinetu papiery, potrzebne do skończenia rachunku, kiedy Baudouin

podszedł z miną tajemniczą i odezwał się głosem przyciszonym:

— Są tam dwie panie, z których jedna żąda widzieć się z panem Marcelim. Powiedziałem, że pan Marceli nie był na obiedzie w domu. Wydała się bardzo zmartwiona i prosiła, żeby jej powiedzieć gdzie go może odnaleźć.

— Cóż to za kobieta? zapytał Graff.

— Oh! proszę pana, bardzo dystygowana osoba. Druga musi być nauczycielką, albo panną do towarzystwa.

— Gdzie one są?

— W przedpokoju.

— Zapal światło w moim gabinecie i wprowadź je tam.

Baudouin pobiegł. Graff schodził ze schodów mrużąc pod nosem:

— Cóż to znów za historia? Zawsze kobiety, kiedy chodzi o tego bałamuta Marcelego. Jakaś piękność opuszczona, przyszła z wymówkami.

Wszedł do gabinetu.

Przy drzwiach oczekiwała młoda kobieta czarno ubrana, z gęstą woalką, i bardzo wzruszona. Od pierwszego spojrzenia dobre wrażenie zrobiła na starym kawalerze.

Prosił ją siedzieć i rzekł z dobrocią:

— Pani chciała widzieć się z moim siostrzeńcem? Nie ma go w domu... Czy koniecznie potrzebna pani jego obecność? Czy nie mógłbym go zastąpić... Nie dokończył. Młoda kobieta złożyła ręce błagalnie:

— Panie, to jest kwestja życia lub śmierci.

— Dla kogo? zapytał Graff żywo.

— Dla pańskiego siostrzeńca!

— Zkąd pani się dowiedziała? I kto pani jesteś?

Młoda kobieta odpowiedziała bez wahania:

— Jestem Marja Lichtenbach... spuszczałam się na pana dyskrecję.

Jednocześnie uniosła woalkę. Graff osłupiały poznał córkę swego nieprzyjaciela. Błada była i drżąca, lecz mocne postanowienie malowało się na twarzy.

Zbliżył się do niej i zapytał z niepokojem:

— Kto panią przysłał:

Odpowiedziała stanowczo:

— Ojciec mój...

Powstrzymała spojrzeniem komentarze Graffa.

— Myślał, jeżeli sam przyjdzie, może nie zostanie przyjęty. A to nie cierpiało zwłoki. Siostrzeniec pana, w tej chwili może, narażony jest na straszne niebezpieczeństwo. A ojciec mój, który się o tem dowiedział, polecił mi, żebym państwa uprzedziła.

— Lecz w jaki sposób ojciec pani wie o tem? podjął Graff z nieufnością.

— Ah! panie, zacznij od przedsięwzięcia środków niesienia pomocy panu Marcelemu, rzekła Marja z ogniem. Potem będziesz się pan tem gorszył ile ci się podoba. Mówię panu, że grozi mu straszne niebezpieczeństwo.

— Od kogo?

— Od tych samych ludzi, którzy zabili generała de Tremont. Oto co polecono mi panu powiedzieć... Ojciec mój dowiedział się o tych intrygach, które go przera-

żają, i które panu wyjawia. Panie, nie trać ani minuty. Być może, tej nocy nowa zbrodnia będzie spełniona...

— Lecz gdzie iść, co począć? krzyknął Graff wzruszony.

— Zaraz panu wyjaśnię... niech tylko przypomnę sobie dobrze to, co mi powiedziano.

Przeciągnęła ręką po czole.

— Ah! już wiem... Kobieta, którą poznał w Ars.

— Włoszka?

— Tak, zapewne. To musi być ona... Kochał ją, i wiedzą, iż byłby szczęśliwy gdyby ją znów zobaczył...

Przestała. Zbladła jeszcze więcej. To co opowiadała, sprawiało jej widocznie ból straszny.

— Napisano do niego, wzywając na schadzkę. I w domu ustronnym, dziś wieczór, czekają na niego. Lecz to nie jest ta, którą spodziewa się odnaleźć, to są zbrodniarze, gotowi na wszelkie gwałty aby go zmusić do wyjawienia tajemnicy, której nie mogą pochwycić... Czy pan teraz rozumie?

— Tak, bardzo nawet dobrze. Lecz gdzie jest ten dom?...

— Adres na tym papierze, proszę pana.

Graff przeczytał szybko:

— Bulwar Maillot, 16 bis. Pani mówi, że czekają go około godziny dziesiątej?

Jak wywołana temi słowy, wybiła godzina dziesiąta.

— Ah! moje dziecko, zawołał Graff, dla czego wpierw nie przyszłaś. Czy zdążę na czas?

— Nie straciliśmy ani sekundy. Ojciec mój trafem tylko dowiedział się o tych zamiarach. Niedowierzają

teraz mojemu ojcu... Grozi mu straszna odpowiedzialność...

Graff zadzwonił. Wszedł Baudouin.

— Prędzej, Baudouin, powóz... Pojedziesz ze mną. Masz dobry rewolwer?

— Mam, proszę pana.

— Weź go. Żywo, i nikomu ani słowa. Zejdę do ciebie na podwórze. Dziesiąta godzina... Przybędziemy na czas, żeby nie wiem co stać się miało... A jeżeli zrobili co złego chłopcu, biada im!...

Baudouin już wyszedł.

Marja nieruchoma patrzyła na przygotowania Graffa. Wziął on plikę pieniędzy papierowych, rewolwer, łaskę z ciężką stalową galką. Potem zdawało się, iż przypomniał sobie o bytności panny Lichtenbach. Podeszedł do niej z dobrocią:

— Dziecko moje, dziękuję za przysługę jaką nam oddajesz... jaką ojciec twój nam oddaje. To dużo złego zmazuje. Powiedz mu, iż może rachować na moje bezwzględne milczenie. Nigdy nikt się nie dowie kto mnie ostrzegł o niebezpieczeństwie, grożącym mojemu biednemu Marcelemu.

— Oh! panie! rzekła Marja ze łzami w oczach, ocalał go, to wszystko co trzeba!

Graff spojrział na młodą dziewczynę, na jej twarz zmienioną od niepokoju, ręce złożone jak do modlitwy. Wspomniał propozycję księdza d'Escayrac i spotkanie Marcelego z Marją na wencie alzacko-lotaryńskiej. Podejście, że córka Lichtenbacha czuła dla Marcelego żywsze uczucie niż litość, przeszło mu przez głowę.

Westchnął. Stary romantyk wzruszył się i przemówił łagodnie, z szacunkiem:

— Dowie się, co pani dla niego zrobiła... Wiem co panią musiał ten krok kosztować... potrzebowałaś bowiem wyjaśnień od ojca, i mogłaś zrozumieć dużo rzeczy, o których nie powinnaś była nigdy się dowiedzieć. Dziękuję raz jeszcze, zanim Marceli sam pani podziękuje.

Marja uśmiechnęła się smutnie.

— Wracam jutro do klasztoru, i pewnie na zawsze. Życie jest smutne i straszne... Panie, siostrzeniec twój nigdy się ze mną już nie spotka!

Zapuściła woalkę, poszła przed Graffem do swojej towarzyszki, czekającej w przedpokoju, i skłoniwszy się w milczeniu, znikła w cieniach podwórza.

Graff nie czekał dłużej, wybiegł na ulicę właśnie kiedy powóz panny Lichtenbach odjeżdżał.

Baudouin czekał przy fiakrze. Graff wskoczył do powozu mówiąc.

— Rogatki Maillot... A ty, mój chłopcze, siadaj obok mnie, mamy dużo do pomówienia z sobą. Stangret, sto su, jeżeli będziemy na miejscu w piętnaście minut.

— Koń dobry! Jazda! krzyknął stangret. I fiakr ruszył jak wiatrem gnany.

.

Marceli nigdy nie czuł się taki spokojny jak tego wieczora, idąc na plac de l'Etoile, w poszukiwaniu powozu, który miał zawieźć go na schadzkę.

Obiad zjadł w klubie, rozmawiał swobodnie z ko-

legami, palił wyborne cygaro w wielkiej sali, patrząc na grających w bakara.

O pół do dziesiątej pożegnał się i, z laską pod pachą, poszedł aleją Pól Elizejskich, oddychając pełną piersią zapachem drzew odświeżonych nocnem powietrzem. Szedł krokiem pewnym; powozy wracały do miasta, przebijając ciemność światłem latarni. Pod cieniem gałęzi drzew Marceli prawie sam był.

Myślał z ciekawością o tem co czekało go na tej schadzce. Czy tak jak mówił sędzia, ludzie źle dla niego usposobieni? Czy to była, i to prawdopodobniej, kobieta zagadkowa, której podłość podejrzewał, lecz której znał miłość? Wspaniała brunetka z Opery mieszała się, w jego wspomnieniu, z delikatną i rozkoszną blondynką z willi Cavée. Lecz czy jedna, czy druga, zawsze stawiała mu w myśli jednakowo kochająca i szczerą w objawach uczucia, co protestowało przeciw oskarżeniu jej o dwoistość.

Wszystko to podtrzymywało postanowienie pójścia na schadzkę i dowiedzenia się raz wreszcie prawdy. Miał lat dwadzieścia pięć, czuł się silny, odważny, myślał, że nie łatwo z nim sobie poradzą. Przyszedł na plac de l'Etoile, zobaczył powóz stojący przy rogu ulicy Hoche. Zbliżył się, przypatrzył: powóz klubowy, bez żadnej szczególnej oznaki, stangret na pół śpiący na koźle.

Odezwał się:

- Czekasz na kogo?
- Tak, proszę pana.
- To ja jestem.

— Dobrze.

Wsiadł.

Powóz ruszył, skręcił w aleę Wielkiej-Armii do rogatki Maillot, jechał jeszcze dwie minuty, poczem stanął w alei ciemnej przy bramie do ogrodu.

Marceli wysiadł. Powóz odjechał. Zaraz potem furgata ukryta w bluszczach otworzyła się i ukazał się lokaj w liberji.

Marceli poszedł za nim ku domowi, który stał w głębi, ciemny, z jednym jasnym oknem na pierwszym piętrze.

Wszedł na peron, potem do przedpokoju, w którym okna z okiennicami, nie przepuszczały światła na zewnątrz.

Lokaj wstąpił milcząc na schody i wprowadził Marceliego do buduaru obciągniętego jasną materją.

Lampa elektryczna postawiona na stole, oświecała buduar.

Przewodnik usunął się bez szelestu i młody człowiek sam został.

Cisza w całym domu. Żadnego ruchu, żadnego głosu. Położył kapelusz i czekał.

Naraz w pokoju sąsiednim krzyk się rozległ, krok szybki, i z twarzą ściągniętą gwałtownem wzruszeniem, na progu ukazała się Sophia. Nie powiedziała ani słowa, lecz spojrzenie jej wyrażało przestrah. Ujęła za rękę Marceliego, pociągnęła do pokoju, z którego wyszła, a był to pokój sypialny, zakręciła szybko klucz w zamku, to samo zrobiła z drugimi drzwiami, i objąwszy młodego człowieka za szyję, mówiła z rozpaczą:

— Nieszczęsny! Jakim sposobem dostałeś się tutaj?

Odpowiedział jej z uśmiechem, lecz nie oddając pocałunków.

— Czyż nie ty sama mnie przyzywałaś?

— Ja! Wielki Boże! Oddałabym dziesięć lat życia, słyszysz, dziesięć lat życia, żebyś w tej chwili nie był w tym domu... Ah! nędznicy! Oszukali mnie! To oni to zrobili wbrew mojej woli!

— Nędznicy... co to za jedni? zapytał Marceli stanowczo, odsuwając się od Sophii.

— Ah! nie pytaj! Nie mogę i nie powinnam mówić! Dostyć już niebezpieczeństw cię otacza. Gdyby podejrzewali, że mogłam odkryć cokolwiek, nie byłoby już dla ciebie ocalenia.

— Czy żartujesz? rzekł Marceli z ironią. Myślisz działać na moją wyobraźnię bajką o zbójcach? Jesteśmy w Paryżu, o parę kroków od ruchu wielkiego miasta; na ulicach policja... Wreszcie, uspokój się, mam broń dobrą, a jeżeli ludzie, których zdajesz się dla mnie obawiać, zechcą mi grozić, mam czem im odpowiedzieć.

— Biedne dziecko! Ty ich nie znasz!

— Pani, byłaby brat twój pomiędzy nimi?

Położyła mu na ustach ręce, swoje białe miękkie ręce. Umilkł.

— Oh! Marceli! Marceli! mówiła ze łzami.

Na raz ktoś w drzwi zapukał.

— Słuchaj, rzekła Sophia.

Zbliżyła się do drzwi i zapytała językiem dziwnym,

niezrozumiałym, a otrzymawszy odpowiedź, uspokoiła się i rzekła do Marcelego:

— To Mila.

Milona weszła i drzwi napowrót starannie zamknęła.

— Czy oni cię przysłali? zapytała Sophia.

— Tak, pani moja.

— Czego chcą?

— Żebyś przyszła i porozumiała się z nimi.

— Nie pójdę.

— Przewidzieli to.

— Więc?

— Polecili abym powtórzyła, czego żądają od młodego pana.

— Milcz! Nie chcę żeby wiedział!

— Czy pani woli żeby przyszli, i żeby go zabili?

Zrobiło się cicho. Sophia z okrutnym jękiem łamała ręce. Bezsilna wściekłość, rozpacz straszliwa, wykrzywiły jej twarz piękną. Zgrzytnęła zębami, rzuciła się do kominka, ujęła krótki ostry sztylet i zamierzyła się nim z okrutną zręcznością.

— Milo, ty mnie nie opuścisz?

— Wiesz o tem dobrze, pani moja. Umrę dla ciebie.

— Marceli ma broń; jest nas zatem troje! Oh! będę go bronić do ostatniego tchnienia!

— Przeciwno nim? rzekła Milona. Pani ma nadzieję? Czyż to możliwe? Kto im się oprze? Zebrali się na dole w sali jadalnej, czekają, gotowi na wszystko!

— Oh! mój Boże! Szalona jestem! Znam ich jednak! Ah! Marceli, niebaczny, dla czego oddałeś się im w ręce?

Cisnęła sztylet, usiadła, zasłoniła twarz rękami, i

zaplakała. Marceli spokojny zupełnie, zwrócił się do dalmatki:

— Lecz koniec końcem, czego oni chcą odemnie?

Milona spojrzała na swoją panią pytająco. Sophia, jak skamieniała, nie broniła jej mówić.

— Oni chcą tajemnicy, tej sławnej tajemnicy, nadającej wartość prochowi Tremonta, który panu ukradli.

Marceli uśmiechnął się i zmarszczył czoło pogardliwie.

— Ah! To im spokoju nie daje. Wcale się nie gniewam, nabywszy pewności, że nie potrafili odkryć tego, na czym im tak bardzo zależy... Milona, możesz im odpowiedzieć, że nigdy się odemnie nie dowiedzą!

— Da się to widzieć niebawem! krzyknął Agostini za drzwiami!

— Podśłuchiwałeś, łotrze! zawołał Marceli głosem dźwięcznym. Bardzo dobrze, to upraszcza sprawę! Powiedz twoim akolitom, że ich się nie boję. Mam przy sobie broń, która oddaje w moje ręce życie sześciu ludzi... Jeżeli chcą, otworzę drzwi i zaczniemy taniec.

— Zastanów się najpierw, odparł gardłowy głos Hansa. Zawsze będzie czas na zrobienie głupstwa.

— Kto tam jest? zapytał Marceli. Wydaje się mniej głupi niż ten pierwszy.

— Moznaby rzec, że nas znasz, drwił bandyta. Cierpliwości! Masz pół godziny na decyzję. Jeżeli za trzydzieści minut nie dasz nam satysfakcji, ja podejmuję się zmusić cię, żebyś przemówił... Noc wilgotna, dobry ogień pali się na dole!

Bez żadnych już ostrożności zeszedł głośno ze scho-

dów. Milona wyszła cicho. Marceli i Sophia zostali sami. Zegar wskazywał godzinę dziesiątą i dziesięć minut.

— Słyszałeś, rzekła Sophia. Teraz wiesz jakie są ich zamiary. Oni chcą twojej tajemnicy.

— Oświadczyłem, że jej nie będą mieli.

Spojrzał na młodą kobietę i zobaczył, że pod jego wzrokiem lekko zadrżała. Podeszedł, położył jej rękę na ramieniu, i mówił:

— Lecz ja chcę poznać twoją.

— Moją? wykrzyknęła Sophia z przerażeniem.

— Tak. Kto jesteś i czem jesteś. Kochałem cię, a nie wiem nawet jak się nazywasz. Ryzykuję dziś życie dla ciebie, a nie wiem czy jesteś występna, czy ofiarą. Czyś pani Vignola, czy baronowa Grodsko, czy może jeszcze masz kilka nazwisk?.. Bo gdybym wierzył wszystkiemu, co o tobie śledztwo mówi, byłabyś rodzajem Proteusza żeńskiego, który zmienia nazwiska, twarz i głos, a wszystko w zamiarach krańcowo zbrodniczych... Mamże cię żałować, czy brzydzić się tobą? Mówią, że jesteś potworem. Czy twoja dusza jest o tyle wstrętna, o ile twarz piękna? Pytałaś przed chwilą, co mnie tu sprowadziło. Przyszedłem po to, żeby się dowiedzieć prawdy... Ja chcę, słyszysz, chcę wiedzieć, coś ty za kobieta.

Uśmiechnęła się boleśnie.

— Kobieta smutna, która cię kocha i gubi się dla ciebie...

— Puste słowa!... Kto są ci bandyci, którzy nas pilnują? Jakież straszne zbrodnie razem z nimi spełniałaś? Chcę wszystko wiedzieć! Całą prawdę! Mówisz.

że mnie kochasz? Jedyne dowodu tej miłości wymagam, a tym jest szczerłość.

Krzyknęła z twarzą zasłoniętą rękami.

— Nigdy! Odwróciłbyś się odemnie ze wstrętem!

— Więc to prawda, że jesteś straszną kobietą?

— Oh! nie nazywaj mnie tak! Oicho! słodki mój Marceli!... Niech z ust twoich nie slysze słów groźnych i obelżywych! Zostaw innym, to mnie nie obchodzi! Lecz ty! Oh nie! Niech będę wstrętną dla całego świata, jeżeli znajdę w twojem sercu mały kącik, w którym nie będę pogardzaną!

— Więc zasługujesz na pogardę?

Milczała. Marceli czuł gniew rosnący, krew uderzającą do głowy, lecz dotąd panował nad sobą.

— Nie chcesz odpowiadać? Więc zapytam tych na dole. Sądzę, że z przyjemnością udziela mi o tobie objaśnień.

Poszedł ku drzwiom. Rzuciła się, zmusiła go żeby usiadł i uklękła przed nim.

— Niebaczny! Nie wierzysz w to, co ci grozi? Zostań ze mną, to jest jedyna szansa ocalenia.

Spojrzał jej głęboko w oczy i zapytał:

— Kto ty jesteś?

Spuściła głowę i milczała. Marceli powtórzył:

— Kto jesteś?

— Okrutny! co ja ci zrobiłam? jęknęła.

— Ukradłaś miłość moją.

Rozśmiała się jak warjotka, odsłaniając świetnej białości zęby.

— Oh! nie odbierzesz mi jej! Możesz mnie niena-

widzieć jeżeli chcesz, lecz wspomnienia z willi Cavée i lasu Bossicant do mnie należą. Śmierć nawet mi ich nie wydrze!

— Nie chcesz mówić, bo wiesz, iż tak strasznie tobą pogardzę, że z minionego szczęścia w pamięci mojej pozostanie tylko obrzydzenie!

Wyprostowała się z dumą:

— Mylisz się, biedny Marceli, pomimo to, będziesz mnie kochał! A tak strasznie będziesz cierpiał, iż dla tego jedynie nie chcę ci odpowiadać. Nikt nigdy mną nie pogardzał... Ty wiesz co jest miłość moja. Żądałbyś tej miłości odemnie, nawet gdybyś wiedział, że jestem podłą zbrodniarką. Sambyś się poniżył, mój ukochany!... Kochałbyś mnie... lecz nie byłbyś już słodkim, czystym Marcelim, którego przeniosłam nad wszystkich, za którego życie bym oddała... O! jabym tego nie zniosła! Nie! nie! Przestań mnie badać... Gdyby mi się spodobało, nie nie byłoby w stanie zniechęcić cię... na zawsze zostałbyś ze mną... Znam moją władzę. Wyspowiadam się przed tobą, a potem, jak przedtem, powrócisz w moje objęcia... Lecz będziesz się wstydził, będziesz nieszczęśliwy, będziesz oplakiwał słabość twoją. Oto dla czego milczę. Zamiast robić wymówki, podziękuj mi... Pierwszy raz jestem szlachetna... Lecz nie mam żadnej zasługi, ponieważ kocham cię, Marceli!

Patrzyła na niego mówiąc, a pod jej pieśczętnym wzrokiem, Marceli czuł wszystkie postanowienia swoje słabnące. Myślał: ona ma rację. Należę do niej, bardziej niż sam przypuszczałem. Byłbym zapewne zdolnym do ustępstw poniżających. Wiem, że prawdą

jest, co jej zarzucają. Nie nie wyznaje, lecz niczemu nie przeczy. Tremont zginął przez nią, Laforet także. Ona należała do morderstwa, kradzieży, pożaru. Żyła, działała, kłamała, pod dwudziestoma różnemi nazwiskami. Uwodziła ludzi, którzy jej byli potrzebni. Nie ma na świecie brudniejszej nad nią istoty... A ja jej nie odpycham, ona mnie o szaleństwo przyprawia... Nie! nie! Nie chcę.

Cofnął się z wysiłkiem, żeby odepchnąć uwodzicielkę. Ona zaś objęła go za szyję i z ustami przy twarzy szeptała:

— Śmierć dokoła nas... Zapomnijmy o wszystkim co nie jest miłością... Nie myśl dłużej, nie dręcz serca. Jedną chwilą zapłacę ci za wszystkie bóle i cierpienia.

Checiał ją odepchnąć... Lecz usta jej szukały ust jego.

.....

Czas przepisany upłynął; ciszę otaczającą dwoje młodych przerwał gwałtowny hałas. Dały się słyszeć szybkie kroki w domu i na zewnątrz, krzyki i nawoływania.

Naraz drzwi huknęły, jak z zawias wysadzone, potem strzał się rozległ. Jednocześnie dał się słyszeć głos silny, dobrze znany Marcelemu:

— Do mnie, Baudouin, do mnie!

Nastąpił drugi strzał a po nim przekleństwa.

Marceli zerwał się wołając:

— To mój wuj, Graff... Boże mój!... Mordują go!

— Zostań! Nie chodź tam! błagała Sophia, próbując go powstrzymać.

Nie odpowiedział jej nawet. Wypadł na korytarz.

znalazł schody i wpół zmroku ujrzał w przedsionku na dole trzech ludzi nacierających na Graffa, który przyparty do ściany, bez tchu prawie, napróżno starał się użyć rewolweru. Przy drzwiach wehadowych Baudouin i Hans mocowali się. Dzielny sługa miał na czole ranę krwią ociekającą. Lecz ujął wpół ciała straszego Hansa i trzymał go z wysiłkiem.

Po przez poręcz schodów Marceli wziął na cel jednego z trzech ludzi opasujących Graffa. Strzał padł, wzięty na cel przewrócił się. Jednocześnie wystrzał się rozległ po za Marcelim; kula drasnęła go w ucho.

Odwrócił się, Agostini gotował się drugi raz dać ognia. Trącił w rękę trzymającą rewolwer, uchwycił włocha wpół, uniósł w górę, i z wściekłością podwajającą siłę, cisnął go w klatkę schodową.

Piękny Cezary zakręcił się rycząc z przerażenia, upadł na poręcz żelazną i zwisł jak przelamany, bijąc nogami w schody, które krwią zlewał.

Widząc to, Hans niezdolny uderzyć na Marcelego, który zbiegał ze schodów, wył z wściekłości. Potrząsnął Baudouina z taką energią, iż tenże puścił go i padł w znak. Hans oparł kolano na piersiach wiernego sługi i podniósł już rękę żelazną, kiedy Marceli rzucił się i uderzeniem nogą w brzuch, powalił go na ziemię.

Lecz kolos zerwał się na nogi, oparł o ścianę w kącie i odzyskując siły, krzyknął:

— Do mnie wszyscy!

Lecz ci wszyscy za wiele mieli teraz do roboty. Policja, zwabiona strzałami, zalewała dom cały. Graff

oswobodzony nadbiegł z rewolwerem, lecz Baudouin krzyknął głosem ostrym:

— Panie Graff, zostaw, on do mnie należy! To on zabił mojego generała.

Baudouin wziął z rąk Graffa łaskę jego z gałką stalową, gardząc bronią palną, która walkę uczyniłaby nie równą, i rzucił się na Hansa. Bandyta zaklął, widząc się zgubionym, wymierzył cios swoją ręką żelazną, lecz wymierzył go w próżnię, Baudouin bowiem w bok uskoczył. Łaska określiła się w powietrzu, gałka stalowa spadła i Hans, trafiony w skroń, potoczył się na płyty kamienne, jak wół zabity.

Był to sygnał odwrotu. Na jedno gwizdnięcie, trzech ludzi opierających się jeszcze, wyskoczyło oknami i znikło w ogrodzie jak cienie.

— Otoczone dokoła, nie zajmujcie się nimi! krzyknął brygadjer, który zwolywał swoich podwładnych. Pozbierajmy rannych i zabitych.

Wuj Graff chciał biedz do Marcelego, uściskać go, wybadać, upewnić się, że zdrow jest i cały.

Znalazł przed sobą tylko Baudouina, który ocierał chustką krew i pot spływające z czoła.

Marceli, skoro upewnił się o wyniku walki, myślał już tylko o Sophii. Niebezpieczeństwo usunięte dla niego, dla niej stawało się straszne. Policja, która interwencją swoją jego ocaliła, teraz obróci się przeciw Sophii.

Wbiegł szybciej po schodach niż zbiegał na dół. Czuł, że bardzo mało czasu miał przed sobą.

Wpadł do pokoju, od którego drzwi pozostały otwarte.

Zamknął je na klucz dla Sophii, z taką samą obawą, z jaką ona zamykała dla niego.

Sophia stała zamyślona, oparta o kominek, jak gdyby nie interesowały ją wypadki na parterze. Milona była przy niej, i zapewne zawiadomiła ją o przegranej towarzyszków. Marceli rzucił się do niej z przerażeniem:

— Policja w domu, czy nie wiesz o tem? Dla czego jesteś tu jeszcze?

— Czekałam na ciebie, odparła Sophia spokojnie.

— Gubisz się!...

— Co cię obchodzi...

— Ależ ja na to się nie zgode! Nie mogę znieść myśli, że będziesz cierpieć, że będą cię dręczyć dla tego, żeś mnie broniła.

Twarz Sophii zajaśniała.

— Pozwolisz się kochać?

Marceli odpowiedział stanowczo:

— Niemożliwe! Wiesz o tem dobrze! Po tem co było pomiędzy nami, nie powinienem widzieć cię więcej! Nie mogę!... Dla ciebie samej...

Sophia stała się znów obojętną.

— Więc pozostaw mnie mojemu losowi!

— Nie! Ja także nie chcę! Ty miałabyś zgubić się z mojego powodu, kiedy... Chcesz zatruć mi życie okrutnem wspomnieniem?

— Oh! mój Marceli, chciałabym podobać się tobie, kochać cię, żebyś był moim... Takie szczęście drogobym opłaciła...

Uśmiechała się do niego ze łzami w oczach, a taka piękna, że zadrżał i odwrócił się.

— Nieszczęsna! Co się z tobą stanie?

Pokazała mu pierścionek gruby, złoty...

— Spójrz na to, tam jest śmierć i oswobodzenie. Jedna kropla z tego pierścienia, wlana w szklankę wody... i koniec wszystkiemu, bez bólu, bez cierpień...

Wyciągnęła rękę do tacy, na której stała szklanka i karafka.

— Zabraniam ci! krzyknął Marceli, odchodząc od przytomności.

Spojrzała na niego z nadludzkim wyrazem w oczach.

— Nic bez ciebie, rzekła... Wszystko z tobą! Decyduj!

On krzyknął z oburzeniem:

— Niepodobieństwo!

Sophia uśmiechnęła się boleśnie.

— Zastanów się... Wiesz kto jestem. Będę żyć, lecz tylko dla ciebie... Przyjdę, jak zawołasz... Nie będę natrętną... Ale ja chcę kochać ciebie... Oh! pragnę pokutować, poświęcać się, cierpieć, aby tylko mój kochać.

Na schodach rozległy się szybkie kroki. Marceli odezwał się z przerażeniem:

— Idą, wezmą cię!... Na Boga, jeżeli możesz jeszcze ocalić się... uchodź!

— Pozwól im przyjść... Wezmą mnie tylko wtedy, jeżeli będę chciała. Ciebie tylko mogę się obawiać, od ciebie jednego zależę... Chcesz żebym żyła?... Przysięgnij, że będziesz się jeszcze ze mną widział.

W tej właśnie minucie blade twarze: generała de Tremont, biednego Laforeta, Agostiniego nieżywego, i

Hansa, broczącego we krwi na kamiennych płytach przedsionka, stanęły przed Marcelim, i dusza się jego wzdrygnęła. Opuścił głowę w milczeniu.

Lekki dźwięk szkła zwrócił jego uwagę. Obrócił się i zobaczył Sophię pijącą... Rzucił się do niej, wyrwał jej z rąk pustą szklankę.

Sophia uśmiechnęła się i rzekła:

— Zapóźno!

— Otwierać! Otwierać! krzyczano za drzwiami.

Sophia miała jeszcze siłę powiedzieć:

— Milona, otwórz teraz.

Dalmatka otworzyła.

Oczy Sophii mgłą zasłzy, bladość rozlała się po twarzy.

Milo przerażona zaledwie zdążyła przybiec do niej: Sophia upadła na podłogę z ciężkiem westchnieniem, a czarne włosy rozpuszczone okryły jej twarz jak całunem śmiertelnym.

— Gdzie jest ta kobieta? krzyczał na schodach pan Mayeur, który nadbiegł zdyszany i tryumfujący. Spodziewam się, że nie pozwolono jej umknąć?

Ukazał się razem z Graffem i stanęli osłupieni na progu.

Marceli wskazał sędziemu Sophię, która wydawała ostatnie tchnienie, i rzekł:

— Oto jest!

Kameleon, nieuchwytna zawsze, schroniła się tym razem w wieczne ciemności...

IX.

Zajście przy bulwarze Maillot, policja z całą ostrożnością podała jako dramat zazdrości. Kobieta, dwóch rywali zabijających się wzajemnie, przy trupie zarówno upragnionej, taki temat dostarczono redaktorom gazet. Wyobraźnia ich dopełniła reszty. Paryż roznamiętniał się przez dwanaście godzin temi wspaniałemi morderstwami, których okropność tem lepiej była opisana, że nikogo nie dopuszczono do ich obejrzenia.

Dom opieczętowano, a smutny pan Mayeur sam jeden przetrząsnął go we wszystkich najciemniejszych kątach. Nie znalazł nic coby mogło oświecić o osobistości Hansa. Najstarsi i najzręczniejsi agenci policyjni, nie odkryli o tym okrutnym zbrodniarzu. Był to ten sam człowiek z uciętą ręką, który ukazał się w Vanves z Sophią pamiętnej nocy, kiedy dom generała de Tremont wyleciał w powietrze. Lecz kim on był właściwie? Policja międzynarodowa zapytana, milczała uporczywie. Albo nie nie wiedziała, lub też nie chciała mówić.

Sophia i Agostini byli znani. Książęta de Briviesca podjęli się objaśnić sędziemu o sprawkach łotra, bardzo zadowoleni, że go się pozbyli.

Baron Grodsko nie mógł nic dodać nad to, z czem zwierzył się agentowi nasłanemu na niego w Monte-Carlo. Sędzia śledczy wściekły, że nie znaleźć nie może, pomyślał żeby obwinić Lichtenbacha. Wezwał go do swego gabinetu, badał, próbował dowiedzieć się czego o nim od Baradiera i Graffa. Lecz ci, jak można się

domyśleć, nie nie zarzucili staremu swojemu wrogowi, oprócz rywalizacji w interesach, szykan na giełdzie, lecz nic, do czego sędzia mógłby się przyczepić.

Wreszcie z wyższych sfer wmieszano się zaraz na korzyść Lichtenbacha i sędzia zrozumiał, że jest na fałszywej drodze. Tak tedy sprawa z Vanves tym razem poszła ad acta bezpowrotnie.

Tragiczne te wypadki nie miały dla Lichtenbacha następstw, któreby zachwiały położeniem jego finansowem, lecz za to następstwa moralne były nagle i bardzo poważne.

W tydzień po śmierci Agostiniego i Sophii, panna Lichtenbach wróciła do klasztoru Augustjanek przy ulicy św. Jakóba. Przedtem miała z ojcem dwugodzinną rozmowę. Wyszła z gabinetu bankiera blada, lecz stanowcza.

Eljasz wyszedł za nią zgarbiony, drżący, z twarzą łzami zalaną.

Na schodach próbował jeszcze zatrzymać córkę.

— Dziecko moje! Nie bądź niezlomna!

Marja odpowiedziała z głową spuszczoną:

— Chciałabym, ojcze... Lecz w jaki sposób przestłość odkupić?

Nie odwróciła się schodząc po schodach kamiennych do oczekującego powozu, który miał ją odwieźć na ulicę św. Jakóba.

Eljasz westchnął ciężko, przechylił się przez poręcz żelazną i przez chwilę gotów był rzucić się przez nią na dół.

Zawołał głosem rozdierającym:

— Marjo... Marjo...

Podniosła głowę. Wyciągnął do niej rękę, jęcząc:

— Ciebie tylko mam na świecie! Czy chcesz zapomnieć ojca?

Młoda dziewczyna zaprzeczyła ruchem głowy, lecz nie powróciła.

Co zaszło pomiędzy ojcem i córką? Jakie wyznania Lichtenbach musiał uczynić, żeby Marja aż do tak niezłomnego przyszła postanowienia?

Przeżegnała się, jak gdyby chciała wzmocnić serce słabnące. Zbladła więcej jeszcze i rzekła głosem stanowczym:

— Nie zapomnę o tobie, ojczyźnie... będę się za ciebie modlić.

Wsiadła do powozu, turkot rozległ się pod sklepieniem, potem cisza, i Lichtenbach został sam.

Wrócił krokiem ociężałym do gabinetu, usiadł bezczynny i zadumany.

Nie wyrzekł się jednak interesów pieniężnych. Przeciwnie, zdawało się, iż z podwójnym zapalem zabierał się do wszystkiego.

Zachwiane stanowisko na akcjach Towarzystwa wybuchowego, w stokroć sobie nagroził szaloną kampanią na kopalniach złota. Nigdy jeszcze nie robił interesów tak świetnych, jak przez te pół roku po wyjeździe córki. Moznaby rzec, że ból wewnętrzny sprowadził mu szczęście z powrotem. Każde przedsięwzięcie z góry było już udane. Nie cieszyło go to jednak i fizycznie zmienił się bardzo. Nie mógł już bez odpoczynku wejść na schody giełdy, temu mu brakowało.

Nie bywał nigdzie. Ładna księżna de Bernay mówiła z tego powodu:

— Co się stało z kochanym Eljaszem? Opowiadano mi, że chory. Czyżby zamierzał świat ten pożegnać?

Przepowiednia tak lekko wypowiedziana, sprawdziła się bardzo prędko.

Pewnego wieczora w zimie, lokaj zastał Eljasza pochylonego na biurku, jak gdyby uśpionego.

Służący odezwał się... Nie było odpowiedzi. Prerażony zbliżył się, dotknął swego pana. Bankier się nie poruszył. W ręce trzymał krótki list córki, jeszcze od lez mokry. Padł ofiarą jedynego uczucia, jakie miało przystęp do jego serca: miłości rodzicielskiej.

X.

W sześć miesięcy po tem, w gabinecie przy ulicy de Provence, o zmierzchu siedzieli wuj Graff i Marceli.

Po przejrzeniu i podpisaniu rachunków i interesów dziennych, Baradier poszedł na górę do siebie.

Ciemność zalewała powoli pokój, a zagłębieni w fotelach, milczący, wuj i siostrzeniec, wyglądali już tylko jak niewyraźne cienie.

— Wuju, czy ty śpisz? zapytał Marceli.

— Nie, mały, rozmyślam.

— O czym?

— O tem, co przez ten rok przeszliśmy... A to nie mało!

— Możesz śmiało tak powiedzieć... A jaki wynik twoich rozmyślań?

— Że mieliśmy djabelne szczęście; że mieliśmy do czynienia z ludźmi, którzy powinni byli po stokroć nad nami tryumfować, i że oczywiście Opatrzność nad nami czuwała.

— Wuju Graffie, przeczysz sam sobie: djabelne szczęście z jednej strony, opieka Opatrzności z drugiej. To jakoś nie bardzo idzie w parze!

— Oh! tyś sceptyk. chłopcze... Nowe pokolenie!... W nic już nie wierzycie.

— Ja w traf nie wierzę, o nie, rzekł Marceli z ironią. Następnie dodał z nagłą powagą: lecz ja wierzę w silną wolę... A jeżeli mieliśmy nad sobą Opatrzność, jak mówisz, i jak jest prawdą wreszcie... Była i silna wola... Bez tego...

Zrobiło się cicho. Ciemność już teraz zapadła zupełna.

— Była i silna wola, powtórzył wuj Graff. Do tej kobiety robisz aluzję?

— Do „tej kobiety“ rzeczywiście. To ona zrobiła, że upadły plany jej akolitów, ona mnie ocaliła.

— Dla tego, że cię kochała?...

— Dla tego, że mnie kochała.

Wuj Graff westchnął, nałożył fajeczkę, zapalił i rzekł:

— Pierwszy raz rozmawiamy z sobą o tej nieszczęśliwej, od czasu wypadków... Czy ci to nie robi przykrości?

— Nie robi, wuju.

— A więc, wytłomacz mi, co zaszło pomiędzy wami,

ażeby tej miary lotrzyca, poświęciła się dla chłopca, którego zamierzała najpierw oszukać, a potem obedrzyć. Gdyż nie wątpisz, że takie co do ciebie były jej zamiary?

— Nie wątpię.

— Była to kobieta, która nie z jednego pieca chleb jadła, wszak prawda, i która w miłości była jak ten pijak z gardłem przepalonym trunkami, co potrzebuje witroleju, żeby sprawić sobie wrażenie... a jednak.

— A jednak zakochała się w młodym chłopcu, takim jak ja... Otóż prawdopodobnie dla tego, że byłem młodym chłopcem... I że byłem innym niż lotry z którymi miała do czynienia... Filiżanka mleka dla pijaka... w dalszym ciągu twojego porównania.

— I ona się otrula w twoich oczach, dla ciebie?

— Tak, wuju, dla tego, że nie chciałem przyrzec, że będę się z nią jeszcze widział

— A kochałeś ją jednak?

— Kochałem i wstręt mi sprawiała!... Gdybym był zobaczył ją jeszcze, byłaby mnie miała, zdobyła i zgubiła... Rozumiesz, wuju: zgubiła! Czulem to w tej ostatniej chwili. Ja, chłopiec uczciwy, syn ludzi uczciwych, gdybym został pod wpływem tej kobiety wstrętnej i rozkosznej, upajającej, pewny jestem, że zrobiłaby ze mnie zbrodniarza!... Nie chciałem tego!

Znów cisza się zrobiła.

— Ona była bardzo piękna, bardzo powabna, prawda? zapytał wuj Graff.

— Piękność, wdzięk i powab w niej uosobione... Natura wyjątkowa, stworzona na królową lub kurtyzanę.

— I sądzisz, że gdyby była chciała, to mogła sobie ocalić!

— Pewny jestem. Pamiętasz wuju, przy rewizji po owej awanturze, policja znalazła w piwnicy przejście podziemne, łączące z domem stojącym przy ulicy Neuilly. Tamtędy to komparsi uciekli. Potrzebowała zejść tylko wewnątrzniemi schodami... W jedną minutę, byłaby bezpieczna... Więcej niż dwie godziny trzeba było na odbicie drzwi piwnicy.

— Ci ludzie mieli znakomity zmysł organizacyjny. Jakie siły stracone dla społeczeństwa! Uczciwi ludzie zawsze są trochę głupi.

— Nie można jednak oddawać spraw publicznych w ręce łotrów, pod pozorem, że są dowcipniejsi.

Wuj Graff westchnął:

— A myślisz ty czasem o tej kobiecie?

— Ciagle...

— Żałujesz jej?

— Czyż nie poświęciła się dla mnie?

— Więc to dla tego spoważniałeś od pół roku.

— Tak, wuju.

— Martwiłeś się?

— Martwię się jeszcze.

— W dodatku byłeś tak zajęty wprowadzeniem w ruch interesu materiałów wybuchowych...

— Było i to także.

— Wiesz co byś powinien zrobić, jeżeli byś miał rozum?

— Wiem, ojciec mówił mi to wczoraj. I dla tego pewnie, że wysłuchałem cierpliwie, ty wuju, dziś do tego powracasz.

— A więc tak, moje dziecko. Dobrze byłoby skorzystać z chwili, kiedy jesteś wolny, spokojny, rozsądny, i ożenić się...

— Z Adela de Tremont?

— Tak. Ojciec i matka zawsze ją tobie przeznaczali... Żeniąc się z nią, sprawiłbyś im wielkie zadowolenie.

Marceli nie odpowiedział. Siedział bez ruchu w fotelu. Fajeczka wuja Graffa zagasła. Cicho i ciemno jak w grobie.

Po długiej chwili Marceli przemówił:

— Kiedy panna Lichtenbach przyszła zawiadomić cię, że wciągają mnie w zasadzkę, czy była wzruszona?

— Nieprzytomna prawie!

— A ty myślałeś, widząc ją, że nadzwyczajne jej wzruszenie pochodziło z wyjątkowej obawy o mnie... Tak przynajmniej mówiłeś.

— Bezwątpienia. Zobowiązałem się, przyrzekłem jej... W dodatku podobała mi się ta dziewczyna... Nie była banalna... A to, co zrobiła nazajutrz po tej awanturze, utwierdziło mnie w dobrej o niej opinii.

— Odjazd jej do klasztoru?

— Tak, wyjazd z domu starego łotra, jej ojca.

— Już nie żyje. Zostawmy go w spokoju. Tembardziej, iż prawdopodobnie nie mógł przeżyć pogardy i wstrętu, jaki budził w swej córce.

— To prawda.

— Słowem, jeżeli panna Lichtenbach usunęła się ze świata, to tylko z mojego powodu. To dziecko miałoby mieć zapłacone, za swoje poświęcenie i za swoją

czułość, stratą wszystkiego, co życie mogło jej dać szczęścia, i przeznaczone na ubóstwo, na chodzenie do śmierci w szarej welnie, z obciętemi włosami, doglądanie chorych.

— Tak.

— Wuju, czy jesteś zdania, że dzieci odpowiedzialne są za winy rodziców?

Stary kawaler nie odpowiedział. Poruszył się w fotelu, fajka zapalona zaświeciła w ciemni.

— Nie odpowiadasz, wuju? ciągnął Marcelli. Nie wiesz co masz odpowiedzieć?

— Nie wiem. Na tem samem miejscu, pewnego dnia, powiedziałem wystańcowi Lichtenbacha, który ofiarował tobie rękę swojej córki, że wszyscy Graffowie i Baradierzy powstałiby z grobów, gdyby jeden z Baradierów ożenił się z panną Lichtenbach.

— Jakto? wykrzyknął Marcelli poruszony. Była taka propozycja, i ty mi nic nie powiedziałeś?

— Na coby się to zdało? Rozumiesz jakie były moje uczucia w tym czasie, ponieważ odpowiedziałem tak napuszenie i bardzo głupio... Twój ojciec.... Oh twój ojciec wolałby ciebie widzieć... nie umarłym, lecz gdzieś u wszystkich djabłów, na długo, niż widzieć połączonym z tą Lichtenbach. Pomyśl tylko! Generał niedawno zabity... Fabryka jeszcze w płomieniach! Nie, nie! Nie można było inaczej.

— A dzisiaj, wuju?

— Co? czy myślisz o tem? zapytał stary romantyk głosem drżącym.

— Tak, bardzo myślę, rzekł Marcelli stanowczo, iż

jeżeli panna Lichtenbach nie zgodzi się zostać moją żoną, nigdy się nie ożenię.

— Dla czego? Dla czego? Czy ty ją kochasz?

— Mam dla niej wielki szacunek i wdzięczność... Poświęciła dla mnie wszystko, co poświęcić mogła na tym świecie. Jestem jej dłużnikiem. Baradier i Graff nie są ludźmi, którzy nie płacą swoich długów, choćby nawet cierpieła trochę na tem ich miłość własna.

W tej chwili dało się słyszeć lekkie stuknięcie. To drzwi się zamykały.

— Kto tam? zapytał Graff z żywością.

— To ja, uspokój się, odpowiedział głos Baradiera.

— Słuchałeś cośmy mówili?

— Nie! tylko co przyszedłem. Lecz słyszałem ostatnie słowa... Czy chodzi wam o to, żeby siedzieć w ciemnościach?

Jednocześnie obrócił akumulator i światło zalało pokój.

Trzej panowie patrzyli chwilę na siebie: poważni byli, lecz z odcieniem zadowolenia.

Baradier nie spuszczał głowy, z tęgą miną, jakby miał rzucić się na przeszkodę, którą syn i szwagier znali u niego doskonale. Był tylko skupiony w sobie.

Postąpił parę kroków, usiadł na biurku, i rzekł:

Jakaż byłaby różnica pomiędzy nami i ludźmi nie nie wartymi, gdybyśmy nie umieli być wdzięczni? Nie wystarcza mieć pozory szlachetnych i delikatnych w oczach świata, trzeba być dla samych siebie, w sumieniu swoim bez zarzutu.

Spojrzał na syna z zadowoleniem, kolorowa jego twarz zbladła od głębokiego wzruszenia.

— Chłopiec ten mówił jak prawdziwy Baradier i Graff. Trzeba zrobić to co on powiedział.

Wszyscy trzech zadrżeli na dźwięk tych słów prostych, które uświęcały spadkobiercę nazwiska, jako godnego swoich przodków. Łzy dumy i radości zaświeciły w oczach wuja. Marceli nie odpowiedział, lecz rzucił się w objęcia ojca.

K O N I E C .

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN





